

MÓW DO MNIE

SONIA BELASCO

Sonia Belasco

Mów do mnie

Tłumaczenie:
Danuta Fryzowska

Dla Etty

Damon

Wciąż wspominam, jak wybraliśmy się do wesołego miasteczka – tego w Wirginii, z tą wypasioną karuzelą na wysięgniku, która obraca cię do góry nogami. Nazwałeś mnie cieniem, bo nie chciałem na nią wsiąść. Wiesz, stary – lubię dreszczyk emocji i w ogóle, ale życie jest wystarczająco emocjonujące bez wymiotowania. Tylko o to mi chodziło.

Może dla ciebie to było za mało, może cię hamowałem, byłem zbyt drętwy. Ty przed niczym się nie cofałeś. Zawsze robiłeś to, na co miałeś ochotę.

Ale gdybyś chciał, gdybyś... gdybyś chociaż chciał o tym porozmawiać. Wysłuchałbym cię.

Nawet jeśli nie mógłbym...

Stary, byłeś moim najlepszym przyjacielem.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nie wiem, jak to się stało, że tu wylądowałem. W głowie mam jeden wielki mętlik – tyle domów i ludzi, autobusy i psy, chodniki i sklepy, klaksony i trawniki, a nad tym wszystkim jasny błękit letniego nieba.

I oto jestem tutaj.

Ponownie.

Otocza mnie wszechobecna zieleń. Nad moją głową wznoszą się klony i dęby, wtapiając się w korony zimozielonych drzew, prawie nieprzepuszczających światła. Gałęzie nakładają się na siebie niczym splecione palce. Przebijające słońce pstrzy ziemię świetlistymi punkcikami, pokrywając mszystą ściółkę dywanem gwiazd.

Kieruję obiektyw ku niebu, kadruję drzewa i robię zdjęcie.

Pstryk.

Obracam aparat w dłoniach. Widzę ręce Carlosa, jego paznokcie – krótkie i obgryzione – suchą skórę i białe kostki palców pewnie zaciśniętych na przyciskach. Moje dłonie są inne – skóra ma ciemniejszy odcień brązu, palce są dłuższe i bardziej smukłe. Nie układają się tak naturalnie na aparacie.

Carlos miał dłonie stworzone do aparatu, jakby się z nim urodził. Robił zdjęcie i nawet tego nie zauważałem, jego ruchy były tak zwinne, jakby aparat był przedłużeniem jego ciała, kolejną kończyną.

Przełączam na wcześniejsze zdjęcie przedstawiające kamienny posąg kobiety w drapowanej szacie i długiej chuście na głowie, siedzącej przed budynkiem Archiwum Narodowego. Na cokole u jej stóp odzianych w sandały wyryta jest podniosła, lecz prosta maksyma: „Przeszłość jest prologiem”.

Widzę zieleń i swoją rękę sięgającą ku...

Wypuszczam powietrze i odwracam się.

Jezu.

Ponownie nabieram powietrza.

Widzę ją.

Po raz pierwszy widzę tu kogoś innego. Trudno jej nie zauważyć: we włosach pasemka w kolorze czerwonych karmelków, uszy obwieszane kolczykami, podarte dzinsy i czarny T-shirt z dużym, bąbelkowym napisem „Ostra jak żyleta”.

Jestem w stanie w to uwierzyć. Jestem w stanie uwierzyć, że jest ostra jak żyleta.

Siedzi na ziemi oparta o drzewo.

To drzewo. To samo przekłete drzewo.

Boże, ona płacze. Makijaż spływa jej po policzkach. Trzęsą się jej ramiona. Przyciąga kolana do piersi, napierając na pokryty chropowatą korą pień drzewa,

jakby chciała je przewrócić.

Podnoszę aparat i robię jej zdjęcie.

Pstryk.

Dlaczego to zrobiłem?

Dziewczyna siedzi spokojnie i mnie nie zauważa.

Odwracam się i odchodzę.

Nie może mnie zobaczyć. Jeszcze sobie pomyśli...

Co ja wyprawiam? Nie mogę zrobić jej zdjęcia, a potem zniknąć jak jakiś porąbany...

Chrząkam, zaznaczając swoją obecność.

Ona podnosi wzrok.

Cholera.

– Nic ci nie jest? – pytam.

– Słucham? – odzywa się wysokim, ale stłumionym głosem.

– Nic ci nie jest? – powtarzam i podchodzę bliżej.

– Kim jesteś? – chce wiedzieć.

– Nic ci... – podejmuję jeszcze raz.

– Wszystko w porządku – odpowiada wreszcie.

– Płaczesz – stwierdzam głupio. – Na pewno nic ci nie...

– Kim jesteś? – pyta ponownie.

Szelest liści odciąga moją uwagę. Spoglądam poza nią. Gdy mrużę oczy, nadal widzę...

Dziewczyna odwraca głowę, by sprawdzić, co jest za nią, po czym spogląda na mnie z uniesionymi brwiami.

– A z tobą wszystko w porządku?

– Ja... – zaczynam, ale urywam w pół zdania. – Przepraszam. Naprawdę przepraszam. Lepiej sobie pójdę.

Odchodzę, po drodze potykając się o własne nogi. Torba fotograficzna obją mi się o biodro, a ziemia chrzęści pod moimi butami.

Dopiero gdy wychodzę z lasu, wypuszczam powietrze z płuc. Czuję, jak serce pulsuje mi w gardle.

Idiota ze mnie. Skończony idiota.

Podnoszę aparat i przyglądam się fotografii na wyświetlaczu. Uchwyciłem dziewczynę z bliska, dość wyraźnie – oczy ciemne, nieruchome.

Płakała, a ja i tak zrobiłem jej zdjęcie.

Dlaczego pozwoliłem, żeby mnie zobaczyła?

Co takiego zobaczyła?

Ściany mojej nowej sypialni pokryte są zdjęciami Carlosa. Rozpakowałem je jako pierwsze, gdy tylko się tu wprowadziliśmy, jakiś miesiąc temu – przed ubraniami, przed książkami, nawet przed szczoteczką do zębów. Rozkładałem się na

łóżku i wodzę po nich wzrokiem: leniwy zachód słońca na plaży w Karolinie Północnej, zamarznięta rzeka w Bostonie, nieregularna panorama Atlanty odcinająca się na tle nieba. Pamiątki z wycieczek, które odbywaliśmy zwykle we dwójkę, bo bliscy Carlosa nigdy nigdzie nie jeździli, nigdy nie mieli pieniędzy i nigdy nie chcieli spędzać ze sobą więcej czasu niż to konieczne.

Widzę swoich rodziców; roześmiani dzielą się wielkim tropikalnym drinkiem z maleńkimi parasolkami, których jest chyba z dziesięć. Jest i moja babcia, wystrojona do kościoła; stoi w pastelowym, kwiecistym kostiumie i przerażająco wielkim niedzielnym kapeluszu, spoglądając wytrwale w stronę obiektywu znad dwuogniskowych okularów. Są też pejzaże, portrety, fotki niepozowane, a nawet dziwaczne artystyczne abstrakcje – czarno-białe, kolorowe i w sepii, wszystkie wykonane troskliwymi dłońmi Carlosa.

– Ciągłe się gapisz – powiedziałem mu kiedyś. – Dziwak.

– Cóż, ziomuś, po prostu miło się na ciebie patrzy – odparł z przekąsem; w kącikach jego oczu zmarszczki rozbawienia utworzyły małe nawiasy.

Posłałem mu gniewne spojrzenie, na co Carlos parsknął śmiechem, krótko i głośno, jakby stawiał wykrzyknik.

Z Carlosem zaprzyjaźniłem się już w przedszkolu. Przywłaszczył sobie jedną z moich zabawkowych ciężarówek i nie chciał jej zwrócić. Rodzice dopiero co nauczyli mnie, że należy się dzielić z innymi, więc powiedziałem, że może ją zatrzymać.

– Nie chcesz jej z powrotem? – zapytał Carlos.

Pokręciłem przecząco głową, choć tak naprawdę chciałem ją odzyskać. Oczywiście, że chciałem. I to bardzo. Była czerwona, lśniąca i bardzo szybka. Ale pozwoliłem, by ją zatrzymał, bo Carlos pragnął jej bardziej niż ja.

– Okej – stwierdził w końcu. – W sumie możemy razem się nią bawić.

Któregoś razu powiedział:

– Nie wiem, dlaczego w ogóle próbuję walczyć z tym twoim zen. Stary, jesteś jakimś cholernym mentalnym ninją.

Carlos. Dobrze mnie znał, ale nie wiedział wszystkiego.

Szkoda, że już się nie dowie. Chciałbym mu powiedzieć, jak bardzo się mylił.

Ale nie mogę.

Gdy teraz rozmyślam o Carlosie, nie widzę tego poważnego, bladego chłopaka w czarnym garniturze, leżącego w trumnie z rękami skrzyżowanymi na piersi. Widzę Carlosa, który szczerzy się głupkowato i wyciera dłonie w moją koszulkę, zostawiając na niej tłuste ślady. Odepchnąłem go wtedy, warcząc:

– Odbiło ci?!

– Tak jest o wiele lepiej, stary – zapewnił mnie. – Zrobiłem porządek z twoją paskudną koszulką.

– Zaraz ja zrobię porządek z twoją paskudną facjatą – fuknąłem, a on zaśmiał się sztucznie, głośno i szyderczo.

– A ja z facjatą twojej...

– Goń się! – przerwałem mu. – Kiedy w ogóle zaczyna się film? Pewnie nie zdążymy, bo zachciało ci się tych obrzydliwych frytek z chili i serem.

– Mamy jeszcze pół godziny. Wyluzuj, *cabrón*^[1]. Martwisz się bardziej niż moja matka.

– Trudno się dziwić. Dajesz jej dużo powodów do zmartwień.

– Martwi się, bo tak ma – prychnął sarkastycznie.

– Nie, martwi się, bo raz cię już aresztowano, *pendejo*^[2].

Carlos machnął lekceważąco ręką.

– Nieprzyzwoite obnażanie się. Jakiś kretyzizm. Nie było w tym nic nieprzyzwoitego.

– Zrozum, nie możesz posuwać laski w miejscu publicznym, bo tak ci się podoba – wyjaśniłem.

– Czemu nie, do cholery? Kochajmy się, nie wojujmy, racja?

„Czemu nie, do cholery?”. To jego stały tekst. Trochę mu zazdrościłem – tego, jaki był wyluzowany w kontaktach z płcią przeciwną i nigdy się przy tym nie denerwował. Spotykał się z przeróżnymi dziewczynami: o długich, krótkich, prostych i kręconych włosach; o wydatnych kościach policzkowych bądź pucułowatych buziach; z typowymi pyzami, laskami chudymi, wysokimi oraz niskimi, i z całą masą innych – wystarczyło, że któraś okazała mu choć trochę zainteresowania.

Z żadną jednak nie był długo.

– To nie dla mnie – powiedział mi kiedyś.

Wyśmiałem go i zapytałem:

– Słucham? Nie chcesz się zakochać?

– Za dużo stresu – skwitował, po czym odwrócił wzrok i zmienił temat, jakby powiedział coś, czego nie powinien.

Pamiętam, jak pewnego dnia w ostatniej klasie gimnazjum powiedziałem Carlosowi, że rodzice planują wysłać mnie do Gate. Siedziałem na ganku przed jego domem i patrzyłem, jak raz za razem podrzuca w górę piłkę nożną.

– Hej – zagadnąłem. – Wiem, że to niby prywatne liceum, ale może będzie fajne, nie?

Carlos odwrócił się i spojrzał na mnie zmrużonymi w skupieniu ciemnymi oczami.

– Mają tam program stypendialny? – spytał. – Co prawda dzieciaki z prywatnych szkół to lamusy, ale może nie będzie tak źle, jeśli będziemy się trzymać razem.

Drzwi do mojego pokoju uchylają się ze skrzypnięciem. Wyrwany

z zamyślenia, wstrzymuję oddech. Mama wsuwa głowę przez szparę.

– Cześć, synku – wita się. – Mam coś dla ciebie.

Jej ciemne loki podskakują, gdy podchodzi i wręcza mi małą książeczkę w miękkiej papierowej oprawie. To egzemplarz *Otella*.

– Wystawiają tę sztukę jesienią w Hamiltonie – wyjaśnia.

Mama postanowiła przeprowadzić prywatne dochodzenie i wy badać moje nowe liceum. Przez całe lato zasypywała mnie zdobytymi informacjami. Wiem, że próbuje wzbudzić we mnie entuzjazm w związku ze zbliżającym się rokiem szkolnym, ale to całe gadanie o szkole sprawia tylko, że mam ochotę w coś przywalić. Rozumiem, Gate to przeszłość. W Gate bez Carlosa byłoby... szkoda gadać. Duchy straszące po korytarzach, kupa dzieciaków, które tak naprawdę go nie znały, ale każdy i tak miałyby coś do powiedzenia na jego temat.

Ale Hamilton High... Cóż, szkoła jak szkoła. Nie ma się czym ekscytować.

– No i? – odpowiadam.

Mama posyła mi dziwne spojrzenie i bierze się pod boki.

– Pomyślałam, że może będziesz chciał spróbować swoich sił.

Ostatniej jesieni w Gate wystawialiśmy *Płoty* Augusta Wilsona. Poszedłem na przesłuchanie ot tak, dla kaprysu, i od razu dostałem główną rolę – Troya Maxsona, rozczarowanego marzyciela.

– Podobasz mi się, Damon – powiedział mi kiedyś reżyser. – Dobrze sobie radzisz na scenie. Grasz z sercem.

Obracam książkę w dłoniach, myśląc o tym, co zapamiętałem z lektury. Przerabialiśmy ją kilka lat temu na angielskim: *Otello, sztuka o zielonookim potworze*. Maur Otello, dowódca wojsk i odszczepieniec, poślubia białą dziewczynę, a potem ją morduje, gdy jego rzekomo najlepszy przyjaciel Jago zarzuca jej zdradę.

W sam raz na poprawę nastroju.

– Wrócisz do wioślarstwa? – pyta mama. – W Hamiltonie mają drużynę wioślarską. Są chyba całkiem niezli.

Przecieram oczy.

– Nie, nie sędzę.

Nie bez...

Pamiętam, jak pewnego dnia wróciłem ze szkoły z zadowolonym uśmiechem i formularzem zgody, który wręczyłem tacie do podpisu.

– Wioślarstwo – przeczytał na głos; brwi skakały mu w górę i w dół, jakby nie mógł się nadziwić. – Chcesz dołączyć do sekcji wioślarskiej?

Nigdy nie byłem typem sportowca; owszem, doceniam proste przyjemności płynące z samotnego biegania, lubię to uczucie bólu i napięcia w udach i łydkach, świst powietrza w uszach, ale nigdy nie chciałem należeć do żadnej drużyny, nigdy nie chciałem w nic grać, nigdy nie pragnąłem wygrywać.

Jednak gdy stałem na brzegu rzeki Potomak, obserwując załogę wiosłarzy prujących wodę mocą precyzyjnych pociągnięć i uderzeń wiosłami, coś we mnie drgnęło i ogarnęła mnie nagła potrzeba.

Też tak chcę, pomyślałem. Chcę na wodę.

To oznaczało, że byłbym jedynym czarnym wśród hałaśliwej bandy nadętych białych kolesiów. I co z tego? Nie zraziłem się, nawet gdy w szatni podczas odprawy przed treningiem ten dupek Brad nachylił się nade mną i rzucił: „Co, zabrakło miejsca w drużynie koszykarskiej?”. Przywykłem do tego.

Nie przywykłem za to do bólu. Wiosłarstwo to nie przelewki – to wczesne pobudki i długie godziny ćwiczeń, to pęcherze na palcach i dłoniach, to czerwone półkoliste odciski na łydkach od wrzynającej się w cienką skórę ruchomej ławeczki. To dwudziestokilometrowe biegi, nieustanne pieczenie w piersi, dyszenie, sapanie i ściskanie w żołądku. To bieganie po schodach przez trzy godziny i wymiotowanie za trybunami.

To poczucie, że nie jesteś wystarczająco dobry, że odstajesz od reszty, poczucie wyczerpania, zażenowania, przegranej.

Ale wiosłarstwo to także słońce wschodzące nad rzeką, barwiące niebo kolorowymi smugami niczym dziecko malujące palcami. To śniadania spożywane w samotnej ciszy, przerywanej jedynie przez głucho cykanie świerszczy i warkot przejeżdżających autobusów. To chwile, kiedy nagle wszyscy członkowie załogi zgrywają się, wiosłując synchronicznie ku wspólnemu celowi w takt wydawanych basem rytmicznych komend sternika.

Wiosłarstwo to sport, który uprawiałem z Carlosem, zuchwałym, napakowanym żartownisiem, jedynym poza mną „kolorowym” chłopakiem, który stawiał się na eliminacjach, dumnie oświadczając: „Niech sobie mówią, co chcą, stary. Ten Salwadorczyk naprawdę potrafi wiosłować”.

„Może nie będzie tak źle, jeśli będziemy się trzymać razem”.

Nie wrócę do wiosłarstwa. Nie teraz. Nie bez niego.

Może jednak zagram w tej sztuce. Bo czemu nie?

Nie mam absolutnie nic do stracenia.

– Dzięki, mamó – mówię, a ona posyła mi to znajome spojrzenie w stylu: „Co ja mam z tobą począć? Jak ci pomóc? Porozmawiaj ze mną”.

Ale ja nie chcę rozmawiać.

W ostatnim tygodniu przed rozpoczęciem roku szkolnego zabijam czas, oglądając telewizję, ukrywam się przed upałami w klimatyzowanym pomieszczeniu i wyję z nudów. Już zaczynam rozważać, czy nie wysadzić telewizora dla rozrywki, gdy nagle rozdzwania się moja komórka leżąca na stoliku.

– Joł, Damon – odzywa się głos na drugim końcu linii. – Co dziś porabiasz?

– Hej, Praga. Nic takiego – odpowiadam, przekładając telefon do drugiej ręki. – Jeszcze wcześniej.

Praga to mój kuzyn. Mieszka w okolicy i chodzi do Hamilton High – jednego z najlepszych państwowych liceów w Waszyngtonie, jak wielokrotnie słyszałem od mamy – choć w mieście, w którym połowa uczniów państwowych szkół nie zdaje matury, niewiele to znaczy.

Praga tak naprawdę ma na imię Samuel, ale wszyscy wołają na niego „Praga”. Nie wiem czemu. Pewnie wydaje mu się, że z taką ksywką uchodzi za niezłego bandziora jak na syna prawniczki i inżyniera budownictwa. Czy on w ogóle zdaje sobie sprawę, że Praga to miasto w Europie słynące z zamku i fantastycznych zegarów?

– Później będzie skwar jak diabli. Chcesz się z nami pobujać? Będziemy grać w kosza pod budą.

– Nie gram w kosza – odpowiadam.

– Przyjdź tak czy siak. Co ci szkodzi?

Cholera. Właściwie to nie mam nic lepszego do roboty.

– Okej, luz – zgadzam się, tłumiąc westchnienie.

Nie spieszę się w drodze do szkoły, kluczę bocznymi uliczkami, krążę i zawracam. Na Wisconsin Avenue przechodzę obok restauracji, której nigdy wcześniej nie widziałem – U Gary’ego. Przypomina typową jadłodajnię, trochę zapuszczoną, przypadkowo skleconą. Może warto tu później zajrzeć. Wszystkie restauracje w sąsiedztwie to albo ekskluzywne lokale, albo bary szybkiej obsługi, nie ma niczego pomiędzy. Tęsknię za moją starą okolicą w Shepherd Park; było tam mnóstwo knajpek, w których można było spokojnie usiąść i nikt nad tobą nie krążył, żeby dolać wody do szklanki albo wymienić używany widelec na nowy. Tenleytown to w pewnym sensie zmiana na lepsze, ale wcale tego tak nie odczuwam. Nie czuję się tu jak w domu.

Patrzę, jak ludzie wchodzą i wychodzą, biorą na wynos kawę lub pączka – a co niektórzy bardziej ekstrawagancko francuskiego rogalika – i z nowym numerem „Washington Post” pod pachą zmierzają w kierunku metra, by spędzić kolejny dzień, przerzucając papiery i walcząc z cyferkami.

Gdy docieram na miejsce, na podwórku zastaję Pragę grającego w kosza z kilkoma kumplami. Wszyscy są bez koszulek; spocone ciała lawirują między sobą, wyginając się, prężąc i przepychając. Pstrykam kilka fotek aparatem Carlosa. Praga oddaje imponujący rzut za trzy punkty i wykonuje triumfalny taniec, kręcąc ramionami. Podnoszę rękę i macham do niego.

– Damon Lewis! – wykrzykuje Praga, podbiega i klepie mnie po plecach. – Stary, gdzie się podziewałeś?

– Tu i tam – odpowiadam. – Sam wiesz.

– Nie, nie wiem – mówi Praga. – Hej, J., pozwolisz Damonowi zagrać chwilę w obronie? Widzę, że ledwo dychasz. Wyglądasz, jakbyś zaraz miał się przewrócić.

Wysoki, chudy chłopak z bandaną na głowie i wiecznie nachmurzoną miną zakłada ręce na piersi.

- Nie pieprz, nic mi nie jest.
- Nie chcę grać... – wtrącam.
- Każdy chce grać – przekonuje Praga.
- Nie, serio. Tu mi dobrze.

Praga przesuwając się po mnie wzrokiem, jakby próbował mnie odpowiednio zaszufelkować, i zatrzymuje się na mojej torbie fotograficznej.

- Rozumiem. Wolisz się bawić aparatem.

Wzruszam ramionami.

- Lubisz się gapić, co? – stwierdza Praga z lekkim ironicznym uśmieszkiem.

Nie wiem, dlaczego w jego ustach wszystko musi brzmieć tak sprośnie. Mam ochotę przywalić mu w tę roześmianą facjatę.

Praga to całkiem przystojny koleś, ma ciemne oczy w kształcie migdałów – po matce – i cerę koloru espresso – po ojcu. Jest tego świadomy i nosi się, jakby był nie wiadomo jakim ciachem. Pamiętam, jak w dzieciństwie spędzaliśmy wspólnie święta Bożego Narodzenia. Praga zawsze podkradał mi prezenty, a potem śmiał się ze mnie, gdy zaczynałem płakać.

Patrzy mi w oczy przez niezręcznie długą chwilę i w końcu odwraca wzrok.

Po półgodzinie mam już dość niekończących się głupkowatych przekomarzanek i potoku wyzwisk. Wstaję i macham do Pragi.

- Już idziesz? – pyta zdyszany.
- No – potwierdzam.

Nic tu po mnie.

Wracam tą samą drogą, którą przyszedłem, przez Wisconsin, wdychając mieszanekę betonu, ruchu ulicznego i smaru. Gorące powietrze przesycone słońcem muska moje dłonie i twarz, ale czuję, że nadchodzi jesień, tak jak starzec czuje w kościach zbliżający się deszcz – to nieuchronne, bolesne uczucie; nowe, a jednak dobrze znane.

W jadłodajni U Gary'ego roi się od ludzi. Popycham drzwi i wchodzę do środka. Siwiejący emeryci siedzą w narożnych boksach lub przy ladzie, mieszając kawę, i mamroczą do siebie, narzekając na pęknięcia w winylowych krzesłach albo kiepskie herbatniki. Na ścianach wiszą oprawione fotografie Franka Sinatry, Marlona Brando, Greta Garbo i Marilyn Monroe, a także stare plakaty reklamujące papierosy Marlboro, batoniki Hershey's i detergenty, których już dawno nie ma w produkcji.

Znajdzie się nawet kilka fotek rozebranych pań – takie oldschoolowe pornograficzne zdjęcia umieszczane na odwrocie kart do gry, specjalnie z myślą o marynarzach i żołnierzach. Zwalczam pokusę, żeby usiąść i gapić się jak zahipnotyzowany na nagie piersi. Jak tu się skupić na jedzeniu, kiedy wokół piękne

nieznajome bezwstydnie świecą golizną?

Jakaś duża, ciężarna kobieta wita mnie słowami: „Jestem Dahlia, skarbeńku” i oznajmia, że zaraz ktoś do mnie podejdzie. Rozsiadam się na miękkim siedzisku, wyciągam *Otella* i ponownie czytam akt pierwszy. W ciągu tygodnia przeczytałem tę sztukę już cztery razy. I za każdym razem wydaje mi się bardziej zagmatwana i dziwna. Powinienem już lepiej rozumieć Otella – męża, żołnierza, mordercę – ale tak nie jest.

Dlaczego jesteś taki naiwny? Dlaczego wierzysz w te wszystkie kłamstwa?

– Witamy U Gary’ego – czyjś głos wyrywa mnie z zadumy.

Podnoszę wzrok i widzę dziewczynę, mniej więcej w moim wieku, szukającą notesu w kieszeni fartucha. Włosy z czerwonymi pasemkami przysłaniają jej twarz.

– Cześć – odpowiadam. – Jak się...

Zapiera mi dech.

Nie może być tą samą dziewczyną. To jakiś obłąd. Ludzie mówią, że to małe miasto, ale chyba nie aż tak.

Wyciąga notes i nasze spojrzenia spotykają się.

– Znam cię – mówi, robiąc wielkie oczy. – Jesteś tym kolesiem...

– Nie chodzę za tobą, przyrzekam – wyrywa mi się.

Brawo ja! Skończony dureń.

– Dobrze wiedzieć – ripostuje. – Więc co tu robisz?

– Po prostu przyszedłem na kawę – odpowiadam. – Nie wiedziałem, że tu pracujesz, ja...

– Koleś, wyluzuj – uspokaja mnie, lekko unosząc kącik ust. - Przecież nie wezwę glin. Wierzę ci.

– To dobrze. Cieszę się.

Patrzy na mnie, jakby próbowała mnie rozgryźć. Rozgląda się dookoła, sprawdzając, czy nikt nie widzi, i wsuwa się do boksu, naprzeciwko mnie.

– Chcesz pogadać o tym, co zaszło w parku? - pyta. – Trochę mnie wystraszyłeś.

Wypuszczam powietrze i wbijam wzrok w dłonie.

– Niedawno się tu przeprowadziłem – zaczynam. - Szwendałem się bez celu i wylądowałem w parku. Zobaczyłem ciebie i...

Nie mówię jej o drzewie, o tym konkretnym miejscu. Ani o tym, że bez względu na to, gdzie bym się szwendał, ostatecznie zawsze trafiam tam.

– I postanowiłeś mnie uratować? – Sprawia wrażenie rozbawionej. Cóż, przynajmniej nie jest wkurzona.

– Wyglądałaś na przybitą – tłumaczę i w końcu spoglądam jej w oczy.

Wyglądałaś jak on, gdy...

– Bo byłem przybita – wyjaśnia, a jej wzrok pochmurnieje. – Dlatego tam siedziałam. Sama. I płakałam.

– Przepraszam, jeśli...

– Hej, to nie tak – uspokaja mnie; jej twarz się rozpogadza. – Nie mam ci tego za złe. To było słodkie. Naprawdę. Po prostu mnie zaskoczyłeś. Wiesz, byłam sama, w parku, a wokół ani żywej duszy...

– Nie chciałem cię przestraszyć. Naprawdę.

– Chyba źle zaczęliśmy naszą znajomość – stwierdza i wyciąga do mnie rękę. – Jestem Melanie.

– Damon – odpowiadam, ściskając jej dłoń.

– Miło cię poznać, Damon. Skąd jesteś? To znaczy, z jakiej szkoły...

– Z Gate. To prywatne liceum w Potomac – wyjaśniam.

– Co ty nie powiesz – mówi z ironią Melanie, unosząc brwi. – Nadal tam chodzisz?

– Nie, teraz do Hamiltona.

– To tam gdzie ja – oznajmia. – W Hamilton High będzie... inaczej niż w Gate.

– Mam nadzieję. W Gate było... sęk w tym, że Gate...

– W porządku, rozumiem. W końcu to prywatna szkoła – kwituje, marszcząc nos.

Nie, niczego nie rozumiesz, myślę w duchu. Ale dzięki za dobre chęci.

– Waszyngtońskie szkoły państwowe też mają się czym pochwalić. W krajowym rankingu zajmujemy zaledwie przedostatnie miejsce!

– I tak lepiej niż Alabama – zauważam, wywołując uśmiech na jej twarzy.

– No tak, Alabama. Na nią zawsze można liczyć.

Ja też się uśmiecham. Przez chwilę wpatrujemy się w siebie i nagle powietrze zastyga w napięciu.

Melanie mruga i odwraca wzrok.

– Cholera, muszę wracać do pracy. Co z tego, że to lokal mojego ojca? – oświadcza, poklepując kieszeń, z której wystaje bloczek na zamówienia. – Przynieść ci coś? – pyta, podnosząc się z kanapy.

– Kawę. Czarną.

– Zaraz wracam.

– Dzięki – odpowiadam, a ona odwraca się i znika.

Przetrząsam plecak w poszukiwaniu teczki z moimi najnowszymi zdjęciami. Kładę ją na stole i zaczynam przeglądać odbitki. Oto ona: siedzi na ziemi pod tamtym drzewem i wpatruje się w niebo; czerwone włosy opadają jej na twarz, eyeliner ścieka tuszem po policzkach, zostawiając na nich ślady, niczym blizny.

Nagle dociera do mnie, że nadal nie wiem, czemu płakała. To kolejne z tych pytań, na których zadanie nigdy nie będzie właściwego momentu.

Słyszę brzęk naczyń i pospiesznie wsuwam to zdjęcie pod stertę innych, na sam spód. Po chwili zjawia się Melanie.

– Kto to? – pyta, stawiając przede mną kubek z kawą.

Spoglądam w dół i zamieram. Carlos patrzy na mnie ze zdjęcia z odchylną do tyłu głową i szczerzy się głupkowato. Oglądaliśmy wtedy piłkę nożną na kanale sportowym. Pożyczyłem jego aparat, żeby strzelić mu fotkę; był tak pochłonięty meczem, że nawet się nie zorientował.

– Yyy. – Zatyka mnie. – To Carlos. Mój przyjaciel.

– Fajniutki – stwierdza Melanie i rozciąga usta w uśmiechu. – Dobra fotka. Ty ją zrobiłeś?

Potwierdzam.

Carlos uśmiecha się szeroko, ukazując lekko skrzywione przednie zęby. Wygląda na bardzo wyluzowanego. Jakby w tamtej chwili był najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem.

– To naprawdę świetne zdjęcie – mówi. – Ten Carlos pewnie jest fajnym gościem.

Moja dłoń drga nerwowo na blacie.

– Był – poprawiam ją, a mój głos prawie tonie w gwarze restauracji. – Był fajnym gościem.

Wyciągam rękę po zdjęcie, lecz nagle ją cofam.

– Zatrzymaj je.

– Słucham? – pyta z niedowierzaniem, wytrzeszczając oczy.

– Zatrzymaj je – powtarzam jak metronom.

– Ale...

– Możesz je zatrzymać, nie mam nic przeciwko – zapewniam ją, choć to wierutne kłamstwo.

Przesuwam zdjęcie po stole w kierunku Melanie, a ona podnosi je i skrobie po nim pomalowanymi na czarno paznokciami. Przygląda się fotografii i nagle jej twarz zmienia wyraz – jej źrenice zwężają się, a usta rozciągają w uśmiechu.

Gdy się tak uśmiecha, mam ochotę zrobić jej kolejne zdjęcie, uwiecznić tę chwilę, zanim przeminie.

„Pewnie jest fajnym gościem”.

„Był. Był fajnym gościem”.

Był.

Był.

Był.

Ciekawe, co by powiedział o Melanie? Pewnie skrytykowałby jej wściekle czerwone włosy, liczne kolczyki i podarte ubranie, ale uznałby także, że jest zadziorna i zabawna.

Jest takim samym dziwakiem jak ty. Do dzieła, stary!

Do dzieła!

Melanie

Patrzyłam, jak bledniesz, a twoja skóra przybiera odcień pomyj. Wypadły ci włosy i nosiłaś peruki, co dzień inną – czasami w kolorze twojego naturalnego brudnego blondu, czasami kręconą ciemnobrązową, a nawet niebieską czy fioletową w te lepsze dni, kiedy czułaś się bardziej jak ty, bardziej jak Dana Ellis: artystka i dzieło sztuki.

Wiedziałam, że w dni z tęczowymi włosami będziesz się śmiała, będziemy żartować i udawać, że należymy do dziewczynskiej kapeli punkowej i jesteśmy gwiazdami rocka o pseudonimach Kąśliwa Sally i Słodka Toksyna. Ciekawe, jak by wyglądał nasz zespół – duet matki i córki.

Ciekawe, jak byśmy brzmiały.

Ale nie ma kapeli rockowej, nie ma tęczowych włosów, nie ma wrzeszczących tłumów.

Jestem tylko ja, tu i teraz – ja i moje włosy z czerwonymi pasemkami, które jakimś cudem nigdy nie były tak jaskrawe jak twoje, bez względu na kolor.

Tylko ja i te drzewa, a ciebie już nie ma.

ROZDZIAŁ DRUGI

– Tak się zastanawiam, czyby się w tym roku nie przebrać w Halloween za Marilyn. A ty mogłabyś wystąpić jako Joe DiMaggio – oświadcza Tristan, przewieszając nogi przez poręcz ruchomych schodów w metrze.

Mrugam. Wszystko wydaje się rozmazane, niczego nie widzę.

– Halooo – przypomina o sobie Tristan, machając mi ręką przed nosem. – W ogóle mnie nie słuchasz, Ellis.

Szturcha mnie łokciem w żebra, tak że prawie wywracamy się do tyłu.

– Mogliśmy spaść, idioto – warczę, odzyskawszy równowagę, i piorunuję go wzrokiem.

– Ale nie spadliśmy!

Tristan odgarnia czarne włosy opadające mu na oczy i wydyma wargi.

– Mogę...

– Nie – odpowiadam kategorycznie.

– Jak sobie chcesz – mamrocze. – Zsynchronizuj swoje czakry. Oczyść aurę.

Skup się na zakupach.

Kąciki ust drżą mi od skrywanego śmiechu.

– Widzę to – oznajmia dumnie. – Prawie cię rozbawiłem.

– Zamknij się – szepczę.

– Terapia zakupowa naprawdę czyni cuda – ciągnie dalej. – Było o tym w programie Oprah.

– Uhm. Bo przecież wszystko, co mówią u Oprah, to prawda – odpowiadam szyderczo.

Tristan przyciska dłoń do piersi, udając urażonego.

- Jest moją idolką, okej? Więc proszę się z niej nie naśmiewać.

- Twoją i każdej znudzonej kury domowej w średnim wieku – kpię. - Nie występuje już nawet w telewizji.

– To nie umniejsza jej autorytetu. Jeśli ktoś może mnie nauczyć, jak żyć, to tylko Oprah – zaperza się Tristan. – Poza tym posiada własną stację telewizyjną, głuptasie.

Nie odpowiadam.

Jego bystre niebieskie oczy przebiegają szybko po mojej twarzy. W końcu ujmuje moją dłoń.

– Chodźmy gdzieś usiąść.

Tristan to taki typ przyjaciela, który będzie ze mną siedział i wspierał mnie w milczeniu, nie męcząc rozmową, ale powinien wreszcie zrozumieć, że to niezdrowe... takie siedzenie i milczenie.

Pierwszą osobą, do której zadzwoniłam w dniu, w którym mama zmarła, był

właśnie on. Odebrał już po pierwszym dzwonku.

– Ja cię sunę – powiedział. - Dzięki, że oddzwoniasz. Jeszcze chwila i zabiję swojego ojca.

- Tristan... – wyszeptałam.

– Jest kompletnym palantem – ciągnął dalej. - Myślisz, że można kogoś zabić bezkarnie, tylko dlatego, że jest de...

– Tristan – powtórzyłam, tym razem głośniej. – Moja mama nie żyje.

W telefonie zapadła cisza, słyszałam tylko urywany oddech Tristana. Przeraziłam się, że nic nie mówi. Rzadko kiedy brakowało mu słów; takich sytuacji było kilka – mogłabym je policzyć na palcach jednej ręki.

– Ale ze mnie kretyn – wydukał wreszcie. – Tak mi przykro, Melly.

Wszystkim jest zawsze przykro, jakby byli temu winni.

– To nie twoja wina – powiedziałam.

– Zaraz u ciebie będę.

– Nie musisz...

– Owszem, muszę.

Tristan przyszedł i siedział ze mną przez wiele godzin, głaszcząc mnie po włosach; zaciskałam dłonie w pięści, a potem je otwierałam, palec po palcu, jakbym za każdym razem spodziewała się ujrzeć coś innego.

Teraz prowadzi mnie wzdłuż Connecticut Avenue – człowiek z misją. Mijamy sklep z koralikami (napis na oknie wystawowym obiecuje „Paciorkowy zawrót głowy”), monopolowy i butik Ann Taylor, przechodzimy obok kafejki Kramerbooks i maciupęńskiej galerii sztuki. Kupujemy kawę na wynos w Starbucksie i siadamy na skwerze wewnątrz ronda na jednej z ławek chwilowo nieokupowanych przez bezdomnych albo obściskujące się nastolatki.

Lubię Dupont Circle. Podoba mi się ta mozaika kancelarii prawniczych, ekskluzywnych butików, sklepów z muzyką niezależną, sex shopów, idiotycznych barów tematycznych i absurdalnie drogich hipsterskich knajpek. Lubię sobie przysiąść na gigantycznej, kiczowatej marmurowej fontannie na środku placu i przyglądać się chłopcom z pomalowanymi oczami, pomykającym w obcisłych dżinsach i szalikach Burberry. Latem w soboty Dupont tętni życiem. Pełno tu ludzi robiących zakupy, włączających się, jedzących.

Obserwowałam to nie raz.

– Czasami nie mogę się doczekać, kiedy się stąd wyrwę – wzdygam.

– Chcesz ze mną wyjechać do Nowego Jorku?

Uśmiecham się.

– Pewnie.

– Postanowione. Tylko jak zarobimy milion dolców, żeby przeżyć na Manhattanie?

– Myślałam o handlu narkotykami i uprawianiu nierządu – odpowiadam.

– I to mi się podoba – kwituje Tristan, poklepując mnie po ramieniu. – Na tobie zawsze można polegać.

Gdy zapada cisza, Tristan trąca mnie łokciem, jakby chciał powiedzieć: „Tylko nie odpływaj”.

– Mój ojciec to świr – odzywa się nagle. – Serio, jest zdrowo stuknięty.

– Też mi nowość!

– Danny chciał jechać na ryby – wyjaśnia – a ja na to: „Nie mam ochoty, to nudne i obrzydliwe”, i wtedy mój ojciec mówi... Uwierz mi, Mel, nie żartuję... No więc, mówi: „Zmężniej, Tristan. Nie bądź taką ciotą”.

– Nie ma co, taktownie! – stwierdzam z sarkazmem.

– Nie chodzi o to, że nie lubię spędzać czasu na łonie natury. Po prostu nienawidzę wędkowania. A jednak, gdy wyjechaliśmy na nasze tak zwane wakacje, przez kilka dni nie robiłem nic innego, tylko łowiłem z braćmi ryby, co swoją drogą jest naprawdę nudne i obrzydliwe. A potem sam cuchnąłem rybami, nawet po prysznicu. Zamiast ryby miałem ochotę wypatroszyć coś innego, bo uwierz mi...

– Tristan – przerywam mu.

Natychmiast się zamyka i bierze mnie za rękę.

– Mów, słońce.

– Jutro początek szkoły. Możesz mi coś obiecać?

– Co tylko zechcesz.

– Obiecaj mi – mówię szeptem – że ten rok będzie lepszy niż minione lato.

Mrugam i przed oczami widzę Damona, jak siedzi przygarbiony w boksie, trzymając w ślicznych dłoniach teczkę ze zdjęciami. Widzę, jak się uśmiecha, ukazując rząd prościusieńkich białych zębów i dołeczki w policzkach. Ten uśmiech trwał może ułamek sekundy, ale był piękny.

Oczy Damona były takie zielone.

– Masz to jak w banku – obiecuje Tristan.

Rozstaję się z Tristanem przy stacji metra Tenleytown i wracam pieszo do domu. Billie Holiday mruczy w moich słuchawkach: „Nikommu nic do tego”.

Powietrze zaczyna się ochładzać, brutalna wilgotność staje się bardziej znośna. Idę na tył domu, siadam na dolnym stopniu ganku i patrzę, jak słońce chowa się leniwie za horyzontem, roztopiając błękit nieba w złocisty róż.

Gdy miałam czternaście lat, wyprawiliśmy przyjęcie z okazji czterdziestych piątych urodzin mamy. Było hucznie i tłumnie, goście wylewali się na podwórko i werandę, przysiadali na każdej wolnej powierzchni, popijali drinki, jedli, śmiali się i tańczyli. Tata zamknął tego wieczoru restaurację, tak aby każdy mógł przyjść: Macho, Janine, Dahlia i Andrea, a także wszyscy szeregowi kucharze: José, Rudy i Isaiah. Zjawili się nawet inni nauczyciele – koledzy mamy z pracy – oraz kilkoro dawnych uczniów i niemal wszyscy z grona jej przyjaciół.

Mama była w szczytowej formie, płała po kuchni razem z Macho. W eleganckich wizytowych spodniach z rozszerzonymi nogawkami, białej zapinanej koszuli z otwartym kołnierzykiem, cienkim, czarnym, luźno zawiązanym krawacie i czarnej fedorze nasuniętej na jedno oko wyglądała jota w jotę jak Marlene Dietrich. Próbowwała tańczyć jakąś rozbujaną salsę, przebierając nogami po linoleum do synkopowego rytmu. Momentami za bardzo się wychylała na bok, a wtedy Macho ją łapał i przytrzymał, ostrzegając: „Ostrożnie, Dana, nie zrób sobie krzywdy”.

Tata stał w kącie z uśmiechem na twarzy, przyglądając im się oczami zamglonymi alkoholem i szczęściem. Widząc, jak patrzy na mamę, pomyślałam: Kocha ją. To właśnie miłość.

Późnym wieczorem, gdy wszyscy goście już poszli, mama chwiejnym krokiem wspięła się po schodach na górę, pijana, ale radosna. W holu potknęła się o stertę prania i prawie się wyłożyła. Tym razem to ja przyszedłam jej z pomocą, podtrzymując ją jedną ręką. Mama spojrzała na mnie z wdzięcznością i uśmiechnęła się szeroko.

– Ojej, skarbie, nie chcę, żebyś mnie taką widziała – powiedziała. – Wyglądam okropnie.

– Mamo, wyglądasz pięknie – zaprotestowałam.

Nie kłamałam: z tymi różowymi policzkami, rozpromienionymi oczami i blond włosami spływającymi falami wokół jej twarzy wyglądała bosko, wręcz niesamowicie. Była pełna życia. Sama chciałam tak wyglądać – jak ktoś, kto potrafił przykuć uwagę wszystkich, i tańcząc po kuchni, śmiał się i zarażał śmiechem innych. Dokądkolwiek poszła, roztaczała wokół siebie ciepło niczym chodzący kominek.

– Dziękuję, kochanie – odparła, przykładając mi dłoń do twarzy i przesuwając kciukiem po moim policzku. – Ale ty jesteś najpiękniejsza, wiesz o tym?

Pokręciłam przecząco głową, lecz mama zmusiła mnie, bym podniosła wzrok, po czym patrząc na mnie lśnącymi oczami, dodała:

– Mel, to prawda, i nie daj sobie wmówić niczego innego.

Ludzie wygadują różne dziwne rzeczy po alkoholu. Jestem pewna, że na trzeźwo mama nigdy by czegoś takiego nie powiedziała. Nie dlatego, że tak nie uważała, tylko nigdy nie przyszłoby jej to do głowy. Nie wydaje mi się, żeby robiła to celowo, ale zawsze była gwiazdą przedstawienia, piękną przyciągającą światła reflektorów. Reszta z nas grała jedynie role drugoplanowe, nie tylko w dniu jej urodzin, ale codziennie.

Jak mogłam być najpiękniejsza, skoro to ona była słońcem? Ja byłam jak ten księżyc, blada i widoczna tylko w jej odbitym świetle.

Więc kim jestem teraz, gdy jej zabrakło?

Nie powinno się tak myśleć o zmarłych, prawda? Zmarłych powinno się idealizować. Byli idealni i już ich nie ma.

Tego wieczoru tata ją spacyfikował.

– Lepiej zapakuję tę panią do łóżka – oświadczył, wyłaniając się na szczycie schodów. Objął mamę w pasie i pociągnął do tyłu. Mama piszczała, a on włókł ją do sypialni, po czym rzucił na materac. Zachowywali się jak małe dzieci – chichotali, droczyli się i torturowali łaskotkami, a potem tata zamknął drzwi kopniakiem.

Nagle na korytarzu zrobiło się cicho. Zbyt cicho. Poczułam ciarki na skórze. Poczłapałam do swojego pokoju i wgramoliłam się na łóżko. Siedząc na kołdrze, włączyłam radio i słuchałam, jak didżej stacji WPGC 95,5 puszcza zmysłowe kawałki R&B z dedykacją dla zakochanych. Położyłam się w ubraniu i gapiłam na sufit. Jedna piosenka przechodziła płynnie w drugą, trzymając miarowy rytm. Wkrótce wszystkie głosy zlały się w jeden. Na dworze zaczęło padać, a przez zamontowaną w oknie moskitierę sączył się chłód. Objęłam się rękami i leżałam spokojnie, całkiem nieruchomo.

Tak pewnie wygląda samotność, pomyślałam.

Przyjęcia się skończyły, gdy stan mamy się pogorszył – po chemii straciła włosy, pobladła i zmizerniała. Przestała się spotykać z przyjaciółmi i prawie nie wychodziła z domu. Nie mogła już dłużej ukrywać swojej tajemnicy: łysa głowa, woskowa cera, trzęsące się dłonie i przekrwione oczy wszystko zdradzały.

Zaczęłam przynosić jej lody z pobliskiej lodziarni, którą wspólnie odkryłyśmy. Sprzedawano je w zwykłych, białych półlitrowych pojemnikach, opatrzonych prostymi, czarno-białymi etykietami z nazwami smaków: ciasteczkowe, miętowe z kawałkami czekolady, czekoladowe, mango, kokosowe. Siadałyśmy u niej na łóżku i jadłyśmy prosto z kubelka, łyżka za łyżką. Aż pewnego dnia powiedziała mi, że nie może, że nie utrzyma ich w żołądku. Później się dowiedziałam, że już od wielu tygodni nie czuła smaku; chemoterapia to też jej odebrała.

A potem rak odebrał mi ją. Kropka.

Mama lubiła nosić cylindry, ot tak, dla hecy. Umiała przeklinać w dwunastu językach. Pod wpływem kaprysu wybrała się na kurs tarota, a potem oferowała wróżenie z kart wszystkim, których spotkała. Była zwariowana i nieprzewidywalna. Ludzie nieraz mi mówili: „Twoja mama to dopiero kobieta. Niesamowita. Wyjątkowa. Cudowna”. Czasami patrzyli na mnie sceptycznie i nagle oświadczali: „Masz jej oczy”, jakby zachodzili w głowę, co też po niej odziedziczyłam. Na pewno nie jej urok ani talent, ani barwną osobowość. Ale oczy owszem – taka mała genetyczna nagroda pocieszenia.

Mama była tak szalona, że zawsze sądziłam, iż zginie w honorowym pojedynku o świcie albo w jakimś dziwnym wypadku, skacząc na bungee, albo

jeszcze lepiej – nisko lecący balon na gorące powietrze zetnie jej głowę.

Ale rak? Serio?

To nie ma sensu. Śmierć nie ma sensu.

Rany, już dość. Dlaczego się tak zadręczam?

Burczy mi w brzuchu. Jest już ciemno i dużo chłodniej – według mojego zegarka dochodzi ósma. Wstaję i wchodzę do środka, zastanawiając się, dlaczego tata nie zawołał mnie na kolację. Zazwyczaj ilekroć jest w domu w porze kolacji – co zdarza się rzadko – obsesyjnie pilnuje punktualności posiłku. To dziwne, że nie ma go ani w kuchni, ani na górze.

– Tato?! – krzyczę ze schodów do piwnicy.

Widzę bijące z dołu światło, ale taty ani śladu.

– Kochanie, zaraz przyjdę – dobiega do mnie jego głos, niski i napięty.

Zeskakuję po kilku schodkach. Stąd widzę wyraźniej piwnicę, zagraconą płótnami i kartonami z puszkami farby, pędzlami i paletami, wszystkimi narzędziami artysty. Pracownia mamy, rozłożona na części pierwsze, całe wyposażenie porozrzucane bez ładu i składu. Nie żeby było inaczej, kiedy żyła, tylko że teraz wszystko jest stłoczone w ciemnym pomieszczeniu, a nie rozłożone na widoku w jej słonecznym gabinecie obok salonu.

Tata zaczął znosić tu jej rzeczy kilka tygodni przed jej śmiercią. Wtedy zrozumiałam, że mama już nie wróci ze szpitala.

– Dobrze się czujesz? – pytam.

Po pogrzebie podczas stypy zastałam ojca w kuchni. Robił tosty.

– Tato – zagadnęłam go – co ty, do licha, wyprawiasz?

Popatrzył na mnie mglistymi oczami. Były ciemnobrązowe, a w kącikach zaczerwienione. Z tosterki wyskoczyły grzanki. Spojrzał na nie, jakby nie wiedział, skąd się wzięły.

– Tam są ludzie - odparł.

– No i...? – zachęcałam, żeby rozwinął myśl.

– Jej tu nie ma - dodał.

Wspaniale, pomyślałam. Mama odeszła, a tata postradał zmysły.

– Tato, dobrze się czujesz? – spytałam i w tej samej chwili tego pożałowałam. To oczywiste, że nie czuł się dobrze. Przecież dopiero co pochował żonę.

Zamrugął, po czym bez słowa podał mi tost. Zjadłam go w milczeniu; był suchy, twardawy i bez smaku, prawie jak papier ścierny. Tata objął mnie ramieniem i lekko ścisnął.

Pokonuję resztę stopni. Ojciec siedzi na połamanym drewnianym krześle i przesuwa palcami po wielkim płótnie. W słabym świetle dostrzegam rozmyte, wirujące barwy, z których wyłania się abstrakcyjna, lecz dziwnie znajoma postać.

- Dała mi to – mówi spokojnie – na naszą pierwszą rocznicę. Siedemnaście

lat temu.

Zapalam światło. Teraz widzę, że tą postacią jest mój tata: stoi zgarbiony nad kuchenką i coś gotuje. Białe obłoki pary unoszą się nad garnkiem, pomarańczowe wachlarze płomieni falują wokół palnika. Na jego głowie wiją się loki, teraz już mocno przeredzone. Trzyma rękę nad garnkiem i wsypuje do niego jakąś sproszkowaną substancję.

– Wiedziała to przede mną – szepcze. – Wiedziała, co powinienem robić w życiu, nawet gdy sam rozważałem, czy nie zostać księgowym. „To praktyczne zajęcie – wmawiałem sobie. – Każdy potrzebuje księgowego...”

Zawiesza głos i przeciera dłonią twarz. Kładę mu rękę na ramieniu, by poczuł, że jestem blisko.

– Każdy także potrzebuje jedzenia, tato – mówię szeptem.

O dziwo, z jego gardła wydobywa się śmiech.

– Święta racja, Melly.

Przyciska dłoń do płótna z wizerunkiem jego twarzy i rozchyła palce. W przerwach między nimi dostrzegam strzępki kolorów, detale wyrwane z kontekstu, które nie mają sensu.

Damon, chłopak o zielonych oczach, stojący pośród drzew...

Kim jesteś? – pytam w myślach.

W głowie mam totalny mętlik.

– Przepraszam – mówi tata.

Każdy za coś przeprasza.

– Za co? – pytam.

– Przepraszam, że nie mogłem...

Urywa. Wiem, co chciał powiedzieć: „Uratować mamy. Zatrzymać jej tu. Uleczyć. Przepraszam, że nie zauważyłem jej choroby. Przepraszam, że poznałem prawdę, gdy było już za późno”.

Są rzeczy, na które nie można się przygotować, których nie widzimy.

– To nie twoja wina – pocieszam go.

Odpryskująca farba, gołe cegły i skrytobójcze opary azbestu. Mmm. Szkoła państwowa ponownie wita w swoich progach.

Poprawiam ramięczko stanika i przeciskam się przez bramki detekcji metalu. Szafki na korytarzu wyglądają prawie jak nowe, zero graffiti. Kłują w oczy okropnym jaskrawozielonym kolorem, ale przynajmniej są niepomazane; pozostaną takie tylko przez kilka pierwszych tygodni. Na ścianie przed aulą wisi galeria zdjęć naszych drużyn sportowych, której nie zmieniano zdaje się od czasu wybudowania szkoły. Same fotografie są dość nudne, wszystkie przedstawiają atletów z dawnych lat w heroicznym pozach i niemal komicznych jak na dzisiejsze czasy strojach. Chyba trzymają je tu, aby przypominały nam o tym, że sport to świetna sprawa, choć już zdążyły pożółknąć.

Korytarze bucza zbiorową energią półtora tysiąca nastolatków kipiących hormonami, nawijających o sierpniowej duchocie i swoich dorywczych pracach z piekła rodem, o tym, kto ma nową furę, nowy dom, nowego chłopaka lub nowe ciuchy.

Moje lato upłynęło pod znakiem kelnerowania, oglądania do późna telewizji i głośnego słuchania indie rocka na trzeszczących głośnikach. Do tego niekończące się wizyty w szpitalu, obrzydliwie papkowaty stołowy budyń i wiele nieprzespanych nocy. Moja mama umarła i nikt o tym nie wie z wyjątkiem jednego kumpla, któremu powiedziałam.

Nikogo to nie obchodzi.

To niesamowite, jak toczy się życie w liceum – ludzie tyle plotkują, a tak mało o sobie wiedzą. Moi koledzy z klasy nie są jak statki mijające się nocą, raczej jak elektryczne samochodziki w parku rozrywki, które nieustannie się zderzają, ale nic poza tym.

– Melly! – Tristan chwyta mnie w pasie i unosi w górę, kręcąc mną wokół własnej osi.

Nikt nie jest odporny na te czułości. Uściski Tristana są jak tosty cynamonowe – dobre o każdej porze dnia i nocy.

Tristan pokazuje wszystkie zęby w uśmiechu, połyskując aparatem korekcyjnym. Jego niebieskie oczy lśnią, a ciemne, potargane włosy spływają mu na twarz niczym strugi deszczu.

– Cieszysz się, że mnie widzisz? – pyta.

Wzdycham i pozwalam, by ścisnął mnie jeszcze mocniej. Wtula twarz w moje włosy. Pachnie zieloną herbatą. Tylko Tristan mógł przyjść do szkoły, pachnąc jak japoński napor. Kocham go za to.

Rozlega się przejmujący, donośny dźwięk dzwonka. Odrywamy się od siebie, a Tristan krzywi się i zaczyna kręcić włosy na palcu. Sterczą mu teraz nad czołem jak lody z automatu.

– W porze lunchu umówiłem się z jednym gościem w pewnej sprawie – oświadcza. – Więc nie wiem, kiedy się zobaczymy.

– Mam nadzieję, że nie chodzi o nic nielegalnego? Kim jest ten koleś?

Tristan unosi brew, ale nie odpowiada.

– Może po szkole? – proponuję. – O ile nie masz jeszcze prób.

– W tym roku chyba spróbuję sił w czymś innym – śmieje się Tristan. – Na przykład w... koszykówce.

– Jasne – pryham. – Moja magiczna kula bardzo w to wątpi.

Tristan pokazuje mi w żartach środkowy palec, a ja posyłam mu całusa.

Najpierw biologia, potem angielski, a po nim czytelnia. Nudzę się niemiłosiernie; biologia schodzi mi głównie na robieniu miniaturowych ptaków origami z kawałków planu zajęć. Pracowita ze mnie pszczołka.

Po lekcjach siadam pod drzewem i patrzę, jak moi szkolni koledzy wylewają się z budynku i rozpraszają niczym trujący gaz, który przez wieczór zanieczyści cały świat. Cokolwiek by mówić o amerykańskim systemie szkolnictwa, przynajmniej unieszkodliwia moje bezwartościowe pokolenie na osiem godzin dziennie. Szkoła to dla mnie nie tyle więzienie, ile szpital psychiatryczny, pokój bez klamek dla nieszczęśników dotkniętych patologią, jaką jest dojrzewanie.

– Melly! – Tristan zwała się obok mnie na ziemię i mocno ściska. – Kopę lat!

– Rany, Tristan – mówię, pokasłując. – Zostaw mi trochę powietrza w płucach. Jeszcze mi się przyda.

Tristan jest cały w skowronkach, gdy mnie puszcza.

– Słuchaj, nie uwierzysz. No więc rozmawiałem z panem Grangerem – oświadcza radośnie – i on twierdzi, że mogę mieć rację z tymi Iluminatami...

Staram się słuchać rozwlekłego wywodu Tristana na temat Kościoła Katolickiego i jego możliwych powiązań z jakimś tajnym szatańskim stowarzyszeniem, ale już po trzydziestu sekundach wyłączam się, skupiając uwagę na sunącej tam i z powrotem procesji ludzi. Niekończący się potok dżinsów, T-shirtów i tramppek; tu i ówdzie jakieś kolczyki, okropne – pewnie zmywalne – tatuaże albo źle dobrane fryzury.

I nagle ktoś przykuwa mój wzrok

Damon.

Byłam ciekawa, kiedy znów go zobaczę.

W restauracji nie miałam okazji dobrze mu się przyjrzeć. Poświęcam więc chwilę, by omieść go wzrokiem. Jest wysoki, tyczkowaty, ma na sobie czarną koszulkę i workowate dżinsy, opadające na znoszone sportowe pumy. Skóra koloru latte, ciemne, kędzierzawe włosy i oczy tak zielone, że zawstydzilyby nawet Kermita. Poza tym wydatne kości policzkowe, wysoko osadzone i wyraziste. Na ramieniu ma torbę fotograficzną. Opiera się o budynek szkoły i rozmawia z kilkoma kolesiami z drużyny koszykarskiej. Podnosi szczupłą dłoń o długich palcach i układa ją w kształt pistoletu, celując w jednego z rechoczących kolegów.

Obserwuję, jak dyskutuje z jednym z graczy. Z początku obaj sprawiają wrażenie, jakby żartowali, ale potem Damon odpycha tego drugiego, osuwa się po ścianie w kucki i wyciąga z torby aparat. Unosi go do oczu, spogląda przez wizjer i zaciska palce wokół obiektywu, dostosowując ostrość.

Czy on patrzy na mnie?

– ...I tak właśnie zabili Jimmy'ego Hoffę! To naprawdę fascynujące, Melly... Melanie?

Tristan prawie miażdży mi rękę, próbując przykuć moją uwagę. Odwracam głowę, skupiając wzrok na jego twarzy.

– Nic ci nie jest, Mel? – pyta, unosząc brwi.

– Nie. – Odgarniam z oczu pojedyncze pasma włosów. – Tylko mam dużo zadane. Złapiemy się później.

– No to pa – rzuca Tristan, podskakuje i ponownie mnie ściska. Jest taki ciepły i ładnie pachnie. Jego oczy mówią: „Pogadamy później, panienko”, ale to nie groźba, raczej obietnica.

W domu zaszywam się bezpiecznie w swoim pokoju, wsuwam płytę Niny Simone do wieży, zwijam się w kłębek i słucham, jak zawodzi o niedoli na świecie. Jednak kiedy zamykam oczy, w moich myślach pojawia się Damon: zielonooki Damon, który lubi czarną kawę. Damon, który chodzi do mojej szkoły. Kiedy oznajmił mi, że zaczyna naukę w Hamilton High, nawet nie pomyślałam, co to tak naprawdę znaczyło.

Wymyślam mu fikcyjne życie. Przypuśćmy, że jest jedynakiem i ma bardzo atrakcyjnych rodziców. Gra w koszykówkę i uważa, że „Sports Illustrated” to kawał świetnego dziennikarstwa. Nigdy w życiu nie czytał poezji. Jest grzeczny i uprzejmy, ale niezbyt bystry. Ogląda jedynie filmy akcji, w których ludzie wylatują w powietrze. W weekendy spotyka się z przyjaciółmi – razem piją, przewracają kubły na śmieci i mają z tego ubaw po pachy.

Nie, coś tu nie gra.

– Melly, nie dajesz chłopcom szansy – powtarzała mi mama. Siadała w kuchni z filiżanką kawy w poplamionych farbą dłoniach i spoglądała na mnie przez okulary w cienkiej, drucianej oprawie, które zsuwały jej się z nosa.

– Nieprawda – odpowiadałam.

– Ani dziewczętom.

Może miała rację. Zawsze byłam tylko ja i Tristan, złączeni od pierwszej klasy podstawówki wspólnym zamiłowaniem do kolorowanek ze Spider-Manem. Ale od wielu lat nie miałam żadnej dobrej przyjaciółki. Pamiętam dokładnie, kiedy przestałam się o nie starać – w gimnazjum. Właśnie wtedy wszyscy zrobili się wredni: żarty stały się bardziej złośliwe, a przytyki bardziej osobiste. Moje ubrania nigdy nie były wystarczająco modne. Moja fryzura nigdy nie była wystarczająco ładna. „Hej, Melanie, dzwonili z roku siedemdziesiątego czwartego i chcą, żebyś zwróciła im dzwony” – dogryzła mi kiedyś Sophie Angelino. Chyba cała klasa się ze mnie śmiała.

Na co komu takie koleżanki?

Mama nie zrozumiałaby tego, bo nie byłam taka jak ona: powszechnie lubiana, urocza, wyluzowana i ładna. Nie zawierałam przyjaźni tak łatwo. Nie pasowałam do reszty. Nie umiałam flirtować, odrzucając zalotnie włosy i trzepocząc rzęsami, by przyciągnąć uwagę chłopców. Chłopcy nie patrzyli na mnie w ten sposób. Oni w ogóle na mnie nie patrzyli.

Czasami się zastanawiałam, czy to dlatego, że właściwie nie było na co patrzeć.

„Dałabym im szansę – powtarzałam sobie w myślach – gdyby oni dali ją mnie”.

Przetrzęsam torebkę w poszukiwaniu zdjęcia Carlosa, które dostałam od Damona. Jest piękne. Nawet nie znam tego chłopaka, a mimo wszystko ilekroć na nie patrzę, wywołuje uśmiech na mojej twarzy.

Może w ten sposób Damon chciał mi dać szansę. Chciał mnie do siebie dopuścić.

Ciekawe, o co chodzi z tym aparatem. W ogóle się z nim nie rozstaje. Czuję, że kryje się za tym jakaś historia, i chcę ją poznać.

Damon mógł po prostu odejść, kiedy zobaczył, jak płaczę w parku. Tak postąpiłaby większość osób. Właśnie w takim świecie żyjemy – pełnym ludzi, którzy wolą odwrócić wzrok.

Ale Damon tego nie zrobił. Przejął się. Chciał pomóc.

To coś znaczy.

W sobotę tata oświadcza, że babcia Agnes chce się ze mną zobaczyć.

W ogóle mnie to nie cieszy.

Nie żebym nie lubiła babci Agnes. Jest mamą mojej mamy i jedyną babcią, jaka mi pozostała. Rodzice taty zmarli, gdy byłam mała, nie zdążyłam ich nawet dobrze poznać, a ojciec mamy odszedł, zanim się urodziłam.

Mimo to nigdy nie byłam blisko z babcią Agnes. Przychodziła czasami na wernisaże mamy lub na kolację, ale zawsze dało się wyczuć pewien dystans między nią a jej córką, jakby za bardzo się różniły, by wytworzyć prawdziwą więź. Mama nigdy o tym nie mówiła, ale odniosłam wrażenie, że babcia Agnes tak naprawdę nie rozumiała, dlaczego mama chciała zostać artystką.

Któregoś razu w Święto Dziękczynienia podsłuchałam ich rozmowę w przedpokoju. Babcia Agnes zwróciła się do mamy tonem nieznośnym sprzeciwu:

– Dana, nauczanie to szlachetne zajęcie, ale teraz, gdy Gary porzucił księgowość dla własnej restauracji, ledwo sobie radzicie. Jesteś bystra, mogłabyś...

– Na Boga, mamó! Odsuść już sobie!

– Ale gdybyś zajęła się czymś praktycznym...

Mama nie odpowiedziała. Po prostu odeszła, mijając się ze mną bez słowa w przedpokoju, zupełnie jakby mnie nie widziała.

Taka już była: żeby ją zrozumieć, trzeba było najpierw zrozumieć ją jako artystkę. Sztuka była nieodłączną częścią jej życia, tym, co kochała i co robiła; była jej sposobem patrzenia na świat. Zajmowała się nią, bo musiała, miała to we krwi. Problem nie polegał na tym, że nie chciała przestać, po prostu nie mogła.

Ostatnio babcia Agnes trochę zdziwaczała, ale to nie jej wina. W końcu ma osiemdziesiąt lat. W pewnym wieku wolno wyzbyć się zahamowań i mówić, co ślina na język przyniesie, nie dbając o czyjeś uczucia, choć ona właściwie nigdy nie

miała takich oporów.

– Proszę, nie sprzeczasz się ze mną o to – mówi tata. – Po prostu tam pojedź.

– Ty się nie wybierasz? – pytam, a on potrząsa głową.

Świetnie. Wysyła mnie do niej jak baranka na rzeź.

– To nie fair...

– Melly – podejmuje, wyglądając przy tym tak, jakby uszło z niego powietrze – ona chce się zobaczyć z tobą. Wiem, że wolałabyś robić inne rzeczy w sobotę, ale to twoja babcia i cię kocha. Proszę, po prostu spędź z nią kilka godzin, okej?

I tak, chcąc nie chcąc, spędzam sobotnie popołudnie u babci, w jej małym, ciepłym i dusznym mieszkaniu. Całe upstrzone jest kwiecistymi wzorami – kanapa w kwiaty, zasłony w kwiaty, tapeta w kwiaty i kwiaty na obrazach. To wielki bukiet, nie mieszkanie! Można pomyśleć, że przy takim zatrzęsieniu kwiatowych motywów powinno być tu miło i przytulnie, ale nie jest – śmierdzi stęchlizną, a babcia nigdy nie podciąga rolet, więc jest ciemno i ponuro. I nie ma tu żadnych żywych roślin.

Babcia Agnes częstuje mnie kanapką z tuńczykiem. Ma na sobie sweter w żyrafy – cała ona.

– Jak sobie radzisz? – pyta.

Niepewnie zanurzam zęby w kanapce. Babcia nie jest najlepszą kucharką, ale sądząc po smaku, chyba przeżyję.

– Nie najgorzej – odpowiadam.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Wyglądasz na zmęczoną. Wysypiasz się?

Wzruszam ramionami, a ona wzdycha.

– Co się stało, Melanie?

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– O to! – wyjaśnia, wskazując na mnie wymownie ręką. – Jeszcze kilka miesięcy temu byłaś zupełnie normalna. A teraz masz te włosy i biżuterię w dziwnych miejscach, a twoje ubranie wygląda jak ze śmietnika.

Dzisiaj akurat włożyłam mniej obszarpane džinsy i T-shirt z zespołem The Smiths, który znalazłam kilka tygodni temu w jakimś sklepie z używanymi rzeczami. Jak na mnie, to i tak przyzwoicie.

– Lubię się tak ubierać – odpowiadam.

Przypominam sobie, jak pierwszy raz pofarbowałam włosy. To było w dniu, kiedy mama miała ostatnią rundę chemioterapii. Lekarze nie powiedzieli, że to ostatnia, ale na tym etapie dalsze leczenie nie miało już sensu – rak dawał przerzuty i żadna z poprzednich serii chemii nie przyniosła efektów. „To moje ostatnie podejście – wóz albo przewóz” – oświadczyła mama i posłała mi gorzki uśmiech. Przez kilka godzin siedziałam pod drzwiami łazienki, nasłuchując, jak wymiotuje.

Wreszcie zaprowadziłam ją do łóżka i zasnęła. Wróciłam na górę i odgrzebawszy farbę do włosów, którą kupiliśmy z Tristanem na poprzednie Halloween, zrobiłam sobie szkarłatne pasemka. Gdy znów do niej zeszałam, już nie spała. Spojrzała na mnie i wyciągnawszy ręce, przeczesała mi włosy. Żywa czerwień mocno kontrastowała z bielą jej dłoni, które nigdy nie były tak blade.

– Podobają mi się – oświadczyła. – W twoim wieku też się tak farbowałam.

– Naprawdę? – spytałam z niedowierzaniem. – To było wtedy, gdy miałaś fazę na punk rocka?

– Wyczuwam w twoim głosie nutę sarkazmu – zauważyła. – Wypraszam sobie.

– Ależ skąd, mam – zaprzeczyłam.

– Musisz wiedzieć – przemówiła autorytarnym tonem, choć była już bardzo słaba – że zawsze byłam i będę punkrockową dziewczyną.

– Uhm – przytaknęłam.

– To stan umysłu, nie włosów.

– Mamo, co ty mówisz? Stan włosów?

Zrobiła dramatyczny gest ręką.

– Podaj mi, proszę, perukę z zielonymi pasemkami, żebyśmy wyglądały podobnie.

Mijały kolejne miesiące, a mama była coraz bledsza. Wyglądała, jakby dosłownie znikwała, nieubłaganie wymazywana z kartki gumką do ścierania. Stopniowo gasła i słabła; było jej coraz mniej. Ja zmieniałam się wraz z nią. Przekłuwałam sobie uszy – jedna dziurka za każdy dzień, kiedy wracałam do domu i zastawałam ją na kolanach wymiotującą w łazience, wycieńczoną suchymi torsjami. Rwałam sobie dzinsy, dopóki nie były w strzępach jak moje nerwy. Kupowałam T-shirty z wulgarnymi nazwami zespołów, których nigdy nie słuchałam, pod przykrywką buntu wobec istniejącego stanu rzeczy. Patrzyłam na brud zbierający się pod moimi paznokciami i zastanawiałam się, z jakiego grobu próbowałam się wydostać.

Nagle to ja byłam słońcem: oślepiającym, bijącym w oczy, zbyt jaskrawym, by patrzeć na nie wprost. Mama zaś była księżycem: stopniowo ubywającym sierpem, który w końcu całkiem znikł.

– Czy to taka faza? – pyta babcia. – Wiem, że nastolatki czasami się buntują, ale ty byłaś zawsze taka rozsądna.

Rozsądna. Tak, taka byłam. Rozsądna, praktyczna, cicha. Nudna jak flaki z olejem.

– To żaden bunt – protestuję.

– Chodzi o twoją matkę? – drąży dalej.

Tego dnia, kiedy w parku spotkałam Damona, siedziałam w tym samym miejscu, w którym czasami wspólnie rysowałyśmy. Pomyślałam wtedy: „Już nigdy

tu z nią nie przyjdę”. To było jak cios w brzuch. Przez te wszystkie miesiące patrzyłam, jak umiera, a jednak nie dopuszczałam do siebie, że to się dzieje naprawdę. Że to nieodwracalne. Nigdy nie byłam osobą religijną, ale nagle zrozumiałam, skąd wzięło się tyle legend o życiu pozagrobowym.

Bo jak można po prostu przestać istnieć?

Być może taki strój, farbowane włosy i kolczyki w dziwnych miejscach to faktycznie głupota. Wiem, że to wszystko nie przywróci mi mamy. Nie przywróciło, gdy była chora, więc tym bardziej teraz.

Jednak kiedy się tak ubieram, czuję się bezpieczniej i bliżej niej. Bardziej punkrockowo.

Wtedy czuję, że dam radę i że mogę żyć bez niej.

Nie mogę już dłużej być cichą, spokojną Melanie, tą nudziarą, która nigdy się nie wychyla i o nic nie prosi, bo tak jest łatwiej.

Świat musi teraz przywyknąć do nowej Melanie.

Ale wątpię, by babcia Agnes to zrozumiała.

– To nie ma z nią nic wspólnego – odpowiadam.

Damon

Zawsze się naśmiewałeś, że nie potrafię podrywać dziewczyn. Mówiłeś: „Wielkie nadzieje, D. Wielkie nadzieje, zero szans”.

Pewnie miałeś rację.

Tylko co ty mogłeś wiedzieć o dziewczynach? Owszem, zabawiałeś się z wieloma, ale żadnej nie traktowałeś poważnie.

Nigdy nie powiedziałeś: „Stary, to jest to. Tym razem wpadłem po uszy”.

Dlaczego wcześniej tego nie dostrzegałem?

ROZDZIAŁ TRZECI

No więc staram się o rolę w sztuce, bo czemu nie? Jeśli ją dostanę, wyrwę się z domu – byle z dala od rodziców. I będę miał jakieś zajęcie. Chyba właśnie tego mi potrzeba: czegoś, co skupi moją uwagę.

Przed pierwszą turą przesłuchań pogrążam się w muzyce. Etta James zawodzi i mruczy w moich słuchawkach; słodka melodia śący mi się powoli do uszu. Za każdym razem mam wrażenie, że Etta śpiewa tylko dla mnie, jej głos jest tak intymny i ponętnie chropawy.

Rozglądam się po słabo oświetlonej sali teatralnej. Dookoła ludzie przemieszczają się bezgłośnie, śmieją się, przepychają i plotkują, ekspresyjnie gestykulując. W głowie odtwarzam własną wersję dialogu dwóch dziewczyn, które siedzą na skraju sceny w podobnych ciemnych, sztruksowych miniówkach, dyndając nogami w botkach do kostek.

– Nie uwierzysz, jaki z niego palant.

– A konkretnie?

– Typowy facet. Myśli nie tą głową, co trzeba.

Bez namysłu sięgam po aparat, podnoszę go i pstrykam im zdjęcie. Żadna tego nie widzi; są zbyt zaaferowane rozmową o Bóg wie czym, i wcale mnie to nie obchodzi.

Ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu i nagle cały sztywnieję. Odkładam aparat na bok. Jedna ze słuchawek wypada mi z ucha i Etta już nie mruczy do mnie w stereo. Jakiś chłopak o ciemnych włosach i jasnoniebieskich oczach spogląda na mnie i porusza ustami, jakby coś mówił. Wyjmuję drugą słuchawkę i pochylam się do przodu, nadstawiając ucho.

– Co, proszę? – pytam.

– Czego słuchasz? – powtarza chłopak. – To musi być dobre. Wyglądałeś, jakbyś odpłynął myślami na dalekie wody.

– Znam cię skądś?

Chłopak uśmiecha się, błyskając metalowym aparatem na zębach.

– Nie wiem, znasz? Podobno wszyscy biali chłopcy wyglądają tak samo.

– Słucham Etty James – odpowiadam, odwzajemniając uśmiech.

– Ahaaa. Wszystko jasne. Etta James była boginią. Gdybym był hetero, a ona by żyła, chętnie bym ją zaliczył. Może nawet tak czy siak. To znaczy... nie po śmierci. Kumasz?

– Dobrze wiedzieć – kwituję, tłumiąc śmiech.

– Jestem Tristan – rzuca chłopak. – Nigdy cię tu nie widziałem. Na pewno bym zapamiętał.

Rany. Carlos miał chyba taką samą bajerę.

– Damon – przedstawiam się i podaję mu rękę.
Tristan ściska ją mocno.
– Więc co taki miły chłopiec robi w takim miejscu jak to? – ciągnie dalej.
– Staram się o rolę – wyjaśniam. – W przedstawieniu.
– Masz na myśli to... – zaczyna, po czym marszczy nos. – Wiesz co, zapomnij, co powiedziałem. Cham ze mnie. Po prostu... podobasz mi się i...
– Nie jestem gejem – oświadczam stanowczo. – Nie wiem nawet, czy jestem aktorem.

Tristan macha lekceważąco ręką.

– Żaden z nas tego nie wie. Ale jesteś pewien, że nie...

– Tak. Jestem pewien.

– Ludzie mogą sobie pomyśleć...

– Niech sobie myślą, co chcą. Nie dbam o to – przyznaję.

Tristan przygląda mi się uważnie, taksując moją twarz.

– Okej – mówi.

Z głębi auli dobiega stukot. Przed nami pojawia się kobieta w kolorowej chuście z misternym wzorem i kolczykach, które – mógłbym przysiąc – wyglądają jak miniaturowe pieski. Sprawia wrażenie zaganianej i żywo gestykuluje.

– Moi drodzy – zwraca się do nas – zbliżcie się. Zapraszam wszystkich, którzy chcą wziąć udział w przesłuchaniach!

Zbieram się na odwagę, cytując w myślach Otella: „Moja godność, charakter, sumienie każą mi czoło stawić im otwarcie”^[3].

Tristan zostaje wezwany jako pierwszy. Jest pewny siebie i widać, że świetnie się czuje na scenie, jego artykulacja i impostacja głosu zdradzają lata doskonalenia aktorskiego. Ale Tristan nie jest tylko dobrze wyszkolony – on jest naprawdę dobry. W jego wykonaniu Kasjo nabiera charakteru, jawi się jako postać nietuzinkowa, złożona, czego nigdy bym o nim nie powiedział. W przypadku tego bohatera, często uznawanego za jednowymiarowego przystojniaczka mającego jedynie popchnąć fabułę do przodu, to nie lada osiągnięcie.

– Dobre imię, dobre imię, dobre imię! – rozpacza Tristan, chowając głowę w dłoniach. – O, straciłem moje dobre imię! Straciłem nieśmiertelną część samego siebie, a co zostało, jest bydlęce.

I nagle dociera do mnie, skąd kojarzę Tristana. Przyjaźni się z Melanie. Widziałem ich razem pierwszego dnia po szkole, rozmawiali i żartowali. Już miałem zrobić im zdjęcie, gdy nagle pomyślałem: Nie, nie tym razem.

Gdy słyszę swoje nazwisko, czuję ogromną ulgę. Na scenie zapominam o wszystkim poza tekstem, zapominam o publiczności, a także o tym, że we własnej sypialni nadal czuję się jak w pokoju hotelowym, bez względu na wystrój. Zapominam, że jestem tu nowy.

Zapominam o Carlosie, zapominam o bliźnie na jego górnej wardze,

zapominam o tym, jak się śmiał albo odgarniał włosy z oczu, kiedy był absolutnie poważny i szczerzy.

Mówił wtedy: „Nie ściemniam, stary. Wiem, że to brzmi jak jakiś totalny kosmos, ale mówię prawdę. Powaga”.

Gdy kończę wygłaszać kwestię, schodzę wolno ze sceny, udając bardziej pewnego siebie, niż się czuję. Za kulisami pochylam się i opieram rękami o uda, przeciągle wypuszczając powietrze ustami.

– Wszystko w porządku?

Odwracam się i widzę Tristana. Stoi z założonymi rękami i przygląda mi się z troską.

– Chłopie, wszędzie cię pełno – odpowiadam, śmiejąc się nerwowo.

– Lepiej do tego przywyknij. Wygląda na to, że będziemy się często widywać, przyjacielu.

Pocieram dłonią czoło. Jest mi gorąco, ale skórę mam chłodną w dotyku.

– Skąd ta pewność?

– Bo będziesz grał Otella – oświadcza Tristan.

Ton jego głosu nie dopuszcza sprzeciwu.

– Tak sądzisz? – pytam z niedowierzaniem.

– Pewnie – odpowiada. – Byłaby szalona, gdyby cię nie wybrała.

Czując wypieki na policzkach, wbijam rękę w kieszenie.

– No nie wiem.

– Za to ja wiem – pociesza mnie Tristan.

Zapada cisza. Nie wiem, co powiedzieć.

– A tak przy okazji, niczego wcześniej nie sugerowałem – odzywa się nagle Tristan. – Po prostu się wygłupiałem.

Widzę, że Tristan przeżywa chwilę grozy, zastanawiając się: „Czy ty też będziesz taki jak inni?”.

– Wiem – odpowiadam i posyłam mu lekki uśmiech. – Wyluzuj, stary.

Po przesłuchaniach idę na przystanek autobusowy ze słuchawkami głęboko wetkniętymi w uszy. Nagle dobiega do mnie głośny odgłos klaksonu; słyszę go pomimo brząkania Otisa Reddinga. Podnoszę wzrok i widzę, jak Praga wychyla się przez okno dużego czarnego pikapa i krzyczy coś do mnie z siedzenia pasażera.

– Hej, piękniś! – zaczepia mnie. – Chciałbyś cukiereczka?

– Nie, dzięki – odburkuję, gdy samochód zatrzymuje się obok mnie.

– Potrzebujesz transportu? – pyta. – Jackson i ja chętnie cię podwieziemy.

Wodzę spojrzeniem między nim a kierowcą pikapa, tym samym kołesiem w bandanie, który mierzył mnie gniewnym wzrokiem, gdy przyglądałem się, jak grają w kosza.

– Dzięki, przejdę się – rzucam krótko.

– Nie bądź taki – nalega Praga, przeciągając sylaby. – Wsiadaj.

Uznaję, że nie ma sensu się z nim sprzeczać, i wsiadam do środka. Jackson nadal milczy; pochyła się i podkręca głośniej radio, akurat gdy Lil Wayne w niesmacznych szczegółach opisuje damski tyłek.

– Co tu jeszcze robisz o tej porze? – pyta Praga, odwracając się do mnie na siedzeniu. – My dopiero skończyliśmy trening. Nasz trener jest nienormalny. Kazał Jacksonowi biegać wte i wewte zupełnie bez powodu. Wiesz, taki samobójczy sprint.

Widzę, jak palce Jacksona zaciskają się mocniej na kierownicy.

Samobójczy sprint.

Powaga?

Lepszej nazwy nie było?

– Byłem na przesłuchaniach do przedstawienia – odpowiadam.

Praga robi wielkie oczy.

– Gdzie?!

Jackson prycha z pogardą.

– Na przesłuchaniach do przedstawienia – powtarzam. – Jesienią wystawiają sztukę.

Praga patrzy na mnie tępo.

– Serio? Nie wydaje ci się, że to trochę...

– ...pedalskie? – dokańcza za niego Jackson. Po raz pierwszy zabiera głos w rozmowie.

– Nie, czemu? To, że biorę udział w przedstawieniu, nie czyni ze mnie od razu geja.

– Wszyscy kolesie bawiący się w teatr to zwykle cioty – stwierdza Jackson.

– Racja, D. Jackson wie, co mówi – przytakuje mu Praga.

– Doprawdy? – Pochylam się do przodu i rzucam do Jacksona: – A niby skąd? Zadajesz się z nimi?

Jackson być może jest palantem, ale nie idiotą. Wyłapuje sarkastyczną aluzję w moim głosie.

– Wiesz co, Lewis? – zwraca się do mnie niskim głosem. – Będzie lepiej, jak się przejdiesz.

– Z chęcią – ripostuję i na najbliższych światłach wsiadam bez słowa.

Carlos czasami też zachowywał się jak skończony dupek, ale nigdy nie dawał mi odczuć, że moje zamiłowanie do teatru jest niestosowne albo głupie. Tylko raz zakwestionował moją decyzję o udziale w przedstawieniu, rok temu, pewnego jesienno-wieczoru po próbie. Siedzieliśmy na wygodnej kanapie u mnie w piwnicy i oglądaliśmy jakiś gniot z Adamem Sandlerem czy Willem Ferrellem. Carlos był nadzwyczaj cichy, wydawał się nieobecny myślami. Przyciągał kolana do piersi, jakby chciał się skulić w sobie. Warto dodać, że Carlos nie był postawnym facetem – był raczej mikry, szeroki w barkach, i tyle. Praktycznie

wtopił się w poduszki. Już wcześniej dopytywałem się, co go trapi, ale zbył mnie zdawkowym „*Nada, hombre*^[4], ciii”, i tak oto milczeliśmy w pokoju stanowczo za małym, by wytrwać w ciszy.

– Sam nie wiem, stary – odezwał się nagle, jakbyśmy byli w trakcie rozmowy. – Zastanawiałeś się nad tym całym teatrem? Nie martwisz się, że ludzie sobie coś pomyślą?

Odwrociłem głowę, by spojrzeć mu prosto w twarz. Carlos opierał brodę na kolanach, gapiąc się przed siebie.

– Sądziłem, że masz w dupie to, co myślą inni – zauważyłem.

– Prawda – zgodził się Carlos. – Ale to nie o mnie chodzi, tylko o ciebie. Jesteś lubiany.

– Ty też.

– A ty co? Lecisz na mnie? Odczep się, stary – warknął, piorunując mnie wzrokiem. – Walić to. Ty też się wal.

Przywykłem do jego nagłych wybuchów złości. Potrafił być wtedy naprawdę wredny, ale potem zawsze przeproszał. Ilekroć się tak zachowywał, w głowie słyszałem słowa jego ojca: „Tylko mi tu nie wymiękaj, Carlito. Nie bądź mięczakiem”.

– Jeśli komuś się nie podoba, że gram w teatrze, nie musi się ze mną przyjaźnić – skwitowałem. – Na co mi to?

Carlos zamilkł na chwilę, przyciskając brodę do kolan.

– Nie twierdzę, że tego nie kumam – odezwał się w końcu. – Czasami fajnie jest poudawać kogoś innego.

Wtedy się nad tym nie zastanawiałem... nad tym, co miał na myśli. Chyba każdy czasami marzy o tym, by być kimś innym. O tym, by uciec od tego wszystkiego.

Ale nie tak jak Carlos.

Carlos zawsze to rozumiał. Zawsze rozumiał mnie.

Za to ja – tak mi się zdaje – nie zawsze rozumiałem jego.

Nazajutrz rano wpatruję się w kartkę przypiętą do tablicy ogłoszeń obok auli; słowo „Obsada” wiruje mi w oczach.

– A nie mówiłem?

Odwracam się i widzę szczerzącego się do mnie Tristana.

– Gościu, musisz przestać się tak skradać. Przez ciebie dostanę zawału.

– Nie mój problem, że zawsze bujasz w obłokach – odgryza się Tristan. – Nikt cię nie nauczył, że należy mieć oczy dookoła głowy?

– Nie przypominam sobie – odpowiadam.

– Tak czy siak, gratuluję. Wiedziałem, że dostaniesz rolę Otella.

– Kasjo – czytam przy jego nazwisku. – No, no, też nieźle.

– Taaa, jasne. Będę naiwnym palantem, który podkochuje się w dziwce. Kto

by nie chciał?! – kpi Tristan.

– Nie bez powodu nazywa się to „odgrywaniem roli”.

– Jesteś zbyt łaskawy. Nie mam pewności co do tego naiwnego palanta, ale w ostatnim czasie zdecydowanie nie romansowałem z żadną dziwką.

Unoszę pytająco brwi.

– W ostatnim czasie?

– Przynajmniej w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

– Może dla tej roli będziesz się musiał poświęcić – żartuję, a on uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Przejdźmy się, panie Lewis – proponuje Tristan, wskazując ręką w głąb korytarza.

– Dziwnie ci z tym? – pytam, wlekąc się za nim i lawirując pośród morza ciał. – Chodzi mi o to, że grasz hetero.

– Niekoniecznie – odpowiada Tristan. – Nie dziwniej niż na co dzień. Gra to gra – stwierdza obojętnie i podciąga plecak wyżej na ramię. – Jak na ironię, akurat w tej roli mam chyba największe doświadczenie. Trening czyni mistrza, prawda?

Czuję ból w piersi, jakby ktoś ścisnął mi serce.

– Mmm, fizyka, mój ulubiony przedmiot – ironizuje Tristan, gdy docieramy do laboratorium. – Widzimy się później na próbie, O. Mogę ci mówić „O.”? Tak w skrócie?

Wzruszam ramionami.

Tristan trzepocze rzęsami i układa palce w kształt serca na wysokości klatki piersiowej.

Podczas lunchu w stołówce widzę Pragę. Siedzi przy stole ze wszystkimi swoimi kumplami od kosza. Pytluje, śmieje się i wykonuje obsceniczne gesty, prawdopodobnie opowiadając historyjkę o jakiejś dziewczynie, którą poderwał, a potem rzucił. Przyglądam się mu przez dobrą minutę, zanim mnie dostrzega. Podnosi rękę, jakby chciał mi pomachać, ale w po chwili zmienia zdanie.

Chrzanić to. Co się będę przejmował.

Gdy docieram na próbę, czuję się przytłoczony liczbą obcych mi ludzi, którzy sprawiają wrażenie, jakby dobrze się znali. Nigdzie nie widzę Tristana, więc muszę prowadzić kurtuazyjne rozmowy z innymi aktorami, między innymi z Lacey Andrews, która gra Desdemonę. Jest wysoką, szczupłą, ładną dziewczyną o długich, kręconych blond włosach i niebieskich oczach. Gdy zarzuca głową, jej loki podskakują radośnie jak pajacyki.

– Strasznie się cieszę, że będziemy ze sobą współpracować – szczebiocze. – Nie widziałam cię podczas przesłuchań, ale Tristan twierdzi, że masz wielki talent.

Czuję się, jakbym był na jakimś hollywoodzkim przyjęciu, a Tristan robił za mojego obrotowego agenta. Nagle dociera do mnie, jak to musi wyglądać – jakiś nowy dzieciak wtrącała się na przesłuchania i zgarnia główną rolę.

Gdybym należał do reszty grupy, pewnie nie darzyłbym siebie sympatią.

– Dzięki – odpowiadam. – Mam nadzieję, że daję radę.

Pani McAvoy przychodzi spóźniona. W ostatniej chwili w akcie desperacji czmycham za kulisy, by uniknąć niezobowiązującej pogawędki i nie musieć odpowiadać na głupie pytania, które zwykle padają przy takiej okazji: „Skąd się przeniosłeś?” – Skądś indziej; „Podoba ci się tu?” – Za wcześnie na ocenę.

Kulisy teatru zawsze mnie fascynowały: zatechłe powietrze pełne kurzu, setki lin i tajemniczych kabli. Nigdy nie wiem, co tam znajduję, i to jest najlepsze. Przechadzam się po drewnianych deskach, przejeżdżając dłońmi po rozsypanych cekinach, piórach i filcowych skrawkach, pozostałościach po wcześniejszych produkcjach.

Choć nieraz za kulisami natykałem się na coś niespodziewanego i tak jestem w szoku, widząc Tristana obściskującego się z jakimś wysokim chłopakiem, przypartym do krokwi. Ten drugi koleś ma na sobie coś, co wygląda jak strój piłkarski, ale to nie przeszkadza Tristanowi, by wpakować mu rękę do spodenek.

Próbuję się wymknąć niepostrzeżenie, ale uderzam stopą w sztuczny miecz, który sunąc po podłodze robi sporo hałasu.

Tristan i ten drugi odskakują od siebie, jakby ktoś poraził ich prądem.

– O, cześć – dukam, niezręcznie machając. – Przepraszam. Nie wiedziałem, że ktoś tu jest.

– Bryan... – zaczyna Tristan, ale Bryan nie czeka; odsuwa się i poprawia ubranie.

– Spotkamy się później – rzuca i odwraca wzrok od Tristana. – I tak muszę iść na trening.

Bryan znika tak szybko, że przez chwilę się zastanawiam, czy mi się nie przywidział. Odwracam się i widzę Tristana opartego o ścianę, z purpurową twarzą i zmierzwionymi włosami... Nie, to nie było złudzenie.

– Sorki, że wam przeszkodziłem – mówię. – Naprawdę, nie...

– Spoko, nie przejmuj się – odpowiada Tristan, usiłując przygładzić włosy. – My też musimy potrenować, no nie? Zresztą lepiej, że to byłeś ty, a nie pani McAvoy. – Na tę myśl wstrząsa nim dreszcz.

– Pewnie tak – odpowiadam z uśmiechem. – Czyli... to twój chłopak?

Tristan kiwa dwuznacznie głową, zapinając prawie pod szyję guziki koszuli.

– Powiedzmy. Sam nie wiem. Bryan jest dziwny. Spiknąłem się z nim w zeszłym roku. Uznałem, że to jednorazowa przygoda, ale potem zobaczyłem go na zajęciach z angielskiego i tak jakoś wyszło. Zaczęliśmy ze sobą gadać, on ciągle do mnie esemesował, a ja... – Tristan urywa. – Nie wiem, to głupie i takie szczeniackie. Chyba nie powinienem o tym mówić.

– To tajemnica? – pytam.

– Cóż, Bryan nie jest jawnym i dumnym gejem... Jaśnie pan futbolista –

tłumaczy Tristan i przewraca oczami. – W sumie ja też się z tym nie obnoszę.

Przyglądam mu się z niedowierzaniem.

– Słuchaj, przyjmijmy, że szkoła jest takim moim prywatnym Las Vegas. Cokolwiek się tu dzieje, tu zostaje – oświadcza. – Wiesz, mój ojciec jest politykiem. Pracuje dla republikańskiego senatora. Woli wypierać fakty, niż stawić czoło mniej zachwycającej rzeczywistości.

To wiele tłumaczy. Już dawno powinienem się nauczyć, że nie należy oceniać ludzi po pozorach.

– No dobra. Zaraz zaczynamy próbę – przypominam, unosząc brwi. – Więc czas zostawić Las Vegas i przetransportować się do Wenecji.

– I to jest prawdziwa tragedia – ubolewa Tristan. – Prowadź.

Na próbie wieje nudą. Po prostu siedzimy i odcytujemy nasze kwestie. To całe siedzenie doprowadza mnie do szału. Słowa Szekspira są tak potężne i pełne emocji, że mam ochotę paradować po scenie, gestykulować i krzyczeć, ale wiem, że to dopiero pierwszy etap – najpierw opanuj język, zrozum go, dopiero potem go ożyw, dołóż ekspresję.

Widzę, że Lacey bacznie mi się przygląda. Pod jej lupą czuję się trochę nieswojo, ale to również część procesu. Gdy stanę na scenie, nie tylko jej oczy będą mnie obserwować.

Wychodząc z próby, wpadam na Pragę; stoi centralnie w przejściu pod drzwiami auli. Cofa się szybko i wsadza ręce do kieszeni workowatych spodni, starając się wyglądać na luzie.

– Skończyliśmy wcześniej trening – wyjaśnia. – Chcesz się ze mną przejść?

– Dzisiaj bez podwózki, co? – zauważam.

– Jackson miał coś do roboty. Zresztą nieważne – odpowiada.

Podążam za nim korytarzem na parking. Praga kroczy niespiesznie, rytmicznie i miarowo.

– Jesteś pewien, że chcesz ze mną gadać? Wiesz, że mogę być...

– Hej – przerywa mi. – Nie ja to powiedziałem, tylko Jackson.

– Ale ty się z nim zgodziłeś – wytykam mu.

Praga spuszcza wzrok i zwiesza ramiona.

– To nie tak, D., my się tylko...

– Zgrywaliście, wiem. Jakby to coś zmieniało. Czego się boisz? Że się ode mnie zarazisz gejestwem?

Praga wpada w gniew.

– Co z tobą, D.? Zachowujesz się, jakbyś był lepszy od innych.

– Wcale że... – zaczynam, ale nie kończę.

Sam już nie wiem, co i jak.

Praga nie odzywa się przez kilka minut. Idziemy Wisconsin Avenue; obok nas przemykają samochody, a buty Pragi dziwnie skrzypią na chodniku.

– Słyszałem o twoim kumplu – podejmuje cicho Praga.

Staję jak wryty, zaciskając pięści.

– Co o nim słyszałeś?

Praga łapie mnie za ramię.

– Słyszałem, że... słyszałem, że go straciłeś. Współczuję, stary. Jesteś moim kuzynem i nie chcę, żebyś został z tym sam.

Zawsze będę z tym sam.

– Znajdę sobie własnych znajomych. Nie potrzebuję twoich.

Palce Pragi zaciskają się na moim bicepsie. Za mocno. W końcu puszcza moją rękę.

– W porządku – mamrocze. – Jak sobie chcesz.

Przy następnej przecznicy rozchodzimy się w swoje strony. Zmierzam do domu, lecz gdy dochodzę do swojej ulicy, nagle zmieniam zdanie.

Zbaczam z trasy i kieruję się do parku Rock Creek. Obchodzę utartą ścieżkę, potykając się na nierównym podłożu i przeciskając między gałęziami.

„Słyszałem o twoim kumplu”.

„Co o nim słyszałeś?”

Przysiadam na pniaku i spoglądam w górę na baldachim liści, na gałęzie poskręcane ze sobą jak splątana przędza. Patrzę, jak światło powoli znika, i wreszcie ogarniają mnie ciemności.

Zamykam oczy. W głowie pojawiają mi się obrazy z przeszłości: mój telefon leży na stoliku przy kanapie w salonie i dzwoni.

Zaświerbiło mnie ucho i podniosłem go. Na drugim końcu linii – Carlos.

– Nie wiem, stary. Po prostu nie wiem – powiedział.

– Czego nie wiesz?

– Kręci mi się w głowie. Nic nie widzę.

W filmach takie sceny zwykle kończą się wyciem syren i feerią migających świateł, ponurą paradą pojazdów spieszących na ratunek. Nie tym razem. Byłem za wolny.

– Carlos! – krzyknąłem do telefonu, ale usłyszałem tylko martwą ciszę.

Zabrałem ze sobą komórkę, wyszedłem z domu i ruszyłem pieszo przed siebie; skręciłem w lewo, potem w prawo, dalej prosto wzdłuż Georgia Avenue, przemierzając trasę, którą pokonywałem już z tysiąc razy, i w ciągu kilku minut dotarłem do domu Carlosa. Zadzwoiłem, lecz nikt mi nie otworzył. Dom był pusty.

Oparłem się o drzwi, a te lekko się uchyliły. Co do cholery? – pomyślałem. Carlos nigdy nie zostawiał otwartych drzwi. Petworth nie było na tyle bezpieczną dzielnicą, żeby nie zamykać domu na klucz. Ścisnęło mnie w żołądku. Popchnąłem drzwi mocniej i ruszyłem korytarzem do pokoju Carlosa. Zignorowałem zawieszony na drzwiach żółty znak z napisem „Zakaz wstępu” i wszedłem do

środku.

W sypialni Carlosa panował idealny porządek: łóżko posłane, żadnych ubrań na podłodze, zasłony zaciągnięte tak szczelnie, że nie przepuszczały nawet światła latarni. Zniknęły gdzieś wszystkie plakaty: ściany były nagie, pęknięcia farby niczym poszarpane blizny. Nie zapomnę widoku pościeli i koców na jego łóżku – brzegi wciśnięte pod materac jak w szpitalu. Carlos nigdy nie słał swojego łóżka. Jego sypialnia przypominała pokój hotelowy, czysty i schludny, gotowy, by przyjąć kolejnego gościa. Z jednym wyjątkiem...

Na łóżku leżał aparat fotograficzny Carlosa – czarny, kanciasty, masywny. A obok tekturowe pudełko. Uniosłem wieczko. W środku były zdjęcia, całe stosy – zdjęcia sióstr Carlosa, jego mamy, jego taty, rzeki Potomak, pomników, obcych ludzi; jakieś dziecko bawiące się trawą w parku, wyrrywające kępki wraz z delikatnymi korzeniami i związujące źdźbła w supeł; gigantyczna stalowa rzeźba przedstawiająca kwiat z obscenicznie sterczącą łodygą; samotnie kręcąca się zabytkowa karuzela, migająca kolorowymi i misternie rzeźbionymi drewnianymi figurami zwierząt, na których nikt nie jeździł.

Na części zdjęć byłem ja – roześmiany, strojący miny, pochmurny, odpicowany, w spodniach dresowych, salutujący dla zgrywu Carlosowi.

W tym pudełku było całe życie Carlosa. W tym pudełku było życie wielu osób.

Nie mam pojęcia, czemu je zabrałem. Nie było na nim żadnej karteczki, żadnych instrukcji, niczego, co by sugerowało: „Damon, to dla ciebie”. Ale ja wiedziałem. Wiedziałem, że jest dla mnie.

Zadzwoiłem do taty na komórkę. Brak odzewu. Wybrałem numer Carlosa.

„Abonent jest czasowo niedostępny”.

„Nie wiem, stary”.

Pobiegłem do domu, wsiadłem do samochodu i krążyłem przez chwilę po okolicy; nie wiedziałem, gdzie go szukać. Zjechałem całą Czternastą, przedostałem się do Connecticut, a potem przez most do Wirginii i z powrotem.

Prawdziwy przyjaciel by wiedział. Prawdziwy przyjaciel by to wyczuł. Jak to zwykle mawiał Carlos? „Wiem, co czujesz. Naprawdę”. Ale ja nie wiedziałem; nie doświadczyłem niczego w rodzaju szóstego zmysłu, nie miałem żadnego przeczucia. Czuję jedynie potworne skręcanie wnętrza i pot pod palcami zaciśniętymi na kierownicy. Zaczęło padać.

Ponownie wybrałem numer do taty. Tym razem się dodzwoniłem.

– Damon, gdzie jesteś? – zapytał.

Nie miałem bladego pojęcia. Otaczały mnie zwarte skupiska drzew. Wyjechałem na główną drogę i zobaczyłem przed sobą stację benzynową z jarzącym się napisem „Czynne 24h”.

– Szukam Carlosa – odparłem.

- Damon. – Tata był rozczarowany. – Już późno.
 - Tato, Carlos ma kłopoty...
 - On zawsze się w coś pakuje. Niech sam się z tego wygrzebie.
- Chciałem mu wyjaśnić, ale nie mogłem. Co miałbym mu powiedzieć?
- Wydaje mi się, że...
 - „Kręci mi się w głowie. Nic nie widzę...”

Straciłem sygnał. Deszcz siekł w przednią szybę jak karateka. Oczyma wyobraźni widziałem Carlosa z podciętymi nadgarstkami ociekającymi krwią. Często mówił o takich rzeczach. Zawsze myślałem, że żartuje.

Szczęki bolały mnie od zaciskania. Zadzwoiłem do mamy. Gdy odebrała, miała zmartwiony głos:

- Damon, zanosi się na porządną ulewę.
- Mamo, Carlosowi chyba coś się stało – wyjaśniłem.
- Co, skarbie?

Telefon zabzyczał tuż przy moim uchu. Włosy na karku stanęły mi dęba. Rozłączyłem się z mamą i odebrałem połączenie oczekujące.

- D. – Głos Carlosa brzmiał słabo. – Cześć.

Otak, na luzie. Cholerny Carlos zawsze był wyluzowany.

Wbiłem palce w szorstką tapicerkę siedzenia. Szarpnąłem kierownicą w prawo, zaparkowałem na poboczu i patrzyłem, jak deszcz strumieniami zmywa brud z szyb mojego wozu.

- Gdzie jesteś? – spytałem.
- Nigdzie, stary. Nigdzie.
- Przyjadę po ciebie, tylko powiedz mi, gdzie jesteś. Powiedz mi...
- Zanim tu dotrzesz, już mnie nie będzie.

Ścisnęło mi się gardło.

- Co ty bredzisz? Chryste, Carlos...

Znowu zerwało połączenie.

- Kurwa – syknąłem. – Szlag by to...

Dzwoniłem i dzwoniłem, ale bez skutku.

Później policja pytała, co mi powiedział. Czy coś na to wskazywało?

- Co to za pytanie?! – wrzasnąłem.

Mama chwyciła mnie za ramiona, jakby chciała mnie przed czymś powstrzymać. Detektyw otworzył szerzej niebieskie oczy. Był młody, jasnowłosy. Patrzył na mnie nieufnie, jakby się bał, że go ugryzę.

Tak by było lepiej, prawda? Kolejny gniewny czarny chłopak, no nie? Tym właśnie jestem?

Później posypały się pytania, ale nie te, co trzeba. Pytali: „Czy był przygnębiony?”, „Czy w jego życiu wydarzyło się coś, co mogło go pchnąć...?”, „Czy przejawiał tendencje...?”, „Czy mówił o...?”, „Czy sprawiał wrażenie...?”.

Nigdy: „Jaki był?”. Nigdy: „Czy był dobrym przyjacielem?”.

Mrużąc oczy w ciemności, nadal widzę Carlosa z uśmiechem na ustach, opartego o tamto wielkie, sękaty drzewo.

Z czego się tak cieszysz? – pytam go w myślach.

Carlos wzrusza ramionami i odpowiada:

Bo już mi lepiej. Już mi dobrze, stary.

Coś ty, do diabła, zrobił?

Carlos przekrzywia głowę w typowy dla siebie sposób, jakby próbował dostrzec coś, co znajduje się poza zasięgiem jego wzroku.

To nie było trudne. Betka.

Betka?

No. Umieranie jest z tego wszystkiego najłatwiejsze.

Trzęsę się. Słońce już zaszło i ochłodziło się; targane wiatrem drzewa szumią: szszsz.

Kiedyś wieczorami często przesiadywaliśmy u Carlosa na schodach przeciwpożarowych i obserwowaliśmy ludzi na ulicy: patrzyliśmy, jak się kłócą, flirtują, biją się i rozmawiają. Siedzieliśmy tak do momentu, gdy ojciec Carlosa przestawał krzyczeć i wybiegał z mieszkania; gdy cichł płacz jego matki, a Carlos był gotów wrócić do środka i zmierzyć się z tym, co go czekało.

Ale Carlos nigdy tak naprawdę nie był na to gotowy. Wszystkie te głośne kłótnie, wyzwiska i łzy dawały mu się we znaki: zatruwały mu życie, ciążyły, tak bardzo go przytłaczając, że nie mógł już tego znieść, nie był już w stanie tego udźwignąć.

Tylko że to nie wszystko.

Nie wiem, jak to lepiej wyjaśnić.

Staralem się być dla Carlosa rodziną, której potrzebował. Gdy w domu było ciężko, pozwalałem mu u siebie nocować, zaciągałem go do kina, na koncerty i mecze, by zająć czymś jego myśli, wielokrotnie popołudniami grałem z nim na komputerze. Nie narzekałem – uwielbiałem spędzać czas z Carlosem, mimo iż to oznaczało, że praktycznie nie miałem kiedy spędzać go z kimś innym.

„Nie wiem, co bym zrobił...” – powiedział mi kiedyś Carlos chropawym głosem. Ścisnąłem go wtedy za ramię, nie pozwalając, żeby dokończył. Nie chciałem usłyszeć, jak mówi: „bez ciebie”, nawet nie chciałem rozważać takiej możliwości.

Budzę się teraz codziennie bladym świtem – takie przyzwyczajenie po dwóch latach porannych treningów wioślarskich – i gdy już jestem w połowie ubrany, dociera do mnie, że nie mam dokąd iść ani z kim. Nie mam już kogo nękać, by wstawał; nie ma Carlosa, który przecierał zaspane oczy i machał na mnie ręką, mamrocząc: „Jeszcze śpię, D., odwal się”.

Czasami wybieram numer jego komórki albo loguję się na Facebooku,

sprawdzając, czy nie oznaczył mnie w jakimś durnym filmiku o kozach, albo otwieram nasz wątek wiadomości, tak jakbym miał do niego napisać. Ale ostatnia wiadomość, jaką mu wysłałem, jest sprzed kilku miesięcy: „Stary, wszystko w porządku?”.

Nie odpisał.

Czasami jestem tak wściekły na Carlosa, że mam ochotę chwycić go za ramiona i mocno potrząsnąć, żądając odpowiedzi: „Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś?”.

Ale żebym mógł tak zrobić, Carlos musiałby tu być, tak blisko, bym mógł go dotknąć.

Czasami nie wierzę w to, co się stało.

Myślę sobie: „Nie ma mowy, Carlos nigdy by tego nie zrobił”. Nie mógł umrzeć w wieku siedemnastu lat. Był za młody, za głupi, by umierać.

Tylu rzeczy jeszcze nie zrobił.

Wstaję, rozcierając zmarznięte ramiona, i wychodzę z parku.

Gdy docieram do domu, nie wchodzę przez frontowe drzwi. Podchodzę z boku i popycham furtkę prowadzącą na podwórko, spokojnie krocząc przez trawę ku drewnianej ławce stojącej pod wielkim dębem.

Osuwam się na nią i wpatruję w rozświetlone ciepłym światłem okna kuchni. Widzę, jak mama i tata rozmawiają, szykując jedzenie. Przez szyby sączą się ciche dźwięki bluesa.

Gdzieś w pobliżu dobiega do mnie krzyk i chichot jakiegoś dziecka. W oddali słyszę terkot i zgrzyt kół przejeżdżającego pociągu. Rozlega się trąbienie klaksonu, słychać jakieś wrzaski, a potem zapada cisza. Jest wrzesień i czuć już zimę; owiewa mnie mroźne, suche powietrze, a liście trzaskają pod moimi stopami jak drwa w kominku.

Podchodzę do frontowych drzwi, wsadzam klucz do zamka i przekręcam, nasłuchując kliknięcia zapadki. W domu unosi się zapach gotowanej kolacji: słodkich ziemniaków, kurczaka i zieleniny. Mama wyłania się z kuchni ze zmęczonym uśmiechem na twarzy i fartuchem przewiązanym w talii. Spogląda na mnie ciemnymi, połyskującymi oczami i zamyka w uścisku. Tym razem pozwalam się jej przytulić.

– Jak ci dziś poszło? – pyta.

– Dobrze – odpowiadam. – Jeszcze żyję.

– No ja myślę. – Odchyła się i patrzy mi w oczy.

– Ten Otello jest zdrowo popapwany – oświadczam, a ona się śmieje.

– To prawda, synku – mówi spokojnie i odgarnia mi z twarzy kosmyk. – Ale wiesz, był zakochany.

Melanie

Tego dnia, kiedy się dowiedziałas, miałyśmy sprzeczkę.

I to głupią – nie wiem już, o co poszło. Dawno zapomniałam.

Przez cały dzień chodziłam wkurzona. Żaliłam się Tristanowi: „Moja mama jest taka beznadziejna. Boże, nienawidzę jej”.

Tristan tylko poklepał mnie po ramieniu i zaproponował: „Chodźmy coś kupić, na przykład... buty”.

Ale nie poszliśmy, bo tata zadzwonił, zanim skończyły się lekcje, i kazał mi wracać prosto do domu. Poprosiłaś, żebym usiadła przy stole w jadalni. Popijałaś herbatę, a tata perorował, używając wielu słów, których nie rozumiałam: Faza terminalna. Choroba progresywna. Potencjalnie śmiertelna.

Zrozumiałam tylko dwa: RAK i PÓŹNO.

Teraz byłam zła z zupełnie innego powodu, tak zła, że chciałam roznieść ściany, które pomalowałaś w fioletowe i niebieskie pasy.

Chciałam wykrzyknąć: „Jak to możliwe, że nie wiedziałaś?! Dlaczego się częściej nie badałaś?! Zawsze wiesz wszystko najlepiej, więc jak mogłaś tego nie wiedzieć?!”.

Ale nie miałam jak.

Nie było czasu.

Nie rzucałaś przedmiotami, tak jak zwykle, gdy się złościłaś; latało wtedy wszystko – lampy, naczynia, a raz nawet obraz zerwany ze ściany. Wolałabym, żebyś rzucała. Chciałam, żebyś potłukła wszystkie naczynia w kuchni. Chciałam, żebyś wykrzyczała całą złość. Chciałam, żebyś dała upust swoim emocjom, zamiast biernie to akceptować.

Chciałam, żebyś się nie poddawała.

Dlaczego się poddałaś?

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Szybko. Wymień czterech chłopaków z naszej szkoły, z którymi byś się przespała – rzuca Tristan i natychmiast podnosi dłoń, zaznaczając: – I żadnym nie mogę być ja, nawet gdybym był hetero.

Otwieram usta, lecz zaraz je zmykam, piorunując go wzrokiem.

– To nie fair. Nie podoba mi się ta gra.

Tristan odgarnia z oczu ciemne kosmyki i unosi znacząco brwi.

– Życie jest nie fair, Melly. Odpowiedz na pytanie.

– Nie przepadam za koleśiami z naszej szkoły. Są głupi. Może zamiast nich podam gwiazdy filmowe?

Tristan leniwie taksuje swoje paznokcie.

– Nie ośmieszaj się. Po prostu odpowiedz na pytanie.

Omiatam spojrzeniem szkolny plac. Nie ma za bardzo w czym wybierać. W jednym rogu przy parkanie grupka białych chłopaków w obcisłych džinsach i koszulkach z nadrukami zespołów gra w zośkę. Rozpoznaję wśród nich Terrence’a Drake’a, który chodzi ze mną na fizykę. Ma ładne oczy – piwne, otoczone długimi rzęsami. Ale każe wołać na siebie „T-Dog” i pachnie paczulą, więc odpada.

Na boisku grają nasi koszykarze. Kilku nie ma koszulek: widzę, jak mięśnie Rihada Jonesa naprężają się, gdy podnosi ręce i rzuca piłkę ruchem nadgarstka. Na obręczy kosza nie ma siatki, ale każdy celny rzut obwieszcza charakterystycznym „szu!”. Żenada.

I wtedy kątem oka dostrzegam Damona krocącego środkiem placu. Ma na sobie džinsy zsunięte nisko na biodra i szarą koszulkę polo. Przeczesuje ręką włosy, jakby chciał je przygładzić.

Nagle odwraca się, uśmiecha i macha do mnie.

– Hej, Melanie! – woła.

Odmachuję mu, ale dość pokracznie, kurcząc palce, przez co pewnie wyglądam, jakbym była fizycznie upośledzona.

– Oho – wtrąca się Tristan, patrząc na mnie zmrużonymi oczami. – Chyba wiem, kto będzie na miejscu pierwszym.

Po południu szykuję się do pracy ze wzrokiem utkwionym w zdjęciu stojącym na toaletce. Carlos wpatruje się w dal, jakby widział tam coś, czego ja nie potrafię dostrzec.

„Był. Był fajnym gościem”.

Wygląda jak chłopak, z którym mogłabym chodzić do klasy, jak zwykły koleś, kręcący się pod sklepem, palący papierosy i zaczepiający laski. Mógłby być jednym z tych chłopaków grających w kosza na szkolnym boisku, potencjalnym

kandydatem do wyboru w durnej zabawie, wymyślonej przez Tristana.

Ale nie jest. Bo Carlosa już nie ma. Kropka.

„Zatrzymaj je” – powiedział Damon, podsuwając mi jego zdjęcie przez blat.

Zatrzymaj co?

– Mel, długo jeszcze? – dobiega głos z dołu.

– Minuta! – krzyczę i wkładam kurtkę.

Wychodząc, wyczuwam w pokoju obecność Carlosa; czuję, jak się przygląda, lecz nie mnie. Ciekawe, na co tak patrzy? Może na Damona, może zdradzi mi jego tajemnice?

Podczas przerwy w pracy przysiadam na krześle w kuchni, wyciągam z plecaka poradnik o żałobie i zaczynam czytać.

Moja ciotka Frannie dała mi to bezcenne kompendium na pogrzebie, bo przecież po śmierci matki nie marzysz o niczym innym, jak o tym, by przeczytać książkę o śmierci.

– Jak się trzymasz, skarbie? – spytała mnie Frannie, ujmując chłodną dłonią mój policzek.

Wzruszyłam ramionami. Bo co miałam odpowiedzieć? Źle, bardzo źle?

– Była piękną kobietą – stwierdziła Frannie, pociągając nosem. – Najlepszą siostrą i mamą, jaką można sobie wymarzyć, a to wiele znaczy. Prawda?

– No – wyszeptałam. – Chyba tak.

Frannie sięgnęła do torebki i wyjęła cieką książkę, którą wcisnęła mi do ręki. Była obłożona folią, laminowana, jakby do czytania w wannie. Wielkie, drukowane litery układały się w tytuł: *Zrozumieć żałobę*. Zmrużyłam oczy. Na okładce widniały matryoszki, rosyjskie lalki włożone jedna w drugą – może to jakaś metafora odkrywania kolejnych warstw żałoby?

– Przeczytaj to – powiedziała Frannie, a potem mnie przytuliła z książką wciśniętą między nasze ciała.

Po pogrzebie odłożyłam ją do szafki nocnej z mocnym postanowieniem, że już nigdy na nią nie spojrzę. Ale pewnej nocy zaczęłam rozmyślać o mamie i zapragnęłam odpowiedzi, wyjaśnień, dlaczego tak się czuję. I wtedy się zламаłam. Ale to będzie durne – pomyślałam, otwierając książkę.

Nie było.

Czytałam więc dalej, po trochu co wieczór przed snem, a potem czasami także przed szkołą, i wreszcie zaczęłam ją ze sobą nosić, tak na wszelki wypadek, gdybym nagle stwierdziła: „Potrzebuję odpowiedzi”.

Dziś właśnie tak mam.

Czytam więc:

Żałoba to skomplikowany proces. Ludzie, którzy sądzą, że służą zakończeniu pewnego etapu, mylą się. Żałoba niczego nie kończy; pomaga radzić sobie z obecną sytuacją. Niektórzy przez całe życie oplakują śmierć bliskiej osoby, ale to

też może być formą radzenia sobie ze stratą.

Jeśli to nie ma być epilog, jeśli nie chodzi o pożegnanie, to o co tak naprawdę chodzi? Jak mamy „radzić sobie z obecną sytuacją”? Czy to znaczy, że powinniśmy zatrzymać tę osobę w sercu, tak aby zawsze była blisko? Bo przez ostatnie sześć miesięcy była bardzo blisko; czasami miałam wrażenie, że już bliżej się nie da. Była tak blisko, że widziałam, co robił z nią rak – jak ją trawił i wyniszczał. Tak blisko, że stawała mi przed oczami, ilekroć zamykałam powieki i próbowałam zasnąć. Tak blisko, że czasami nie mogłam oddychać, bo ona też nie mogła. Tak blisko, że widziałam, jak opuszcza ją życie.

Całymi godzinami siedziałam przy jej łóżku i patrzyłam, jak śmierć mi ją zabiera. I teraz znów ma być blisko?

– Zajęta?

Podskakuję na dźwięk niskiego, burczącego głosu, który dobiega z tyłu, a gdy się odwracam, widzę Macho. Opiera się o ścianę i uśmiecha do mnie krzywo.

– Nie. Po prostu czytam – odpowiadam i zamykam głośno książkę.

– Co? – dopytuje.

Wsuwam poradnik do plecaka leżącego na podłodze.

– Nic takiego.

Macho przygląda mi się uważnie i siada obok.

– Słuchałem nowej płyty Beyoncé. Jest zarabista.

– Nie mam nic przeciwko Beyoncé, ale czemu nie posłuchasz Arethy Franklin? Albo Etty James?

– Aretha i Etta są spoko – mówi Macho. – Ale nie trzęsą tyłkiem jak Beyoncé. Co tu dużo gadać.

Rzucam w niego papierkiem od słomki, ale Macho zwinnie się uchyla, śmiejąc się.

– Debil! – stwierdzam.

– Wiesz co? – podejmuje, jak zwykle w zadumie przesuując palcem po dolnej wardze. – Jesteś bardzo podobna do mamy, kiedy tak robisz. Gdy tak na mnie patrzysz z pogardą, mrużąc oczy i unosząc brwi.

– Super. Wielkie dzięki.

Jednak Macho uśmiecha się w ten typowy dla niego sposób i wiem, że tak naprawdę chciał powiedzieć: „Nosisz ją w sobie, mała”.

Z tą całą bliskością, z noszeniem jej w sobie to chyba jest tak, że nie mam na to wpływu.

Piątek, czwarta po południu, Starbucks: Korporacyjny Raj Kofeinowy. Dwie starsze panie gapią się na moje szkarłatne włosy. Przez chwilę rozważam, czy nie wyjąć sobie kilku kolczyków i nie wsadzić im ich gdzieś... najlepiej w te zadarte, wścibskie nosy. To nie był szczególnie udany dzień. Miałam dziś wuef. Dzień, w którym mam wychowanie fizyczne, nigdy nie jest dobry.

– Siatkówka to bez wątpienia sport wymyślony przez diabła – oświadczam Tristanowi. – Szatan gra w siatkówkę. Szatan uwielbia siatkówkę. Pewnie każdego dnia w piekle urządza mistrzostwa siatkarskie.

– To prawda, siatkówka jest beznadziejna – potwierdza Tristan. – Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Szczerze mówiąc, sączyłam bezkofeinowe latte, starając się ignorować Tristana, który nic nie pije, za to tryska energią, jakby wciągnął nosem już z sześć shotów espresso.

– Proszę, Melanie. Zgódź się.

Tristan patrzy na mnie błagalnie niebieskimi szczenięcymi oczami, lecz to nie zmienia faktu, że to, o co mnie prosi, jest szalone.

– Mogę im powiedzieć, że w weekend jedziemy z twoim tatą na wybrzeże? – powtarza pytanie. – Łykną to, jestem pewien. Może nie będą zadowoleni, ale na pewno w to uwierzą i nie będą mnie sprawdzać. Jeśli im powiem, że jadę z Bryanem do Rehoboth i nie będzie tam jego rodziców...

– Aha, czyli chodzi o brak nadzoru rodzicielskiego? Nie o gejowski seks?

Tristan przeczesuje ręką włosy i ściąga brwi.

– Bryan jest biseksem, okej? – rzuca, nieco podenerwowany. – Ja... Proszę, zgódź się.

– Już dobrze, w porządku – ustępuję. – Tylko... upewnij się, że nie będą dzwonić do mojego taty. Naprawdę nie jest w nastroju.

Tristan kiwa głową ze współczuciem, ale cały promienieje.

– Pewnie – przytakuje i pełen powagi odchrząkuje. – To teraz, laska, porozmawiajmy o tobie.

Mrużę oczy.

– O czym konkretnie?

– Przede wszystkim o twojej wielkiej, szaleńczej miłości do Damona Lewisa – oznajmia.

– Co proszę?

Tristan przewraca oczami.

– Mel, nie jestem ślepy i dzięki Bogu – bo już zacząłem w to wątpić – ty też. Widziałem, jak mu się przyglądałaś podczas lunchu.

– Po prostu się zamyśliłam.

– Gapiłaś się na niego, kłamczucho. – Tristan szturcha mnie łokciem. – Wiem, że nie obczajałaś tamtych mięśniaków, bo to nie w twoim stylu...

– A ty skąd w ogóle znasz Damona? – pytam. – Jest tu nowy.

– Ha! – wykrzykuje Tristan i klepie mnie w udo. – Wydało się!

Wzdycham dramatycznie.

– Wal się!

– Może zaciekawi cię fakt, że poznałem go na przesłuchaniach do *Otella*.

– Serio?

Właściwie nie wiem, czemu mnie to tak bardzo dziwi. Damon i teatr? Cóż, moje fantazje były mocno nietrafione.

– Serio, serio – potwierdza Tristan, szczerząc zęby. – Chłopak ma talent, jeśli chcesz wiedzieć. Dostał główną rolę! I... – robi teatralną pauzę, po czym dodaje: – Nie jest gejem.

– Skąd wiesz?

– Zapytałem go – odpowiada nonszalancko.

Nie mogę w to uwierzyć.

– Żartujesz!

– Nie. – Tristan kręci przecząco głową. – Podszedłem do niego i zagadnąłem: „Hej, Damon, fajne buty...”.

Przerywam mu gestem ręki, karcąc go wzrokiem.

– Pamiętaj, niewdzięczny bucu, że dzięki mnie masz przykrywkę na weekend.

– Powiedziałem: „Wiesz, że ludzie mogą sobie coś pomyśleć w związku z tym, że starasz się o rolę...”.

– Nie, nie zrobiłeś tego! – podnoszę głos.

– A on na to: „Nie jestem gejem i nie dbam o to, co myślą inni” – dokańcza jednym tchem. – Powaga, Mel, tak mi odpowiedział. Nie powiem, że nie byłem trochę rozczarowany. Jest śliczniutki.

Popycham go tak, że prawie spada z krzesła.

– Palant.

Tristan śmieje się szelmowsko.

– Powinnaś też się jakoś zaangażować w przedstawienie – sugeruje. – Na przykład zając się scenografią.

– Tylko po co?

– Bo bliskość sprzyja kontaktom – oświadcza Tristan. – Poza tym byłabyś w tym dobra. Zawsze miałaś smykałkę do takich rzeczy. Tak samo jak... no wiesz... – urywa, po czym dodaje łagodniejszym głosem: – Jak twoja matka.

„Jak twoja matka”.

Gdy byłem w gimnazjum, pomagałam mamie przy malowaniu scenografii do dziecięcej produkcji – musicalu *Krwiożerca roślina*. Wystawiali go w szkole, w której uczyła plastyki. Mama uwielbiała to robić – proponować absurdalne muzyczne widowiska, które były w najwyższym stopniu nieodpowiednie dla małych dzieci, ale zwracały uwagę niesamowitą scenografią. A może by tak wystawić *Chór* z udziałem ośmiolatków? Piątoklasiści w inscenizacji *Rent* – czemu nie? Przynajmniej cztery razy w roku dyrekcja zwoływała zebranie w sprawie wściekłych rodziców, którzy uważali, że moja mama nadaje się do wariatkowa. Dziwię się, że jej nie zwolnili.

Malowanie tych scenografii było prawdziwym utrapieniem, ale ponieważ lubiłam to robić: nakładać kolejne warstwy farby i patrzeć, jak wyłaniają się kształty. Tworzyć tło, na którym rozegra się akcja sztuki. I tak zawsze wolałam trzymać się z tyłu. Dzięki temu miałam dobrą wymówkę.

Mama miała na tyle przyzwoitości, by udawać, że nie wie nic o szkicowniku, który trzymałam pod łóżkiem i wyciągałam, ilekroć mi się nudziło. Gryzmołam w nim, kopiując bohaterów z komiksów Tristana o przygodach X-Menów, które – byłam pewna – czytywał tylko dlatego, że ci kolesie byli tacy muskularni i paradowali w superobcisłych kostiumach.

Teraz wydaje się to takie głupie, że chowałam je przed nią, że nie chciałam, aby wiedziała, jak bardzo podobało mi się to, co robiła.

Już dawno nie zaglądałam do tego szkicownika, już dawno niczego nie narysowałam. W pewnym sensie jestem wdzięczna, że obcięli nam budżet na zajęcia plastyczne i w tym roku ich nie ma. Nie wiem, czy mogłabym siedzieć w klasie z innymi dziećmi i za każdym razem tłumaczyć, dlaczego chce mi się płakać, ilekroć mam wziąć do ręki ołówek i ćwiczyć rysunek postaci.

Czy jestem na to gotowa?

– Zastanowię się – odpowiadam Tristanowi, a on posyła mi jeden z najcudowniejszych uśmiechów i ściska moją dłoń.

W poniedziałek po zajęciach z algebry zaawansowanej pani McAvoy dopada mnie na korytarzu. Wydaje się przekonana, że pomogę przy scenografii.

Tristan może jest moim najlepszym przyjacielem, ale nadal pozostaje małym draniem.

– Byłoby wspaniale, gdybyś mogła się tym zająć – szczebiocze pani McAvoy.

To pulchna kobieta o zaróżowionych policzkach i ewidentnie niespożytych pokładach energii i entuzjazmu, lubująca się w gigantycznych kolczykach. Jestem pewna, że uczy tu nie dłużej niż dwa lata, co tłumaczy jej wciąż niezachwianą miłość do wykonywanego zawodu. Jeszcze kilka lat i cały ten zapal prysnie, a jego miejsce zajmie gorzki cynizm i ogólna niechęć do młodych ludzi. Będzie się ponuro snuć po korytarzach, tylko czekając na to, aż jakiś uczeń zrobi coś głupiego, by mogła na niego nawrzeszczyć.

– Sęk w tym, że jestem teraz dość zajęta... – kłamię.

– To tylko kilka godzin po szkole w tygodniu. Możesz to robić nawet w weekendy. Dostaniesz dodatkowe punkty z angielskiego.

Spogląda na mnie z wyczekiwaniem, nadal się uśmiechając.

– Sama nie wiem, to...

W głowie słyszę słowa mamy: „Zamykasz się na ludzi, Melly”.

– Przyjdź dzisiaj około czwartej. Pokażę ci, co miałabyś robić, i wtedy podejmiesz decyzję – zachęca. – Jest przy tym mnóstwo zabawy. Spodoba ci się!

Odchodzi pospiesznie i zostawia mnie samą, ogłupiałą i zszokowaną.

Cholera! Co się dzieje, do diabła?

– Nienawidzę cię – oświadczam Tristanowi podczas lunchu.

Mruga, próbując zrozumieć.

– Aaa – odzywa się wreszcie. – Rozmawiałaś z panią McAvoy.

– Owszem – potwierdzam. – Jest strasznie nachalna. Zresztą tak samo jak ty.

Mówiłam przecież, że się zastanowię!

– Może i mówiłaś – przyznaje Tristan – ale czasami trzeba cię trochę... zachęcić, żebyś coś zrobiła.

– Chyba przymusić – poprawiam go.

– Jak zwał, tak zwał – kwituje, poruszając wymownie brwiami.

Wzdycham wyraźnie poirytowana, a on zaczyna mi opowiadać o weekendzie spędzonym z Bryanem.

– Jedno ci powiem: plaża w Rehoboth, gdy wokół nikt się nie kręci i nie musisz się użerać z marudzącymi dzieciakami, biegającymi z lodowymi rożkami, jest po prostu piękna.

– Jakbyś w ogóle zwracał uwagę na otoczenie – drocę się z nim. – Przecież wiem, że ty i Bryan nawet nie wychodziliście z domu.

– A właśnie że tak! Do restauracji. Dwa razy!

Prycham, bawiąc się groszkiem na talerzu. Jest rozmiękły i ohydny, i nie mogę się przemóc, by go zjeść, choć to zapewne jedyny składnik mojego lunchu, który zawiera jakieś substancje odżywcze.

– To w końcu uprawialiście seks? – pytam.

– Zdefiniuj słowo „seks”. – Tristan jest wkurzony, jego twarz zalewa purpura.

– Czy pewne części twojego ciała znalazły się w pewnych częściach jego ciała? Lub na odwrót?

– Gdybym wsadził mu palec do ucha, mógłbym powiedzieć, że tak. Czy byłyby to... palcówka?

– O ile mi wiadomo, palcówka to coś innego – odpowiadam, mrugając do niego porozumiewawczo.

– Fuj, jesteś obrzydliwa – odcina się.

– A ty unikasz odpowiedzi. Zgaduję, że nie uprawialiście seksu.

– W pewnym sensie uprawialiśmy.

– Co to znaczy „w pewnym sensie”? – drażę dalej. – Chcę wiedzieć dokładnie, co się „w pewnym sensie” wydarzyło, zwłaszcza że zapewniłam ci alibi na weekend.

– Cóż, nie poszliśmy na całość. Ale były macanki.

Tristan jest czerwony jak burak. Wygląda przezabawnie.

– Boże, prawdziwa z ciebie cnotka niewydymka! – śmieję się. – Dziwię się,

że w ogóle robiliście coś jeszcze poza patrzeniem sobie czule w oczy!

Tristan gapi się ponuro na swój napoczęty klops.

– Jesteś wredna – oznajmia i sięga po jedną z moich frytek, ale odpycham jego dłoń.

– O nie, kolego! Wiem, gdzie wsadzałeś ręce!

Po południu trochę niepewnie zmierzam na próbę. W auli pachnie kurzem i starym potem. Salę oświetlają jedynie światła ze sceny, wielkie, jasne reflektory, zawieszane pod sufitem i ustawione pod różnymi kątami. Gdy docieram tu kwadrans po czwartej, zastaję grupkę dzieciaków ze scenariuszami w dłoniach, chichoczących, dowodzących i wygłupiających się.

W rogu sceny dostrzegam Damona i Tristana. Namiętnie o czymś dyskutują, prawie stykając się głowami. Tristan kładzie dłoń na ramieniu Damona, a ten zaczyna się śmiać. Jest w tym coś urzekającego: to, jak porusza ramionami, jak leniwie rozciąga usta w uśmiechu. Tristan coś mówi i nagle Damon odwraca się do mnie, podnosząc rękę, by mi pomachać. Odpowiadam mu tym samym.

– Wspaniale, jednak przyszłaś! – Pani McAvoy nagle pojawia się u mojego boku i uśmiecha tak szeroko, że prawie widać jej ósemki. – Zaprowadzę cię za kulisy i poproszę Calvina, żeby pokazał ci co i jak.

Aha, czyli postanowione. A tak w ogóle, co to za Calvin? Nie było mowy o żadnym Calvinie. Nie ufam nikomu o tym imieniu, kto nie ma za przyjaciela pluszowego tygrysa Hobbesa. Mam tak pewnie dlatego, że w trzeciej klasie podstawówki znałam jednego Calvina, który zjadał własne gluty. To było bardzo traumatyczne i obrzydliwe.

Pani McAvoy prowadzi mnie wzdłuż rzędów na tyły sceny i odsłania kurtynę, żebym mogła zajrzeć za kulisy. Zaplecze przypomina dom spokojnej starości dla drewna. Chyba w którymś momencie stanie tu coś na wzór scenografii, ale chwilowo to wszystko wygląda jak jedno wielkie pobojuwisko po misji ratunkowej na jakiejś dziwnej, zalesionej planecie.

– Calvin się tobą zaopiekuje – oświadcza pani McAvoy i już jej nie ma.

– A ty to kto? – w ciemności rozlega się czyjś głos. Zaskoczona podskakuję.

– Melanie – przedstawiam się. – Ty jesteś Calvin?

Z cienia wyłania się chłopak – wysoki i szczupły, o wąskiej, pociągłej twarzy i czarnych jak smoła, farbowanych strąkowatych włosach. Ma na sobie czarną koszulkę z długimi rękawami, na niej zielony T-shirt z napisem „Lećcie, moje śliczności”, oraz podarte niebieskie dżinsy.

– Owszem, to moje ziemskie imię – odpowiada.

Litości!

– Pani McAvoy chce, żebym pomogła wam przy scenografii – wyjaśniam.

Calvin wpatruje się we mnie tępo ciemnoszarymi, pustymi oczami, jakby jeszcze nic nigdy nie wprawiło go w osłupienie.

– Malowałaś już kiedyś scenografię? – pyta.
– Tak. Do jednego przedstawienia w podstawówce...
– Ale nigdy do takiej produkcji jak ta – stwierdza takim tonem, jakby chodziło co najmniej o najlepszy spektakl na Broadwayu.

– Cóż, nie.
– To dlaczego nagle stwierdziłaś, że się tym zajmiesz?
Chyba nie zaskarbię sobie jego sympatii, jeśli odpowiem: „Bo mój najlepszy przyjaciel jest podstępny dupkiem i w sztuce gra naprawdę niezłe ciacho”.

Wzruszam ramionami.

– Przydałyby mi się dodatkowe punkty na zaliczenie.

Calvin wygląda, jakby się nad tym zastanawiał.

– Są na to łatwiejsze sposoby – oświadczają po namyśle.

Calvinowi chyba się zdaje, że mamy przeprowadzić jakąś ściśle tajną operację wojskową w kambodżańskiej dżungli, a nie pomalować kilka starych sztchet mających udawać zamek.

– Pokaż mi, co miałabym robić, a ja zdecyduję, czy jestem gotowa się tego podjąć.

Calvin mruży oczy, jakby chciał powiedzieć: „Nigdy nie będziesz gotowa na to, co ci pokażę”, ale podaje mi pędzel.

Kładziemy tylko podkład, ale już sam fakt, że znów trzymam pędzel w dłoni, wzbudza we mnie silne emocje. Przed oczami stają mi płótna zalegające stosami w piwnicy i zastanawiam się: „Co teraz z nimi będzie?”. Nawet nie wiem, jak spytać o to tatę. Co chciałaby z nimi zrobić mama? Przypominam sobie, jak wyglądała pod sam koniec, gdy przynosiłam jej papier i ołówek. Gapiła się na nie przez kilka minut, które ciągnęły się w nieskończoność, a potem mówiła: „Nie mogę, Melly. Innym razem”.

Mija mniej więcej godzina, gdy zjawia się Calvin. Zachodzi mnie od tyłu, przekrzywia głowę i mówi:

– Możesz zrobić sobie przerwę.

Gryzę się w język, żeby mu nie przygadać, i wychodzę na salę.

Przygotowania do przedstawienia idą pełną parą. Damon stoi na scenie wraz z kilkoma innymi kolesiami. Wygląda dumnie i dostojnie, gdy recytuje:

Potem mówiła: co za dziwna powieść!

Dziwna a tkliwa, jak serdecznie tkliwa!

Raz by wołała nie słyszeć mnie, znowu

Chciała, by Bóg jej takiego dał męża.

Rzyg. Już pamiętam: Desdemona, piękny, delikatny kwiatuśzek więdący w ramionach Otella. Nigdy nie lubiłam Desdemony... beużyteczna słodka idiotka.

Nagle Damon zniża głos, podnosi wzrok, rozgląda się po widowni i...

Potem dziękując, powtarzała nieraz:

Jeśli przyjaciel twój kocha się we mnie,
Naucz go twojej powieści, a pewno
Miłość mą zyska. To mnie ośmieliło:
Ona kochała mnie dla przygód moich,
A jam ją kochał za litość nad nimi.
Oto są czary, których używałem.
Niechaj mi teraz sama da świadectwo.

Zanim zwraca się ku kulisom, zza których wyłania się Desdemona, mogę przysiąc, że chwytą moje spojrzenie. Trwa to tylko ułamek sekundy, ale przez ten ułamek sekundy myślę tylko o jednym: „Tak, proszę, naucz mnie swojej powieści”.

Chcę poznać historię kryjącą się za zdjęciem chłopaka o roześmianych oczach, które stoi na mojej toalecie, obok szkatułki na biżuterię. Chcę poznać historię chłopaka, który je zrobił. Który dał świadectwo.

Chcę wiedzieć, co wtedy widział, wiedzieć to samo co on.

Tylko czy chcę, żeby on poznał moją historię? Historię Melanie Ellis, która przez lata nosiła nudne ubrania, miała nijakie, brązowe włosy, byle się nie wyróżniać, zniknąć w tłumie? Która rysowała w tajemnicy, bo wiedziała, że nigdy nie dorówna swojej przebojowej matce, matce, która...

Dość tego. Nie mogę na to pozwolić.

Nie rozplaczę się tu.

Muszę przestać. Muszę się odizolować.

Zaciągam zasłony. Zamykam wszystkie drzwi.

Po próbie zbieram swoje rzeczy i nagle dostrzegam Damona. Nadchodzi, jak zwykle, z torbą fotograficzną na ramieniu. Podnosi aparat i strzela kilka fotek pustej sceny, po czym go chowa.

Spogląda na mnie i mówi:

– Hej.

– Hej – odpowiadam.

– Nie chciałem cię wystraszyć. Wtedy, w restauracji. Nie chciałem...

– Nie wystraszyłeś mnie, tylko nagle się zmyłeś – przerywam mu. – Mogłabym się obrazić, ale wolę myśleć, że po prostu jesteś dziwakiem.

Damon oblewa się rumieńcem. Cholera, wygląda tak uroczo, gdy jest speszony.

– To nie było nic osobistego – tłumaczy się. – Faktycznie dziwak ze mnie.

– To nawet ma sens, teraz, gdy wiem, jakiego masz fioła na punkcie teatru.

Rzuca mi drwiące spojrzenie.

– A ty to nie? Też tu jesteś.

– Nie z własnej woli – wyjaśniam. – Tristan to szmaciarz. Wrobił mnie w malowanie scenografii.

– Nosi sporo markowych ubrań jak na szmaciarza – zauważa Damon,

unosząc brwi.

– To zwykły dupek – nie daję się zbić z tropu.

Usta Damona drgają w lekkim uśmiechu.

– Według mnie jest w porządku. A skoro zrobił cię w malowanie, to pewnie tylko dlatego, że uważa, że jesteś w tym dobra.

– No, może.

Nie chcę teraz zaczynać tego tematu. Nie z nim. Nie w ten sposób.

Stoimy przez chwilę w krępującej ciszy. W końcu Damon przeczesuje palcami włosy i mówi:

– Powinniśmy się spotkać. Gdzieś poza restauracją. I poza szkołą. Tak żeby nie wyszło znów, że cię śledzę.

– Obiecasz, że tym razem nie uciekniesz? – pytam.

Damon wyjmuje z kieszeni komórkę i podaje mi ją. Wpisuję swój numer i oddaję mu telefon, a on otwiera aplikację do fotografii i robi mi zdjęcie.

Teraz jestem pewna, że robi je mnie.

– Obiecuję – odpowiada.

Później w restauracji odpływam w trakcie składania zamówienia; rozmyślam o Damonie, o tym, jak wczuwał się w rolę, całym sobą opowiadając historię mającą setki lat. Był taki przekonujący, taki bezbłędny w tej scenie. Taki prawdziwy.

– Mel. – Czuję łokieć wbijający się w moje żebra. Odwracam się i widzę Macho ze złośliwym uśmieszkiem na twarzy.

– Czy ty przypadkiem nie...? – pyta podejrzliwie, złączając ze sobą dwa palce i podnosząc je do ust.

Popycham go, i to mocno.

– Nie, głupku – odpowiadam, ale szczerze mówiąc, czuję się trochę otumaniona, jakbym się czegoś nawdychała.

Pamiętam, jak w zeszłym roku byłam na imprezie u Alyssy Franco. Przyszłam z Tristanem (na takie przyjęcia wybieram się tylko wtedy, gdy Tristan mnie „trochę zachęci”), i już na progu taki koleś, Graham, zaproponował mi skręta.

– Sztachniesz się, Ellis? – zapytał.

Zdziwiłam się, że zna moje nazwisko.

– Nie, dzięki – odpowiedziałam.

– Nie, dzięki – powtórzył drwiąco Graham, wyższym i bardziej wyniosłym tonem, jakbym była jakąś sztywną bibliotekarką.

– Nie mam ochoty, okej?

– Wielka szkoda – stwierdził. – Powinnaś się trochę wyluzować.

Zmierzyłam go wzrokiem, odwróciłam się i odeszłam. Odszukałam Tristana i kazałam mu się odwieźć do domu.

Po raz pierwszy tak naprawdę upaliłam się z mamą. To było latem tego roku, gdy przekonała lekarza, żeby przepisał jej trawkę na mdłości.

– Chcesz spróbować? – zapytała mnie, podpaliwszy skręta, a ja spojrzałam na nią jak na wariatkę.

– Poważnie?

– Poważnie – potwierdziła. – Trochę trawki cię nie zabije.

Więc zapaliłam. Nie było mi z tym dziwnie, bo wtedy wszystko wydawało się dziwne. Owszem, jarałam trawkę z mamą, ale ona umierała. Konwenanse konwenansami, jednak trudno, bym przejmowała się takimi sprawami, gdy moja matka jest jedną nogą na tamtym świecie.

Miała rację. Trawka mnie nie zabiła. Z początku trochę kasłałam i kręciło mi się w głowie, ale potem było już fajnie. Naprawdę miło było przez chwilę niczym się nie martwić. Często siedziałam przy mamie i patrzyłam, jak śpi. Czasami wyciągałam szkicownik i ją rysowałam. Dużo łatwiej było mi rysować, gdy nie martwiłam się tym, co sobie ktoś pomyśli, czy moje rysunki są wystarczająco dobre.

– Najdziwniejsze w sztuce jest to, że tworzysz ją dla ludzi – powiedziała mi kiedyś mama – ale w trakcie tworzenia musisz o tym zapomnieć. Musisz przestać się przejmować tym, co inni powiedzą o twoich pracach lub kto je kupi. Bo gdy za długo o tym rozmyślasz, nie jesteś w stanie tworzyć. To cię paraliżuje.

– Tylko jak tu się przestać przejmować? – chciałam wiedzieć.

Mama wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – odparła. – Po prostu.

Macho klepie mnie czule po policzku, sprowadzając z powrotem na ziemię.

– Obudź się, dziewczyno – mówi. – Zanieś zamówienie na trójkę.

Tej nocy leżę w łóżku i nie mogę zasnąć; czuję dziwne napięcie i niepokój.

– Beznadzieja – mówię do sufitu. – Wiem, co byś odpowiedziała. „Oj tam, przesadzasz, Damon to zwykły chłopak. Może i jest słodki, ale tak samo zakręcony jak ty, a ty pewnie i tak jesteś od niego bystrzejsza”. Tyle że... – Wzdycham. – Bardzo go lubię, a nawet go nie znam. Totalna głupota! A jeśli jest seryjnym zabójcą? To możliwe! Oj cicho, mamó, wiem, że się śmiejesz.

Przecieram oczy. Jest trzecia nad ranem. Powinam już spać, ale chcę, żeby mama o tym wiedziała, a prawie na pewno kręci się tu tylko późną nocą. Nie potrafię zliczyć, ile to razy budziłam się przerażona hałasem dobiegającym z dołu i powoli, ostrożnie schodziłam po schodach z kijem bejsbolowym w dłoni, by zastać mamę dumającą przy płótnie z farbą we włosach. Przechylała wtedy głowę, patrząc na mnie jak na wariatkę.

„Szukasz czegoś?” – pytała, a ja na to: „Tak, rabusia. Myślałam, że ktoś się do nas włamał”.

Spoglądam w dół na swoją koszulkę. Jest prawie prześwitująca; przez prążkowany materiał widać ciemne otoczki brodawek. Gdy w piątej klasie urosły mi piersi, byłam tak jakby wniebowzięta. Teraz ich tak jakby nienawidzę. Nie

wiem, czy to przez to, że się zmieniałam, czy raczej dlatego, że chłopcy się nie zmienili. Mama nie wstydziła się własnego ciała i nie krępowała jej nagość innych. Wiem, że w pracowni są gdzieś jej akty z czasów studiów plastycznych. „Skarbie, wszyscy to robili” – tłumaczyła, a ja tylko patrzyłam z przerażeniem, częściowo dlatego, że to moja mama! Naga! Ale również dlatego, że nie mieściło mi się to w głowie, nie potrafiłam sobie wyobrazić, bym mogła być taka jak ona – tak odważna i niedbająca o to, co inni pomyślą.

Któregoś razu wybrałyśmy się do sklepu po dzinsy – prawdziwa szkoła upokorzenia i autotortur, o ile jest coś takiego – ale porzuciłyśmy tę zgubną misję na rzecz owocowych smoothies w Jamba Juice: dla mamy Truskawkowe Tornado, dla mnie Mega Mango. Poprosiłam ją wtedy, żeby opowiedziała mi, jak poznała tatę w college’u. Dobrze znałam tę historię, ale chciałam usłyszeć ją jeszcze raz. Mama przemieszała gęsty napój i wykrzywiła usta w lekkim uśmiechu.

– To było na zajęciach plastycznych – oświadczyła. – Dasz wiarę, że twój tata uczęszczał na takie zajęcia?

Ten fragment opowieści zawsze mnie rozśmieszał. Nie wytrzymałam na myśl o tacie jako młodym Rembrandcie.

– Podszedł do mnie i oświadczył, że podoba mu się, jak maluję – ciągnęła dalej mama. – Odparłam, że mnie też się podoba i że chcę zostać malarką. On na to, że potrzebuje tylko zaliczenia ze sztuki. „Doprawdy? – spytałam. – To bardzo szczerze”. A wtedy on stwierdził: „Taki już ze mnie szczerzy gość”. Wyglądał tak uroczo. Wiesz, jakby mówił całkiem poważnie. I tak było. W skrócie – cały on. Twój tata nie ściemnia. Zwłaszcza, gdy chodzi o coś ważnego. Ale powiem ci jedno, Mel. Ja nie wiedziałam... nie wiedziałam, że spotkałam swojego kosmicznego wybranka, kogoś, kto jest mi w pewien dziwny sposób przeznaczony. Gdy go poznałam... wiedziałam tylko, że jest inaczej. Że mój świat się zmienił.

Wracam myślami do spotkania w parku, z Damonem. Czy to możliwe, by mój świat zmienił się już w tamtej chwili, a ja tego nawet nie zauważyłam?

Tak bardzo chciałabym zapytać o to mamę. Jak mam to komuś wytłumaczyć, tę frustrację, która mnie ogarnia, ilekroć chcę zadać jej pytanie, a jej nie ma?

Do końca życia będę się zastanawiać, co by o tym sądziła, i nigdy się tego nie dowiem.

Niedziela rano. Dzwoni telefon. Siedzę akurat na czacie, tocząc z Tristanem poważną i trudną dyskusję na temat tego, jakich butów powinien sobie zażyczyć na urodziny. Dlatego odbieram, nie patrząc, kto dzwoni.

– Hej, Melanie, co słychać?

Mój żołądek wykonuje salto.

– O, cześć, Damon. Jak... jak się masz? – dukam.

Ekstra. Jakbym była jakąś niemotą.

– Nieźle, ale zawsze może być lepiej – odpowiada. – Wiesz jak?

Moją uwagę odwraca migające okienko czatu: „Hej, zadałem ci pytanie. Gdzie cię wywiało?”

Minimalizuję je. Tristan zrozumie. „Zawsze możesz mnie spławić dla chłopaka” – powiedział mi kiedyś. „No, chyba że to mój chłopak. Wtedy będziemy musieli pogadać”.

– Nie, nie wiem. Jak? – pytam, nie dając się zbić z pantafiku.

– Moglibyśmy się później razem powłóczyć.

– Później?

– Tak, bo ja wiem, za dwadzieścia minut?

– Za dwadzieścia minut? Chyba żartujesz?

Ma chłopak tupet. Ale przecież mu nie odmówię.

– W życiu nie byłem bardziej poważny.

– Chcesz iść do kina albo coś w tym stylu? – dopytuję. Nie miałabym nic przeciwko. Mniejszy stres. Mało okazji do rozmowy.

– Spotkajmy się w zoo, przy północnym wejściu na Connecticut.

– Ale ja...

– Aha, i weź jakieś wygodne buty.

– Co zamierzasz...

Mój telefon nagle głuźnie. Jeszcze przez chwilę wpatruję się w ekran i wreszcie chowam go do kieszeni, wkładając sportowe buty.

„Otwórz się, Melly”...

Jednak w drodze do zoo nachodzą mnie niepokojące myśli. Nie wiem, co mnie tam czeka. Damon może być szalonym psychopatą! Ale z drugiej strony ogród zoologiczny to nie najlepsze miejsce, by kogoś pociąć. Za dużo turystów i dzieci w wózkach.

Może ma jakiś dziwny fetysz, jeśli chodzi o żyrafy.

Może po prostu tak jak każdy nastolatek uważa, że przezabawnie jest straszyć ludzi, pokazując im olbrzymiego boa dusiciela żywiącego się wyłącznie żywymi myszami, które trawi przez kilka dni, leżąc w terrarium zwinięty w spiralę z wielką bulwą pośrodku ciała.

Wzdrygam się. Już mam dość, a nawet jeszcze nie doszłam do zoo. Ekstra!

Przy Damonie chcę sprawiać wrażenie wyluzowanej, rozgarniętej i błyskotliwej, jakby fajni faceci cały czas mnie tu zapraszali: „Jasne, czemu nie, tak zwykle spędzam niedzielne popołudnia”. Ale nie umiem grać tak dobrze jak Damon. Najczęściej drętwieję z przerażenia, bo Damon jest niezłym ciachem, a ja świrniętą niezdarą, nawet w połowie nie tak atrakcyjną jak on. Nie jestem moją mamą. Wciąż jestem tamtą dziewczyną, która stara się wtopić w otoczenie. Nie daj się nabrać, Damon! To, że mam płomienie we włosach, wcale nie znaczy, że jestem gorącą laską.

Przez to wszystko mam ochotę odwrócić się na pięcie i uciec, pobiec do

domu, wczłogać się pod kołdrę i spędzić tak resztę dnia, jak ostatnia frajerka.

Ale nie. Nie zgadzam się! Nie chcę być cholerną frajerką! Być może jestem szajbuską i ofiarą losu, ale nie aż taką.

Damon stoi nieopodal wejścia pod żelaznym łukiem, na którym wielkie barokowe litery układają się w napis „Zoo”. Trzyma ręce w kieszeniach granatowej wiatrówki, ma zmierzwione włosy i wbija wzrok w ziemię. Wkładam kciuk w szlufkę przy pasku i podciągam dzinsy – wcale nie najładniejsze, jakie posiadam. Żałuję, że nie włożyłam czegoś fajniejszego, bardziej obcisłego i odsłaniającego więcej ciała, ale miałam tylko dwadzieścia minut i...

Nagle Damon podnosi na mnie wzrok. Jego usta rozciągają się w leniwym uśmiechu i już niczego nie żałuję.

– Co słychać, mała? – pyta, gdy do niego podchodzę.

– Nic szczególnego – odpowiadam.

Przygląda mi się swoimi ślicznymi oczami. Nie odwraca wzroku, kiedy na niego spoglądam; wytrzymuje moje spojrzenie i gapi się na mnie. Większość ludzi unika kontaktu wzrokowego, ale Damon jest inny. „Ludzie, którzy patrzą ci w oczy, zwykle mówią prawdę” – usłyszałam to kiedyś od Tristana. Naoglądał się programów dokumentalnych o pracy agentów FBI, więc kto wie, ale może... może faktycznie coś w tym jest.

– Gdzie idziemy? – pytam. – Wiesz, byłam już w zoo. Pandy nie robią na mnie takiego wrażenia jak wtedy, gdy miałam cztery lata.

– Nie idziemy do zoo.

Jak to?

– No chodź! – zachęca, ciągnąc mnie za rękaw.

Nie wiem, czemu idę za nim bez słowa sprzeciwu, ale tak właśnie jest. Zupełnie jakbym była w transie. Prowadzi mnie obok wybiegu dla tapirów, obok małego pawilonu i sklepu z pamiątkami z największą na świecie kolekcją pluszowych zwierzaków oraz książek na temat zwyczajów godowych jaszczurek i różnicowania lamparcich cętek, obok stoisk z jedzeniem serwujących lane chruściki i lemoniadę, obok jakichś stu tysięcy wyjących i wrzeszczących dzieci. Odbijamy od głównej ścieżki, kierując się w dół zbocza, aż dochodzimy do lasku na tyłach zoo, maleńkiej ostoji dzikiej przyrody – parku Rock Creek.

Mama kochała ten park. Uwielbiała jego zieleń i to, jak światło przedzierało się przez drzewa, malując na ściółce rozmaite wzory.

Gdy tak stoję na miękkim zielonym kobiercu i przyglądam się gałęziom falującym na wietrze, przypominam sobie czasy, kiedy czułam jedność z przyrodą: zupełnie jakby moje żyły były żyłkami liści i jakbym prażąc się w słońcu, mogła zamieniać światło w energię. Zanim szpital stał się moim drugim domem, przychodziłam tu, ilekroć musiałam pomyśleć, przetworzyć coś w głowie. Przysiadalam na poduszce z mchu i rysowałam, najczęściej drzewa, ponieważ

miałam je tuż nad głową. Drzewa o nieskończone różnych kształtach. Każde niepowtarzalne. Każde z własną historią.

Zapominałam wtedy o całym świecie. Gdy rysowałam, niczym się nie przejmowałam.

„Tylko jak tu się przestać przejmować?”

„Nie wiem. Po prostu”.

– Pomyślałam, że moglibyśmy spróbować jeszcze raz – oświadcza Damon. – Tylko teraz bez płaczu i bardziej normalnie.

I nagle do mnie dociera: to tu się poznaliśmy.

Obracam się dookoła, patrząc, jak światło sączy się przez baldachim gałęzi i spływa mieniącą się poświatą.

– Tyle tu życia – mówi Damon. – Wszystko tu tętni życiem.

– Jest pięknie – szepczę.

– Przychodziłem tu często z Carlosem – wyjaśnia. – To miejsce było naszym azylem. Czuliśmy się tu trochę jak... sam nie wiem. Jak odkrywcy. Pewnie myślisz, że to głupie.

– Nie, ani trochę. To zupełnie inny świat. Można odnieść wrażenie, że jesteśmy z dala od miasta.

– Uhm – przytakuje Damon, bujając gdzieś w obłokach.

– Świetna miejscówka na zdjęcia – rzucam, licząc, że sprowadzę go na ziemię. – Zawsze nosisz ze sobą aparat.

Teraz też stoi z aparatem przewieszonym przez ramię.

Wygląda na oszołomionego, ale zaraz przytomnieje.

– Masz rację – przyznaje. – Zdjęcia pozwalają przyjrzeć się uważnie. Chyba dlatego je robię.

Przyjrzeć się uważnie. Może właśnie to robi, kiedy mnie tak taksuje, może próbuje zamknąć mnie w kadrze i rozłożyć na czynniki pierwsze. Ja też lubię przyglądać się ludziom, czasami – w restauracji, w autobusie, w Dupont albo w szkole; rozkładałam ich na części, a potem składałam kawałek po kawałeczku. Lubię obserwować, jak mężczyzna wykręca nadgarstek albo prostuje rękę, jak nogi dziecka krzyżują się podczas biegu, jak kobieta obgryza paznokcie lub poprawia zapięcie buta albo odrzuca włosy do tyłu.

„Przyjrzyj się uważnie”. Tak mówiła mi mama.

Damon siada na kamieniu i gestem ręki zachęca, bym siadła obok niego.

– No więc twój tata prowadzi restaurację, a mama? – podejmuje.

Odeszła do lepszego miejsca?

Nie. Po prostu odeszła.

– Nie żyje – odpowiadam. – Zmarła tego lata. Na raka.

Damon wciąga powietrze.

– Och.

– No. Ta informacja ucina każdą rozmowę.

– Więc gdy cię wtedy widziałem... gdy płakałaś...

Kiwam głową i wbijam czubek buta w ziemię, nic nie mówiąc.

– Nigdy nie wiem, co powiedzieć w takiej sytuacji. Chyba tylko, że mi przykro. Pewnie jest ci ciężko. Nawet sobie nie wyobrażam, jak bardzo.

Przez minutę przestrzeń między nami wypełnia cisza; w tle słyszę wiatr szeleszczący w liściach i stłumiony hałas ruchu ulicznego przypominający o tym, że nadal jesteśmy w mieście. Teraz dopiero rozumiem, co znaczy zwrot „wymowne milczenie”. Czuję, że coś wielkiego wisi w powietrzu – ważne słowa, które tylko czekają, by je wymówić.

– Wszystko w porządku? – pyta Damon i kładzie mi rękę na plecach, między łopatkami.

Dotyka mnie. O coś mnie spytał. Cholera. Co to było?

– Nie wiem – przyznaję.

Chyba pierwszy raz od śmierci mamy odpowiedziałam szczerze na to pytanie.

– Dobrze się trzymasz – zauważa. – To znaczy, zważywszy na fakt, że dopiero co straciłaś matkę.

– Cóż... – zaczynam, ale szybko dociera do mnie, że nie wiem, co powiedzieć.

A co miałam zrobić? Załamać się? Nie było takiej opcji. Owszem, ludzie się załamują. To normalne. Na pewno mówi o tym książka o żałobie. Tylko że ja nigdy tak do tego nie podchodziłam, nigdy nie pomyślałam: „Mogę się rozsypać. Mam do tego prawo”. Wiem, że mama by tego nie chciała. Nauczyła mnie przede wszystkim jednej rzeczy: jak się nie rozsypać, kiedy czuję się podle i okropnie, jak rozbity na drzewie wrak.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek będzie w porządku – stwierdzam. – Wiesz, co mam na myśli?

Damon wpatruje się we mnie zielonymi oczami w odcieniu świeżo ściętej trawy.

– Tak, wiem – odpowiada.

– Carlos – podejmuję. – Mówiłeś, że był... No właśnie: „był”.

Damon podnosi wzrok. Ma to samo nieobecne spojrzenie, jak wtedy w restauracji, kiedy podsunął mi zdjęcie, i wtedy, gdy po raz pierwszy się spotkaliśmy.

To samo spojrzenie, które ma na scenie jako Otello.

– Uhm. Był moim najlepszym przyjacielem, ale odszedł.

Kryje się za tym pewna historia, wiem to. Chcę ją usłyszeć. Chcę go zapytać: „Jak to: odszedł? Dokąd odszedł?”.

„Ona kochała mnie dla przygód moich”.

Na usta ciśnie mi się mnóstwo pytań, ale duszę je w sobie. Damon wbija wzrok w ziemię, jakby chciał się pod nią zapaść.

Może słowa są przereklamowane i w tej chwili wystarczy tylko tyle, nic więcej. Chwytam Damona za rękę – jest taka gładka w dotyku – i nie puszczam.

Damon

Ten koncert w „9:30 Club”, pierwszy, na jaki razem poszliśmy... co to było? Nie pamiętam, kto wtedy grał. Wiem, że nie było ograniczeń wiekowych, a my mieliśmy wtedy trzynaście lat. Moja mama nas podrzuciła. Była nieźle spanikowana: „Tylko nie róbcie niczego głupiego, nie dajcie się napaść, z nikim nie rozmawiajcie, nie róbcie tego, tego i tego”. Fakt, to nie była najbezpieczniejsza okolica, ale potem mieliśmy z tego niezły ubaw, a ty wyskoczyłeś z tekstem: „Cholera, stary, co jeśli zachce mi się pić? Mogę poprosić barmana o wodę czy od razu mam wyjąć spluwę?”.

Coś jednak pamiętam. To był koncert hip-hopowy, dużo basu i beatów. Staliśmy tak blisko sceny, że nasze ciała wręcz wibrowały. Trzymałeś mi rękę na ramieniu i powtarzałeś bezgłośnie słowa każdego utworu. Po wszystkim nasze koszulki były przesiąknięte potem od tego ścisku, podskakiwania, tańczenia i wydzierania się na całe gardło.

„Musimy to kiedyś powtórzyć” – powiedziałeś ochrypłym głosem. Staliśmy na zewnątrz pod ścianą, czekając, aż moja mama nas odbierze. Patrzyliśmy na mijających nas ludzi, lewitujących na muzycznym haju. Nad nami rozciągało się ciemne migoczące niebo, a donośne głosy rozpływały się w mroku nocy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Odprowadzam Melanie do domu. Prawie nie rozmawiamy. Głównie patrzymy – nie na siebie, lecz wokół, na drzewa gubiące liście, na ludzi wsiadających lub wysiadających z aut z ciężkimi reklamówkami pełnymi zakupów, na rodziców ciągniętych przez psy na napiętych smyczach i krzyczących na swoje dzieci. Czasami przyłapujemy się na tym, że patrzymy na to samo – nasze spojrzenia się spotykają i wymieniamy się uśmiechami.

– Tam jest mój dom – odzywa się nagle Melanie i prowadzi mnie przez pokryte liśćmi, zacienione osiedle niepozornych budynków.

Jej dom to parterowy bungalow, mniejszy od mojego, pomalowany na biało i niebiesko, ze schludnie przystrzyżonym trawnikiem. Wygląda na przytulny i wystarczająco duży dla dwóch osób. Pewnie nawet dla trzech.

– Lubię tu mieszkać – oświadcza.

Też bym tak chciał. Chciałbym lubić tu mieszkać, tak samo jak lubiłem, zanim...

– Dziękuję za dzisiejszy dzień – ponownie zwraca się do mnie i bierze mnie za rękę. Ma taką chłodną, delikatną dłoń.

– Nie, to ja dziękuję – odpowiadam.

Melanie przechyla głowę na bok, spogląda na mnie błyszczącymi oczami i uśmiecha się.

Następnego dnia przed próbą przygotowuję się jak zwykle – z Ettą w słuchawkach i aparatem w dłoniach. Pstrykam kilka fotek częściowo ukończonej scenografii, podziwiając postęp prac; powoli ze skrawków i fragmentów wyłania się kompletny obraz.

Jednak w mojej głowie *Otello* nadal jest w strzępach. Powinienem był wiedzieć, ile złości wyzwoli we mnie ta rola. Bądź co bądź *Otello* to sztuka pełna gniewu, to sztuka o człowieku zniszczonym przez własną złość, której nie jest w stanie kontrolować ani ukierunkować.

Nigdy nie uważałem siebie za gniewnego faceta, lecz teraz z każdym kolejnym dniem prób wściekam się coraz bardziej na ludzi zwodzących Otella. Ta złość uwidacznia się w mojej grze. Pani McAvoy jest zachwycona, napawa się tym i jeszcze bardziej mnie nakręca, dopingując: „Tak trzymaj, Damon, nie odpuszczaj!”.

Reszcie obsady też najwyraźniej się podoba. Czy może być coś bardziej surrealistycznego niż Lacey Andrews uwieszona u mojego ramienia i ćwierkająca mi do ucha: „Rany, Damon, tam na scenie jesteś taki pociągający”?

– Ludzie często mówią: „Jesteś taki seksowny, kiedy się złościśz” – zauważył kiedyś Carlos, gdy myśliśmy jego samochód, starego, zdezelowanego

pikapa, którego odkupił od wujka za pięćset dolców. – Co ma piernik do wiatraka? Jakby gniew równał się namiętności. Jakby złość przekładała się na... seks.

– Chyba chodzi o to, że gniew jest prymitywną emocją – odparłem. – Pewnie dlatego niewolnicy uchodzili za bardziej jurnych czy jakoś tak, bardziej zwierzęcych.

– Brzmi sensownie, poniekąd – stwierdził Carlos, zarzucając sobie na ramię brudną ścierkę. – To o seksie i gniewie. Jedno i drugie przypomina nam o naszej zwierzęcej naturze. Wiesz, pierwotne instynkty i takie tam.

Ciekawe, co Carlos wiedział o własnych instynktach, o własnym gniewie.

Boże. Tyle rzeczy mnie teraz ciekawi i zastanawia.

Na próbie nie mogę pozbierać myśli. Odszukuję Melanie. Podczas przerwy siedzimy razem za kulisami i rozmawiamy o wszystkim i o niczym.

– Masło orzechowe – odzywa się nagle Melanie.

– Słucham?

– Gdybym musiała wybrać jedną rzecz, którą miałabym się żywić do końca życia, to byłoby to masło orzechowe.

– Nie czekolada? Od masła orzechowego cała byś się lepiała.

– A ty co byś wybrała, geniuszu?

– Makaron z serem.

Melanie wybucha śmiechem.

– To nie jest jedna rzecz.

– Jest, w wykonaniu mojej mamy.

– Nie wiem, czy powinnam się bać czy być pod wrażeniem.

– Powinnaś kiedyś do mnie wpaść – odpowiadam. – I spróbować.

Rany. Chyba właśnie zaprosiłem ją do siebie do domu.

– Jak mogę się oprzeć takiej pokusie... – droczy się, a ja trącam ją ramieniem.

– Co się tu dzieje, dzieciaki? – Tristan wystawia głowę zza kurtyny.

– Damon narusza moją przestrzeń osobistą – rzuca Melanie.

– Lubisz to – odcinam się.

– Nieprawda – odpowiada Melanie.

– Aż chce się wyjechać do Wenecji – oświadcza Tristan, przechylając głowę, by przyjrzeć się lepiej oprawie scenicznej.

– Po prostu podobają ci się Włosi – przygaduje mu Melanie.

– To też – przyznaje Tristan z ironicznym uśmiechem. – Włochy ogólnie są bardzo miłe dla oka.

– Wenecja rozciąga się na stu osiemnastu wysepkach w Lagunie Weneckiej – podaję do ogólnej wiadomości. – Wzdłuż wybrzeża Adriatyku.

Melanie patrzy na mnie z uniesionymi brwiami.

– Przyznaj się. Tak skrycie jesteś geekiem, prawda?

– Wcale nie skrycie – odpowiadam, a ona wybucha śmiechem.

– Podobno w Galerii Narodowej jest wystawa sztuki weneckiej z piętnastego wieku – rzuca w zamyśleniu Tristan. – Powinniśmy się wybrać.

Wyobrażam sobie Otella, jak spaceruje po pałacu w Wenecji, przyglądając się dziełom sztuki zdobiącym ściany, obrazom, które jemu były równie obce, jak on Wenecjanom.

– Może być fajnie – zauważam.

– Chodźmy w niedzielę – proponuje Melanie. – Będzie jak w szkole, tylko w weekend.

– Niezła schiza – dodaje Tristan.

– Świetny pomysł – stwierdzam, zupełnie poważnie.

Gmach Galerii Narodowej góruje nad nami niczym kolosalny neoklasycystyczny monolit. Ja zawsze widziałem w nim świątynię, miejsce, w którym czci się sztukę w jej wielu formach. Wchodzimy do środka; robię kilka zdjęć kremowych ścian, litego drewna i marmuru. Przed nami wyrastają ogromne czarne kolumny, po ich gładkiej powierzchni pełzają białe smugi. Wspinamy się po krętych schodach, wychodząc na otwartą przestrzeń w samym centrum budynku, zawsze wypełnioną roślinnością – wielką szklarnię zamkniętą w murach koloru kości słoniowej.

Mamy się tu spotkać z niesławnym Bryanem. Melanie i Tristan odchodzą na bok, podziwiając olbrzymich rozmiarów zielistkę, a ja w tym czasie przeglądam pocztówki w sklepiku z pamiątkami.

– Cześć, Damon – wita się Bryan i przybija mi pięść.

Teraz, gdy Tristan nie grzebie mu w spodniach, wygląda inaczej: jest mniej spanikowany, bardziej pewny siebie.

– Miło cię wreszcie poznać.

Bryan się rumieni.

– Wzajemnie.

– Lubisz sztukę wenecką? – pytam.

Bryan spogląda przez moje ramię. Śledząc jego wzrok, dostrzegam Tristana, który stoi z Melanie przy stoisku z pamiątkowymi albumami i się szczerzy. Jego uśmiech jest zaraźliwy. Śmieje się całą twarzą.

– No, tak jakby.

Tristan odwraca się, dostrzega nas i podchodzi.

– Chodźmy obejrzeć Cycjana.

– Czy ty właśnie powiedziałaś coś sprośnego? – dziwi się Bryan, a Tristan zaciska dłoń na jego nadgarstku i ciągnie go za sobą.

– Mam nadzieję, że nie liczysz na nic ekscytującego – rzuca Melanie. – To muzeum, wiesz o tym?

– Muzea też bywają ekscytujące – zauważam.

Wskazuję głową Bryana i Tristana, którzy trzymają się za ręce. Tristan szepcze coś do ucha Bryanowi, a ten czerwieni się jak burak.

– Ohyda – krzywi się Melanie. – Chodźmy dowiedzieć się czegoś o sztuce.

Wystawa jest naprawdę fascynująca. Wszystko kręci się wokół kolorów oraz tego, jak różni weneccy malarze za ich pomocą kreowali atmosferę i nadawali głębię swoim obrazom. Po chwili wszystkie malowidła zlewają się w morze ciepłych półcieni i wyblakłych pejzaży.

Jedno z nich szczególnie przykuwa mój wzrok, wpija się we mnie jak szponami i nie pozwala mi się ruszyć.

To reprodukcja fresku zdobiącego ściany konfraterni Scuola del Santo w Padwie, jednej z serii scen przedstawiających życie św. Antoniego, zatytułowanej *Zazdrosny mąż*. Kompozycja obrazu jest dość dziwna: całą górną połowę wypełnia krajobraz – samotna góra ze sterczącymi tu i ówdzie patykowanymi drzewami. Kolorystyka jest chłodna, stonowana, spokojna, utrzymana w szarościach i błękitach, harmonijna. W prawym rogu mającą trzy małe, niewyraźne postaci, z którymi kontrastują dwie inne, bardzo mocno wyakcentowane na pierwszym planie: mężczyzna w pasiastej czerwono-białej tunice, przepasanej w talii, oraz kobieta w jaskrawej żółto-pomarańczowej sukni leżąca na ziemi u jego stóp. Mężczyzna trzyma w dłoni sztylet, a ona wyciąga rękę, trzymając go na dystans.

Już wiem. Ona się przed nim broni, nie chce, by ją zabił. Ten obraz ukazuje niedoszłe, brutalne morderstwo. Mężczyzna ugodził ją nożem, a potem oboje zamarli w swoich pozach, skazani na to, by spędzić wieczność w oczekiwaniu na ostateczny cios, który nigdy nie nastąpi.

– Wow – mówi nagle Melanie.

Wyrwany z zadumy podskakuję, a gdy się do niej odwracam, w jej oczach widzę smutek.

– Właśnie – przytakuję.

– Czasami zapominasz, że to robi – wtrąca zniechęta. – Chodzi mi o Otella. To znaczy, nie zapominasz, tylko o tym nie myślisz. Nie myślisz o tym, że on de facto zabija żonę. W wielu inscenizacjach Desdemona po prostu opada z sił i zasypia, a potem leży taka piękna na łożu i... – Urywa i wykrzywia usta, jakby połknęła coś gorzkiego.

– Nigdy o tym nie zapominam – odpowiadam łagodnym tonem, lecz zaraz zdaję sobie sprawę, jak szorstko to zabrzmiało. – To znaczy...

Melanie chwyta mnie za ramię i ściska, tylko raz, jakby chciała powiedzieć: „Wiem”.

Resztę kolekcji podziwiamy w milczeniu, przy niecichącym wtórze szeptów otaczających nas turystów. Wszystkie obrazy są ciekawe, ale żaden nie wzbudza we mnie takich uczuć jak *Zazdrosny mąż* – tej desperacji i strachu,

zupełnie jakbym to ja był tą kobietą leżącą na ziemi, osłaniającą się przed nożem.

– Niesamowite, prawda? – zachwyca się Melanie. – To jedna z rzeczy, jakie uwielbiam w malarstwie: możesz pokazać ludziom, co siedzi ci w głowie, coś, czego nikt nie jest w stanie zobaczyć. Trudniej to zrobić za pomocą aparatu. Bo musisz stworzyć coś nowego na podstawie czegoś, co już istnieje.

Myślę o pudle ze zdjęciami, które trzymam w szafie. Myślę o fotografiach, którymi obkleiłem ściany w sypialni. Carlos zostawił je po sobie, ale tego, co naprawdę istotne, nigdy nie zobaczę, nigdy nie poznam jego zakreślonych fantazji, które istniały tylko w jego głowie.

To wszystko przepadło.

– Ale nadal możesz sprawić, że ludzie ujrzą coś w inny sposób, dostrzegą rzeczy, których nie zauważyli na pierwszy rzut oka.

– No – potwierdza Melanie. Spogląda na mnie spod ciężkich, przymkniętych powiek. – Możemy wyjść na zewnątrz?

Zostawiamy Tristana i Bryana, nie przeszkadzając im we flircie, i krętymi schodami kierujemy się do Ogrodu Rzeźb. W większości dziwaczne, nowoczesne figury różnią się diametralnie od tego, co widzieliśmy przed chwilą. Na widok gigantycznego pająka autorstwa Louise Bourgeois po plecach przechodzą mi ciarki – rozpostarty nad naszymi głowami stawonóg wznosi się na długich, cienkich odnóżach, jakby za chwilę miał skoczyć i nas schwytać.

Dlaczego wszystko dziś wydaje się takie groźne?

Z wyjątkiem Melanie.

– Fajnie, że zimą urządzają tu lodowisko – oświadcza Melanie, gdy siadamy na ławce. – Wszystko jest wtedy takie ładne i gładkie.

– Uhm – szepczę.

Wiem, marny ze mnie rozmówca, ale nic nie poradzę na to, że czuję suchość w gardle i świat wydaje się bez sensu.

– Mojej mamie najbardziej podobało się tu wiosną. Często z nią tu przychodziłam – wyjaśnia Melanie. – Lubiła rysować kwitnące wiśnie i magnolie. Targała ze sobą wielki stary szkicownik, by móc precyzyjnie odwzorować kształt płatków i odcień rózu na brzegach.

– Twoja mama była artystką? – pytam.

– Tak – odpowiada Melanie. Lekko się rumieni, a mnie instynktownie na myśl przychodzą muśnięte różem magnolie i kwiaty wiśni.

– Tak jak ty – zauważam.

Melanie podnosi wzrok, wyraźnie zdziwiona.

– Nie, nie tak... to znaczy, ja nie jestem artystką. Nie taką jak ona.

– Przecież malujesz scenografię...

– Nie jestem taka jak ona – rzuca ostro Melanie.

Na chwilę zapada cisza. Wiem, że nie mówi mi wszystkiego, ale jak mogę ją

prosić, by wyjawiała mi swoje sekrety, skoro sam tyle przed nią skrywam?

– W piątej klasie pojechaliśmy na wycieczkę, żeby zobaczyć dzieła Degasa. Carlos władował się do fontanny ze swoim nowym wodoszczelnym aparatem – zaczynam opowiadać.

Pamiętam, jak patrzyłem na niego. Stał w mgielce wody i szczerzył się, zadowolony z siebie nawet wtedy, gdy ochroniarz rzucił się pod wodną kaskadę i siłą go stamtąd wyciągnął.

– Taki już był – ciągnę dalej. – Tyle razy wzywano do nas ochronę albo policję, bo chciał strzelić jakieś fajne zdjęcie, na przykład zwisając z mostu na Potomaku albo robiąc coś równie głupiego.

– Carlos robił zdjęcia?

Wysknęło mi się niechcący – tak łatwo jest dzielić to wspomnienie z kimś, kto również ma kogo wspominać.

– Tak – potwierdzam. – Był fotografem z prawdziwego zdarzenia, nie to co ja.

– Och.

Siedzimy tak przez kilka minut – każde z nas wypatruje w oddali swoich duchów. Staram się normalnie oddychać. Obok słyszę wolny i miarowy oddech Melanie.

Wiem, że chce mnie o to zapytać. Wszyscy chcą, nawet jeśli tego nie mówią. Chcą wiedzieć, jak to się stało. Miał dopiero siedemnaście lat. To naturalne, że się zastanawiają, jak zmarł.

Ale nie chcę jej mówić.

– Carlos był niezłym ziółkiem – podejmuję. – Uparty jak diabli... i trochę bezczelny. Ale w dobrym znaczeniu.

Melanie się śmieje.

– Tacy są najfajniejsi.

– Chyba właśnie dlatego był takim dobrym fotografem – stwierdzam. – Bo niczego się nie bał.

Melanie świdruje mnie wzrokiem. Z bliska jej oczy wydają się złote. Mam ochotę ją pocałować.

– Moja mama też sprawiała wrażenie, jakby niczego się nie bała – odzywa się w końcu. – Może to cecha niezbędna, żeby tworzyć sztukę.

– Tak samo jest z teatrem – zauważam. – Chodzi mi o to, że... aby dobrze grać, chyba trzeba być nieustraszonym.

– Albo takiego udawać – dodaje Melanie. – Tak jak w tym cytacie: „Odwaga to panowanie nad strachem, a nie brak strachu”.

– Tak naprawdę nigdy nie przestajesz się bać, tylko nie pozwalasz, by strach cię przed czymś powstrzymał.

– Właśnie – mówi Melanie.

Świszczący wokół nas wiatr przejmuje mnie dreszczem.

Carlos nie był tak nieustraszony, jak by się wydawało. Czegoś jednak się bał.

– Wszystko okej? – pyta Melanie.

– Tak, w porządku – odpowiadam.

Ludzie mówią to tak machinalnie, bez namysłu.

– Hej – zwraca się do mnie Melanie, bierze mnie za rękę i ściska.

Spoglądam na nasze splecione palce.

Hej. Hej.

Odprowadziwszy Melanie, wracam do domu, gdy nagle, zupełnie bez ostrzeżenia przed oczami staje mi Carlos – siedzi z kolanami przyciągniętymi do piersi i kosmykami włosów przyklepionymi do spoconego czoła. Skończyliśmy akurat trening wioślarski; był wczesny ranek w dzień taki jak dziś, dość ciepły jak na jesienną porę, choć momentami czuć było chłodniejszą bryzę, zapowiedź nadchodzących miesięcy. Wszystko wibrowało soczystą zielenią. Słońce przedzierało się przez drzewa, a Carlos wyrwał z ziemi trawę: z początku pojedyncze źdźbła, a potem kępki i całe garście.

– Hej, stary, przestań – upomniałem go. – Nie niszczyć tego.

Prychnął lekceważąco, ale posłuchał. Położył ręce na udach i zaczął wybijać nierówny rytm.

– Czas zbierać się do szkoły – oświadczyłem. – Za dwadzieścia minut zaczynają się lekcje, a muszę jeszcze wskoczyć pod prysznic.

– Idź beze mnie – odparł.

– Nie możesz opuszczać więcej zajęć. Pani Taylor cię obleje.

Carlos wzruszył ramionami.

– Trudno, niech mnie obleje.

– Zdajesz sobie sprawę, że tylko sobie szkodzisz? – spytałem.

Carlos patrzył prosto przed siebie tępym wzrokiem.

– Taa – potwierdził. – Jestem tego świadomy.

– Więc dlaczego...

– Nie idź. – Chwycił mnie za ramię i ścisnął. – Moglibyśmy tu zostać.

– Stary, nie mogę.

Wykrzywił szyderczo usta i odwrócił wzrok.

Czego ty ode mnie chcesz? – chciałem go zapytać. – O co ci chodzi?

Wkładałam gwałtownie klucz do zamka, zupełnie nieprzytomnie. Ze środka dobiega głos mamy rozmawiającej z tatą. W salonie gra telewizor; tata zapewne ogląda mecz Redskins.

Gdyby Carlos tu był, pewnie pojechalibyśmy do galerii Montgomery Mall, żeby się trochę poszwendać, poudawać, że interesują nas rzeczy, na które nas nie stać, i ponękać pianistę w sklepie Nordstrom, aby zagrał *Dla Elizy*. Carlos uwielbiał ten utwór. Dziwak.

Poszlibyśmy do kina, porzucali w ekran popcornem i pewnie ktoś by nas wyrzucił. Carlos podbiłby do jakiejś sprzedawczyni w Macy's albo do laski smażącej frytki w części restauracyjnej i jakimś cudem wróciłby z numerem telefonu. Taki już z niego był czaruś.

Ale mimo to Carlos pozostał outsiderem. Wieczny obserwator. Ten, który zawsze patrzy przez aparat, nigdy nie nawiązuje bliskiego kontaktu. Nie wydaje mi się, by kiedykolwiek zadzwonił do którejś z poderwanych dziewczyn, a nawet jeśli, to wszystko kończyło się po jednej randce, góra dwóch. Nikomu nie pozwolił zbliżyć się do siebie.

Nikomu poza mną.

Tylko czy naprawdę?

Jestem pewien, że gdybym pokopał głębiej, w końcu bym zrozumiał. Zrozumiałbym, dlaczego nie powiedział mi, co go dręczy, czego się boi i jak bardzo. Dlaczego to przede mną ukrywał?

Byłem głuchy i ślepy? Dlaczego nie widziałem, co się z nim dzieje? Co dzieje się między nami? Zupełnie jakbym kopał w strugach deszczu: im dłużej kopię, tym więcej błota. Mam już dość bycia puentą żartu, którego nie rozumiem. Mam ochotę się poddać, umyć ręce i dać sobie spokój.

W poniedziałek przed próbą Melanie spotyka mnie za kulisami. Siedzę oparty o ścianę ze słuchawkami w uszach i słucham Raya Charlesa.

– Wszystko okej? – pyta Melanie. – Wyglądasz na przybitego.

– Tak, w porządku – kłamię i ponownie rozmyślam nad znaczeniem tych słów, jaki to pusty frazes.

Melanie stoi przez chwilę w milczeniu i wreszcie się odzywa:

– To ciężka sztuka. Nic dziwnego, że wjeżdża ci na psychikę.

Sztuka to tylko mała drzazga. Jestem pewien, że Melanie nie jest gotowa na całe drzewo.

– Może tak jest – przyznaję. – Może faktycznie wjeżdża mi na psychikę.

– Mam wrażenie, że większość ludzi jej nie rozumie – stwierdza Melanie i usadawia się na podłodze. – Ciągłe się słyszy, że to „sztuka o zazdrości”. Ale przecież nie o to w tym chodzi, prawda? Tylko o stratę.

Spoglądam na nią.

– Co masz na myśli?

– Jago boi się utraty żony i swojej reputacji. Dlatego pozbawia tego Otella: przekonuje go, że stracił Desdemonę, i w konsekwencji Otello traci rozum. To sztuka o smutku i rozpacz, ale wszyscy uważają, że chodzi o to, czego pragnie Jago. A to nie tak. Chodzi o to, czego się obawia. Jego tragedia polega na tym, że żyje w strachu i zaraża nim innych.

Naciągam jeden z rękawów na nadgarstek i wierzch dłoni, zawijając pięść w materiał.

– Brzmi sensownie – stwierdzam, i faktycznie to ma sens.

Ale pod wieloma względami nie ma.

– Niestety zupełnie nie rozumiem, dlaczego Otello mu wierzy – dodaję. – Jest taki fałszywy.

– A twoi przyjaciele nigdy nie sprowadzili cię na manowce? – pyta Melanie.

– Carlos zwisający z mostu? Carlos, którego wywleczono z fontanny?

Jej słowa bołą mnie, troszeczkę, tak jak naciągnięty mięsień po zbyt forsownym treningu.

– No dobrze, może i tak – przyznaję. – Ale nigdy nie kłamał mi w żywe oczy.

W tej samej chwili zdaję sobie sprawę, że wcale nie jestem tego pewien.

– Jesteśmy społeczeństwem obłudników – szepcze Melanie.

– Takich jak Jago – przytakuję.

– Takich jak Otello – poprawia mnie Melanie.

Mrugam zdezorientowany.

– Tak uważasz?

– Pewnie – oświadcza stanowczo Melanie. – Każdy ma coś na sumieniu.

Dlatego na końcu się załamuje, prawda? Bo nie może już dłużej udawać, że ma idealną żonę, i sam też nie może wiecznie odgrywać idealnego żołnierza i wodza.

– Sądziłem, że się załamuje, bo jest przekonany, że żona zdradza go z jednym z jego przyjaciół – zauważam.

– Jasne, bo to niszczy jego wyobrażenie o niej – obstaje przy swoim Melanie. – Idealna żona wcale nie jest taka idealna! Trzeba ją zabić.

– W sumie to...

– Prawda? – dokańcza Melanie. – Wiem to, bo jestem genialna.

Uśmiecham się, w osłupieniu unosząc kąciuki ust.

Podchodzimy do częściowo ukończonej scenografii. Kucam przy Melanie, patrząc, jak pewnie prowadzi pędzel po chropowatej, drewnianej powierzchni. Gdy odwraca się do mnie, w jej zmrużonych oczach widać skupienie.

– Dobra robota – stwierdzam.

– Nie mam bladego pojęcia, co robię – oznajmia Melanie.

– Mnie się wydaje, że dobrze wiesz.

Melanie wpatruje się we mnie nieruchomym wzrokiem.

– To o to chodzi? Że dobrze udaję?

– Jesteś w tym naprawdę dobra, Melanie. Serio.

– Dzięki – odpowiada, ale mówi to tak, jak ja mówię „w porządku” – ot, odruchowa odpowiedź, ani szczerza, ani znacząca.

Chcę jej powiedzieć: „Jesteś genialna, Melanie Ellis”. Ale zamiast tego pada:

– Umów się ze mną.

Jej usta rozchylają się.

– Słucham?
– Dobrze słyszałaś.
– Co to ma wspólnego z...
– Nic – przerywam jej. – Umów się ze mną. Tak na poważnie. Tylko ty i ja.
– Gdzie mam się z tobą umówić? – pyta zaskoczona. Rumieni się, a przy tym wygląda, jakby walczyła ze sobą, żeby się nie uśmiechnąć.
– Sama zdecyduj.
Nazajutrz siedzę za kulisami, wertując tekst ze wskazówkami reżyserskimi, gdy nagle zjawia się Tristan. Siada ciężko obok mnie i wzdycha teatralnie.
– Damonie Lewisie, rozwiąż moje problemy – zwraca się do mnie.
– Wyjaw, w czym rzecz, a twoje problemy zostaną rozwiązane – odpowiadam, przewracając kartkę.
– Nie mam gdzie baraszkować z Bryanem – wyjaśnia Tristan. – Jego rodzice nie aprobują gejostwa, a moi o niczym nie wiedzą...
– Chała – stwierdzam. – Jeśli cię to pocieszy, to moi rodzice też nie są za tym, żebym sprowadzał do domu dziewczyny w wiadomym celu.
– Mówi się, że dziś nastolatki uprawiają za dużo seksu – rzuca Tristan w zadumie. – Ale jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić. Bo gdzie niby miałyby go uprawiać?
– Jak to gdzie? Za kulisami podczas próby teatralnej – oświadczam, poruszając wymownie brwiami.
– Hej, nie uprawiałem tu seksu – wypiera się Tristan. – Jeśli mnie pamięć nie myli, to ktoś nam chamsko przeszkodził.
– Mam nadzieję, że tego nie planowałaś. Pewnie pełno tu szcurów. Ohyda!
– A ty z kim dokazujesz, co? – odpiera atak.
Wow, Tristanowi nic nie umknie.
– Yyy... Z nikim?
– O nie, tak się nie... Zaraz, widziałem to! Coś się szykuje, prawda? Mam cię, cwaniaczku!
– Melanie niczego... – zaczynam się wykręcać, ale Tristan zaciska dłoń na moim nadgarstku.
– Melanie niczego mi nie powiedziała – dodaje w pośpiechu. – Ale ty możesz mi powiedzieć o wszystkim.
Śmieję się i wyplątuję rękę z uchwytu Tristana.
– Nie ma o czym, stary.
– Umówiliście się? Proszę, powiedz, że się umówiliście.
– Decyzja należy do niej – odpowiadam. – Zaprosiłem ją na randkę. Teraz musi się tylko zgodzić.
– Jezu – wzdycha Tristan i wyciąga z kieszeni komórkę. – Możemy to załatwić od ręki...

Chwytam Tristana za ramię i go powstrzymuję.

– Nie rób tego.

– Ja tylko... – zawiesza głos. – Masz rację. Nie powinienem na nią naciskać, ty też nie, ale czasami potrafi być naprawdę irytująca. Wiesz, o co mi chodzi? Mogłeś zauważyć, że trochę się zgrywa.

– Mogłem zauważyć, a jakże!

– Nie ma zbyt dużego doświadczenia z chłopakami. To znaczy... chyba nie powinienem był tego mówić. – Wypuszcza głośno powietrze. – Kretyn ze mnie. Lepiej się już przymknę...

– Wyluzuj, Tristan – uspokajam go. – To tylko randka.

– Może dla ciebie – rzuca, przeczesując dłonią niesforne włosy. – Sęk w tym, że dla Melanie to coś więcej.

Serce zamiera mi w piersi. Ściskam scenariusz jeszcze mocniej, gniotąc kartki. Tej nocy dostaję od Melanie krótką, lecz słodką wiadomość: „OK. Miejsce do ustalenia”.

Odpisuję: „\o/”, a potem odtwarzam ten sam gest w zaciszu własnej sypialni, gdzie nikt mnie nie widzi.

Po chwili otrzymuję kolejnego esemesa z pytaniem: „Czujesz bluesa?”.

„Znaczy smutek?” – odpisuję.

„Znaczy Ette James, mądralo. W ten weekend grają koncert na jej cześć”.

Palce mnie świerzbią, a serce przyspiesza. Etta James ma wielu fanów, ale... chyba jeszcze nigdy nie spotkałem nikogo w moim wieku, kto lubiłby ją tak samo jak ja. Zakolczykowana punkrockowa dziewczyna w podartych džinsach i z płomiennymi włosami chce iść na koncert bluesowy? Akurat tam?

Ale z drugiej strony Etta James – zadziorna i bezkompromisowa – stanowi poniekąd ucieleśnienie punka.

„To o której?” – pytam w esemesie.

Zazwyczaj nie stresuję się przed randkami, ale nadchodzi piątek i cały się trzęsę. Przymierzam kilka zestawów – wkładam elegancką koszulę i luźne spodnie w kancik, do tego marynarkę, z której ostatecznie rezygnuję. Rozważam krawat, lecz zaraz pukam się w głowę: idziemy do przeciętnej knajpki i klubu, nie do opery. W końcu decyduję się na coś prostego – zwykłe džinsy, ciemnoniebieską koszulę i czarne najki.

W drodze do Melly wystukuję na kierownicy rytm kawałka Otisa Reddinga, trochę podryguję, oddycham.

– Cześć – wita się Melly, gdy zjawiam się pod jej drzwiami.

– Hej. Ślicznie wyglądasz.

To prawda: ma na sobie czarną spódnicę i czarne kozaczki, a do tego niebieską bluzkę z lekko połyskującego materiału. Jej ciemne oczy podkreślone eyelinerem wydają się jeszcze ciemniejsze, a włosy opadają łagodnymi falami na

ramiona.

– Dziękuję – odpowiada.

I teraz następuje niezręczny moment, gdy wyciągam dłoń, by pomóc jej zejść po schodach, a ona ściska ją i potrząsa, jak na powitanie, tylko że potem jej nie puszczam, bo – widzę, że przetwarza to w głowie – chcę ją trzymać za rękę. Melanie spuszcza wzrok, sprawiając wrażenie bardzo skupionej na czubkach swoich czarnych butów, ale nie cofa dłoni.

– Zbierajmy się – zarządzam. – Ten sernik sam się nie zje.

W Cheesecake Factory panują dzikie tłumy, jak zwykle w piątkowy wieczór. Normalnie musielibyśmy czekać przez jakieś sześć godzin w kolejce, ale wchodzimy od razu, bo zapadłem w pamięć hostessie. To ładna czarna dziewczyna o stosunkowo jasnej karnacji; w wydekoltowanej kiecce eksponującej krągłe biodra wygląda jak modelka. Uwiesza się mojego ramienia i wesoło chichocząc, prowadzi nas do stolika. Uśmiecham się do niej. Dobrze wiem, co robi. Mama nie wychowała idioty.

– D., wyglądasz bosko – wdzięczy się do mnie.

– Zawsze tak masz? – pyta Melanie, gdy zajmujemy miejsce przy stoliku.

– Jak? – Udaję niewiniątko.

– Tak, że dziewczyny rzucają się na ciebie?

Wzruszam ramionami, ale czuję się trochę zażenowany.

– Nie wiem. Czasami.

– Ja bym tak nie mogła – oświadcza. – Po prostu założyć, że podobam się jakiemuś kolesiowi, i pójść na żywioł.

Nigdy o tym w ten sposób nie myślałem. Jeśli dziewczyny tak robią, to tego nie zauważam. Chyba przywykłem do tego, że Carlos zwykle z nimi flirtował, odwracając ich uwagę...

Odchrząkuję.

– To miejsce jest odjechane – mówię, zmieniając temat.

Ubrani na biało kelnerzy krzątają się po sali z talerzami pełnymi jedzenia.

– Wszystko wygląda smacznie – stwierdza Melanie. – Ale najbardziej cieszę się, że w końcu, tak dla odmiany, to mnie ktoś będzie obsługiwał.

– Nie wiem, jak to znosisz – chichoczę. – Mnie męczą tacy ludzie.

– Ach tak? Masz na myśli klientów, którzy zamawiają jedynie czarną kawę i nic poza tym? – pyta, uśmiechając się drwiąco.

– Hej, zostawiam spore napiwki. Zresztą nie narzekałaś, gdy byłem w twojej knajpce – stwierdzam z szelmowskim uśmieszkiem. – Chyba mnie lubisz.

Macha lekceważąco ręką.

– Taa, jasne – odpowiada, a potem dodaje: – Może troszeczkę.

Potrząsam głową, a ona pochyła się i mruga do mnie niezwykle sugestywnie.

Zjawia się kelner i przyjmuje nasze zamówienie. Oboje decydujemy się na

makaron: dla mnie *fettuccine alfredo*, dla niej *spaghetti marinara*.

– Jak idą przygotowania do przedstawienia? – pyta Melanie.

Wzruszam ramionami.

– Chyba dobrze. Nadal jest trochę ciężko. Ale to tragedia szekspirowska, nie jakiś tam *High School Musical*, więc...

– Hej, te dzieciaki z *High School Musical* też się napracowały – odpowiada z całą powagą, a ja parskam śmiechem.

– Lubię to – wracam do tematu – ale czasami nie chcę tam być. Rozumiesz?

– Pewnie. Ja bym nigdy nie mogła robić tego co ty.

– Cóż, ja nie potrafiłbym namalować scenografii, choćby od tego zależało moje życie – pocieszam ją.

– O czym myślisz, gdy stoisz na scenie? – pyta Melanie. – Po prostu... zastanawia mnie to, gdy tak na was patrzę.

– Nie wiem. O niczym.

To kłamstwo. Jest wręcz przeciwnie – tysiące myśli kłębią mi się w głowie, zlewając się w biały szum, buczące natężenie tła, które w jakiś dziwny sposób dodaje mi energii, nasila złość i smutek.

– O niczym? – dopytuje sceptycznie Melanie. – Serio?

– Myślę o mojej postaci, o tym, co czuje – odpowiadam. – I zaczynam czuć to samo.

– Pokręcone – stwierdza Melanie. – Ale poniekąd super!

– Czasami mnie to przeraża – dodaję.

Myślę o Otellu i gotującej się w nim wściekłości: „Ja ją zabiłem”.

– Więc po co to robisz?

– Znasz to uczucie, kiedy oglądasz horror i nagle ktoś wyskakuje zza drzwi, a ty cała sztywniejesz? – pytam. – Ja mam tak na scenie. Przeraża mnie to, ale w dobrym sensie.

Melanie przesuwa palcem po laminowanym blacie stołu, marszcząc czoło.

– Tak samo jest, gdy się w kimś zakochujesz – rzucam bez namysłu. – Przeraża cię to jak cholera, ale wiesz, że warto.

Podnosi oczy i nasze spojrzenia spotykają się. Patrzy na mnie i mruga, przygryzając wargę.

Melanie, jak możesz wątpić w to, że jesteś piękna?

– No – mamrocze Melanie. – Przeraża, ale w dobrym sensie.

– W najlepszym – szepczę.

Żadne z nas nie odwraca wzroku.

Po kolacji jedziemy do Georgetown i w nieskończoność szukamy miejsca do parkowania. *C'est la vie*. Trudno. Przynajmniej mogę dłużej podziwiać Melanie z bliska, patrzeć, jak błyszczą jej oczy, gdy mówi o Etcie.

– Była taka młoda – wspomina Melanie. – Taka silna, twarda i zawzięta.

Miałem rację. Nie ma większej punkowy niż Etta.

Klub jest wypchany po brzegi, publiczność mieszana: czarni, biali i wszystkie karnacje pośrednie. Rzadko spotykany przekrój wszystkich grup wiekowych – my jednak nadal należymy do tych najmłodszych. Wspominam o tym Melanie, a ona kiwa głową na znak, że można się było tego spodziewać.

– Chyba niewiele dzieciaków w naszym wieku potrafi docenić muzykę, która nie jest aktualnie na topie – zauważa. – Wiesz, o co mi chodzi? Jeśli coś nie jest na liście Top 40, nie warto tego słuchać.

– Ale my doceniamy – spostrzegam.

Melanie uśmiecha się do mnie porozumiewawczo.

– Bo my jesteśmy inni.

Na scenę wychodzi piosenkarka o imieniu Chantelle. W ogóle nie przypomina Etty. Jest wysoka, smukła i ciemnoskóra, jednak gdy odgarnia z oczu kosmyk krótko ostrzyżonych włosów i przybiera charakterystyczną pozę, mój oddech przyspiesza i już wiem, że czeka nas prawdziwa muzyczna uczta.

Etty słucham od małego; pamiętam niedzielne popołudnia z tatą i jego wysłużonym adapterem, jej głos zachrypiły od papierosów i zniekształcony przez mocno już zdarte rowki w winylu.

Niskie dudnienie gitar przepływa przeze mnie pulsującym strumieniem, perkusja wybija miarowy rytm. Melanie porusza płynnie biodrami, tam i z powrotem. Chantelle zaklina niewidzialnego Henry'ego, prosi, by się z nią zabawił. Minęło sporo czasu, zanim zrozumiałem, o czym tak naprawdę śpiewała Etta.

Dotykam palcami wewnętrznej strony nadgarstka Melanie i łapię ją za rękę. Kołysamy się jak wiotkie gałęzie na wietrze, spokojnie i z wdziękiem.

Lubię taką Melanie: swobodną, rozluźnioną, nieskrępowaną strachem. Pachnie jak trawa po deszczu. Kładę jej rękę na plecach i czuję pot, wilgoć zbierającą się wzdłuż kręgosłupa. Czuję to i wiem, że chcę jej dotknąć. Chcę usłyszeć jej muzykę.

Słyszę, że coś do mnie mówi. Próbuje przekrzyczeć głośne dźwięki, ale i tak niewiele do mnie dociera.

Pragnę jedynie patrzeć, jak porusza ustami.

Nagle zadziera głowę i wspina się na place, wrzeszcząc mi do ucha: „Jest cudna!”.

Ma rację. Chantelle to nie Etta, ale i tak jest cudowna: szczupła i pyskata, z zadziorem w głosie, który sprawia, że wszystkie włoski na rękach stają mi dęba.

Gdy odzywają się znajome skrzypce, Melanie zwraca się do mnie twarzą i obejmują ją tak, jakbyśmy tańczyli. Napierający ze wszystkich stron tłum zbliża nas do siebie. Pochylam się; słyszę wciągane przez Melanie powietrze i cierpko-słodki głos Chantelle, ale przede wszystkim czuję na sobie dotyk ust

Melanie. Smakuje jak sos pomidorowy z miętą. Wsuwa palce w moje włosy i przyciąga mnie jeszcze bliżej, a ja posłusznie jej ulegam. Melanie Ellis, tobie ulegnę zawsze i wszędzie.

Melanie

Układałyśmy historyjki ze świecących gwiazdek na moim suficie. Ty zawsze widziałaś niedźwiedzie – niedźwiedzie na pikniku, niedźwiedzie w drodze na targ, niedźwiedzie odkrywające nieznane planety. Uważałam, że to głupie, ale teraz ilekroć patrzę na gwiazdy, myślę: Wielka Niedźwiedzica, Mała Niedźwiedzica.

„Widzę twoje imię w twoich włosach” – powiedziałaś mi kiedyś. Cały czas mówiłaś takie rzeczy, rzeczy, które przestawały mieć sens, jeśli za długo się o nich myślało. Zawsze byłaś artystką, kreatywną i zwariowaną. Chwilami nie chciałam, żebyś taka była, żebyś ciągle zwracała na siebie uwagę. Chciałam, żebyś była taka jak wszyscy. Wkurzało mnie, dlaczego nie możesz być po prostu normalną mamą mówiącą normalne rzeczy.

Jednak teraz... teraz w swoich włosach widzę twoje imię – DANA ELLIS – dokładnie tak, jak je zapisywałaś, kończąc litery małymi zawijaskami. Ciekawe, czy zawsze będę widziała takie rzeczy, czy może znikną jak moje gwiazdki świecące w ciemności. Już nie świecą i nie rzucają mglistej poświaty. Teraz ilekroć wyłączam światło, myślę o tym, że już cię nie ujrzę, że nie zobaczę, jak przysiadasz na moim łóżku i wplatasz mi palce we włosy. Ale widzę cię, nawet w zupełnym mroku.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nazajutrz po mojej randce z Damonem z samego rana budzi mnie telefon.

– Melanie – odzywa się Tristan i w odpowiedzi słyszy mój jęk. – Czeka, nie rozłączaj się.

– Rany boskie, Tristan. Jest nieludzko wcześnie.

– Obudziłem się i nie mogłem zasnąć, bo rozmyślałem o waszej randce.

– Świr – odpowiadam i po omacku chwytam budzik, odwracając go, żeby odczytać godzinę. – Nie wierzę, że obudziłeś mnie o szóstej trzydzieści w sobotę tylko po to, żeby zapytać o randkę.

– Wiesz, nieczęsto na nich bywasz – wyjaśnia Tristan. – Sytuacja jest wyjątkowa.

– Mogę już wrócić do spania?

– O nie, musisz mi wszystko opowiedzieć.

– Jesteś irytujący i mam cię dość. Mówię poważnie.

– Było fajnie? Powiedz mi chociaż tyle.

– Tak, było fajnie. Nawet bardzo. To bardzo miły chłopak.

Po drugiej stronie rozlega się długie, cierpiętnicze westchnienie.

– Boże. Jesteś beznadziejna.

– Uhm, wiem. Idę spać.

– Później oczekuję szczegółowej relacji, okej?

– Uhm.

– Będę tu czekał, sam, pogrążony w smutku, rozmyślając o tym, co zrobiłem nie tak w życiu.

– Okej.

– Zastanawiając się, dlaczego moja najlepsza przyjaciółka nie chce się ze mną dzielić ważnymi dla niej informacjami.

– Uhm.

– Wyobrażając sobie świat, w którym ludzie są dla siebie mili, i w którym...

– Zamknij się wreszcie, Tristan!

Budzę się cztery godziny później, tym razem na dobre. Schodzę na dół i krzątam się po kuchni, szykując kawę. Tata pewnie jeszcze śpi – zawsze w piątki długo pracuje, a w soboty wstaje później niż zwykle, pozwalając, by Dahlia ogarnęła największy tłum w porze brunchu. Ludzie często zakładają, że wspaniale jest mieć ojca restauratora, bo na okrągło je się świetne żarcie, ale to nie działa w ten sposób. Mój tata zwykle jest zbyt zmęczony, by gotować w domu, a resztki, które przynosi, są obrzydliwe. Zimny, zakrzepły stopiony ser w zasadzie nadaje się tylko do wyrzucenia.

– Cześć – słyszę za plecami, a gdy się odwracam, widzę tatę stojącego

w drzwiach; wygląda, jakby dopiero się obudził. Drapie się po pokrytej szczecina brodzie i mruga. – O której wczoraj wróciłaś?

– Około północy – odpowiadam.

– Byłaś z Tristanem? – Uśmiecha się. – Lubię go. To dobry dzieciak.

– Owszem – potwierdzam, wsypując płatki śniadaniowe do miski – ale nie, nie byłam z nim, tylko z Damonem.

Rzednie mu mina.

– Z Damonem? Co to za jeden?

Nabieram powietrza.

– Damon Lewis. Chodzi do mojej szkoły. Gra w przedstawieniu, więc ostatnio często się widzujemy.

– Czy wy...

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Coś jest na rzeczy.

– Na rzeczy? – Splata palce i strzela knykciami. – A co konkretnie?

Już widzę, jak mama leży na łóżku z głową wspartą na rękach i mówi: „Ma taki seksowny głos”.

Normalnie zmarszczyłabym nos i burknęła: „Fuj, mamo, nie bądź obleśna”.

– Nie chcę o tym mówić – odpowiadam.

Nie jesteś nią.

Nie możesz być nią.

Przepraszam.

Tata sprawia wrażenie zawiedzionego. Stoi przygarbiony w spodniach od piżamy i podkoszulku, z siwiejącymi włosami przerzedzonymi nad czołem. Wygląda staro, co jest niedorzeczne, bo przecież nie ma nawet pięćdziesiątki. Ale nie trzeba być starym, by staro wyglądać. Nie trzeba być starym, by umrzeć.

– Muszę odrobić lekcje – szepczę, wylewając płatki do zlewu i przeciskając się obok niego w drzwiach do salonu.

Wydaje mi się, że ma mokre policzki, ale to nie może być prawda. Mój tata nie płacze.

Później po południu zjawia się Tristan i nie daje mi spokoju, wypytując o Damona i naszą randkę, tak jak zapowiedział.

– Cheesecake Factory! – wykrzykuje, podskakując na moim łóżku. – Nie powiem, miał gest.

– Nie nabijaj się – fukam. – Twój chłopak też cię nie zabiera na dziesięciodaniowe uczyty z tańcami.

– Ech, nic nie mów – rzuca Tristan i opada na plecy. – Nie ma już romantyków.

Moja komórka brzęczy, oznajmiając nadejście wiadomości.

Esemes od Damona: „Bardzo mi się podobało. Miło jest spędzić czas z kimś,

kto potrafi docenić bluesa. Musimy to wkrótce powtórzyć”.

Tristan przechwytuje mój telefon i pogwizduje.

– No, no, w dodatku džentelmen! – kpi. – Melanie, chyba znalazłaś ideał.

Wiesz, co napisał mi Bryan?

Podtyka mi pod nos swoją komórkę z wiadomością: „Uwielbiam to, co robisz z językiem”.

Śmieję się, a on się krzywi.

– Daj spokój, to komplement – pocieszam go. – Prawie poezja.

– Dno – stwierdza. – Totalne dno.

– Wiesz, Damon też nie jest idealny – dodaję.

– Doprawdy? Dłubie w nosie? Chodzi w skarpetkach nie do pary? Jakaż to niedoskonałość dyskredytuje go w pani oczach, panno Ellis?

– Hej, nie jestem wybredna – obruszam się.

Tristan unosi brwi ze zdziwieniem.

– Trochę jesteś, Melly.

– Nie mam za bardzo w kim wybierać – odpieram atak.

– Przejrzyj na oczy – strofuję mnie. – Tak ci się tylko wydaje.

– Kiedy miałam jakiś wybór? – pytam.

– A ten koleś, Ridley, w zeszłym roku? – podpowiada Tristan. – Był miły i miał fajną fryzurę, i naprawdę cię lubił.

– Nieprawda.

– Na angielskim przez cały czas z tobą flirtował – ciągnie dalej Tristan. – Próbował cię namówić, żebyś dołączyła do kółka plastycznego.

– Kto by chciał należeć do kółka plastycznego? Żenada.

– Kolejny: Malcolm, twój partner od eksperymentów chemicznych – wylicza na palcach Tristan. – Bujał się w tobie przez całą drugą klasę.

– Skąd mogłam wiedzieć, że on...

– Proszę cię! A te wszystkie raporty laboratoryjne, które robił za ciebie? – przypomina mi.

– Myślałam, że po prostu bardzo lubił chemię – odpowiadam, a Tristan wybucha śmiechem.

– Był jeszcze taki chłopak z Meksyku. Ten... jak mu tam?

– Pablo, z wymiany uczniowskiej. Ale on lubił mnie tylko dlatego, że mówiłam do niego po hiszpańsku...

– Czy ty siebie słyszysz? – pyta Tristan. – Same wymówki! Są tacy, którym się podobasz. Naprawdę. Ale ty zawsze doszukujesz się dziury w całym.

Czy to prawda?

„Otwórz się na ludzi” – słyszę w głowie głos mamy.

Tylko gdy to zrobię...

Zobaczą prawdziwą mnie.

– Słuchaj, nie ma nic złego w tym, by trochę powybrzydzać. Czasami sam chciałbym móc... ech – wzdycha Tristan. – Mam jeszcze mniejszy wybór niż ty.

– Poczekaj tylko do Nowego Jorku – rzucam w zadumie.

Twarz Tristana rozpromienia się.

– No – odpowiada. – W Nowym Jorku będzie ekstra.

Zapada cisza. Siedzę w milczeniu, próbując zebrać rozbiegane myśli.

– Ale Damon wydaje się inny – odzywa się wreszcie Tristan.

Przypominam sobie dotyk jego dłoni na moich plecach. Jego miękkie usta związane z moimi.

Bezpiecznie, tak się przy nim czułam. Bezpiecznie.

– Uhm – przytakuję. – Owszem.

Odpisuję Damonowi: „Też tak myślę. Do zobaczenia wkrótce”.

Niedziela po południu. Staram się przebrnąć przez śmiertelnie nudny fragment *Ethana Frome'a*, gdy nagle moja komórka zaczyna wibrować jak szalona na nocnym stoliku. Sięgam po nią, by sprawdzić, kto dzwoni.

Na wyświetlaczu czytam: „Homiś”.

Przesuwam palcem po ekranie, odbierając połączenie.

– Co tam, Tristan?

Następuje cisza, potem słyszę dyszenie i wreszcie głos Tristana, zdecydowanie zbyt wysoki i słaby, jakby dobiegał z daleka.

– Melly? Mel?

Przekładam telefon do drugiej ręki.

– Jestem, skarbie. Co się dzieje?

– Ellis, mamy problem. I to duży.

– Co się dzieje? Gdzie jesteś?

– Gdzieś w Tenley, ale zmierzam w twoim kierunku.

Wstrzymuję oddech. Mój tata lubi Tristana, ale chyba nie do końca rozumie naturę naszej bliskiej przyjaźni. To przyczyniło się już do wielu niezręcznych rozmów i pytań: Dlaczego spędzamy ze sobą tak dużo czasu? Czy Tristan nie ma dziewczyny, z którą wolałby się spotykać? W tym momencie zwykle wkraczała mama i zmieniała temat; w kącikach jej ust błąkał się uśmiech, a oczy mówiły jasno i wyraźnie: „Masz u mnie dług, córuś”.

– Powiesz mi w końcu, co jest grane? Czuję się trochę jak w odcinku *Strefy mroku*.

– Ja... Mel, to skomplikowane. Spotkałem się z Bryanem u mnie w domu. Siedzieliśmy na kanapie. Mówiłem mu, że nie powinno nas tam być, że źle robimy, ale to nieprawda... nic takiego nie robiliśmy, tylko się całowaliśmy, i wtedy nakrył nas tata. Wrócił wcześniej, muzyka grała głośno i...

Połączenie się zrywa, ale już wiem, dokąd zmierza ta historia. Wiem to, odkąd dwa lata temu na imprezie zobaczyłam po raz pierwszy, jak Tristan całuje

się z chłopakiem; zaszyli się w ciemnym kącie, tak że nikt nie był w stanie odróżnić ich od typowej, pijanej pary napalonych małałatów obściskujących się w sobotni wieczór.

Nie powiem: „A nie mówiłam”, ale tak właśnie było. Powtarzałam mu to non stop: „Wyznaj rodzicom prawdę” – a teraz będę musiała pomóc mu uporać się z konsekwencjami zignorowania tej świetnej rady, bo tak robią przyjaciele.

Gdy Tristan staje w moich drzwiach, wygląda jak półtora nieszczęścia: ciemne włosy są potargane i sterczą na wszystkie strony, niedopięty plecak wisi na ramieniu, ciemnozielona koszulka polo jest wymięta. Tristan ma zaczerwienione oczy, zamglone i wyraźnie zmęczone, a na wardze czernią się punkciki zaschniętej krwi; musiał ją mocno zagryzać.

Zapraszam go do środka i obejmuję, zamykając w uścisku. Nie puszczam, nawet gdy plecak zsuwa mu się z ramienia i z głuchym odgłosem upada na podłogę. Tristan jest strasznie spięty; czuję, jak mięśnie drgają mu pod koszulką. Stoimy tak przez chwilę i oddychamy w tym samym tempie, dopóki on nie przestaje się trząść.

– Napijesz się gorącej czekolady? – proponuję.

Tristan przytakuje. Podchodzi za mną do kanapy i siada, patrząc tępo w przestrzeń. Zmykam do kuchni i po kilku minutach wracam z dwoma kubkami ciepłego napoju. Przez chwilę siedzimy w milczeniu, sącząc czekoladę, i wreszcie Tristan mówi:

– Nie wybaczy mi tego.

– Kto? Bryan? Niech się wali.

Tristan odwraca się do mnie i patrzy smutnymi niebieskimi oczami.

– Nie. Mój tata. Nie przebaczy mi.

Mam ochotę powtórzyć: „Niech się wali” albo zbyć to jakimś żartem, ale wiem, że Tristan potrzebuje teraz czegoś innego. Chodzi o jego bliskich. Wiadomo, rodziny się nie wybiera, ale też nie można się jej, ot tak, wyrzec.

– Naprawdę sądzisz, że...

– Tak – przerywa mi. – Naprawdę. Melly, gdybyś widziała jego minę...

Zawiesza głos, bawiąc się nitką wystającą z dzinsów.

– Nienawidzi mnie – stwierdza. – Mama znienawidzi mnie za to, że jestem kłopotliwy i inny, i w końcu Jason i Danny też mnie znienawidzą, bo w mojej rodzinie niefajnie jest mieć brata pedała.

– Nie wiesz tego – przekonuję go.

Co mam mu powiedzieć? Może ojciec mu nie wybaczy. Może faktycznie jest wielkim dupkiem. Trudno jest przewidzieć siłę rodzicielskiej miłości... lub bigoterii.

– Po prostu... zawsze wiedziałem, czego pragnie dla mnie ojciec. Rozumiesz? Chciał, żebym odniósł sukces, dorobił się, dobrze ożenił i zachowywał

jak na starszego brata przystało. Chciał, żebym to ja pokazał Jasonowi i Danny'emu, jak być mężczyzną, cokolwiek to znaczy. A ja nie mogę tego zrobić. W każdym razie nie tak, jak by sobie tego życzył.

Chcę powiedzieć Tristanowi, że jest prawdziwym mężczyzną, że jest bardziej męski niż większość chłopaków, których znam... że jego wrażliwość jest zaletą i że to, jak kocha, jest jedną z rzeczy, które czynią go pięknym i wyjątkowym. Mam ochotę wygarnąć jego ojcu, że powinien być wdzięczny za to, iż ma takiego syna, i za to, że jest. Gdyby stracił Tristana, to wszystko przestałoby się liczyć. Oprócz pustki, którą by Tristan po sobie zostawił.

Ale to moja trauma, nie jego. Taka teraz jestem.

– Może zrozumie, jeśli mu wytłumaczysz – szepczę.

Tristan wzdycha i kuli się na kanapie, chowając nogi pod siebie.

– Taa, jasne.

Oglądamy *Dziewczyny z drużyny* i do gorącej czekolady jemy czekoladowe lody. Rozkładam się na kanapie, trzymając głowę na kolanach Tristana, a on bezwiednie przeczesuje moje włosy palcami, rozplątując skołtunione kosmyki. Następnie dzieli je na pasma i zaplata w warkoczyki przetykane czerwienią, jakby ktoś dziabnął je nożem.

Śmiejemy się z tego, jak głupia jest postać grana przez Kirsten Dunst, a Tristan wścieka się na to, że białe cheerleaderki podkradły układ akrobatyczny czarnoskórym koleżankom, choć widzieliśmy ten film już z czterdzieści siedem razy. Gdy na ekranie pojawiają się napisy końcowe, szturcha mnie, żebym usiadła. Niechętnie się podnoszę.

– A teraz opowiedz mi więcej o Damonie – zaczyna. – Czekałam na raport z postępów.

– Raport z postępów? – powtarzam zdziwiona. – On nie jest projektem, który mam zrealizować.

Tristan wymownie unosi brwi.

Zniesmaczona rzucam w niego poduszką.

– Jeśli myślisz, że już ci odpuściłam za ten numer, który mi wykręciłeś z panią McAvoy, to się mylisz. I to bardzo.

Tristan uśmiecha się do mnie szelmowsko.

– Nieźle to wykombinowałem, prawda? Spryciarz ze mnie.

– Raczej dupek.

– Słuchaj, moje życie właśnie legło w gruzach. Daj mi trochę pożyć swoim.

– Nic takiego się nie wydarzyło – oświadczam, choć w głowie słyszę: „Kłamczucha, łżesz jak pies”.

– To na co czekasz? – pyta Tristan, trącając mnie ramieniem. – Kiepski z ciebie przykład osoby heteroseksualnej, jeśli... no wiesz.

– Jeśli nie robię nic heteroseksualnego?

– Jeśli nie robisz nic seksualnego – uściśla Tristan. – No więc dalej, do dzieła!

– Co ja biedna bym bez ciebie zrobiła? – wzdycham.

– Pewnie byś zginęła – odpowiada całkiem poważnie.

Szturcham go łokciem w żebra, a on udaje śmiertelnie rannego.

– Co o tym wszystkim myśli Bryan? – pytam.

Tristan wzrusza ramionami.

– Nie wiem, spanikował na widok mojego ojca i dał nogę.

– Zamierzasz z nim o tym porozmawiać?

Oczy Tristana tracą swój niebieski blask.

– Tak – potwierdza. – O ile będzie chciał.

– Jego dotyczy to w tym samym stopniu co ciebie...

– Wiem, Mel. Wiem – przyznaje z rezygnacją. – Przepraszam za to wszystko. Że tak cię naszedłem i zacząłem dramatyzować. Nie chciałem...

– Tristan, nic się nie stało – uspokajam go. – Od tego są przyjaciele.

Wzdycha, zwieszając ramiona. Tristan nie jest zbyt wysoki, a w tej chwili wygląda na jeszcze mniejszego, trochę jak dmuchana piłka, z której uszło powietrze, bo za długo leżała na dworze.

– Pamiętasz, jak w trzeciej klasie stłukliśmy ulubiony wazon twojej mamy, odgrywając scenki z *Gwiezdnych wojen*? – pytam. – Zacząłeś świrować, a ja ci mówiłam, żebyś jej o tym powiedział, bo i tak się dowie. I tak zrobiłeś, powiedziałaś jej, a ona na ciebie nakrzyczała, ale potem przeszła nad tym do porządku dziennego. Przypomnij sobie.

Tristan rzuca mi znużone spojrzenie.

– Melanie, teraz nie chodzi o zbity wazon.

– Wiem, ale... – zawieszam głos.

Tristan przyciąga kolana do piersi i marszczy brwi, jakby nad czymś usilnie rozmyślał.

– Czego chce twój ojciec? – pytam.

– Żebym był mniej homo? – poddaje myśl. – Nie wiem, Mel. To złamas, a moja matka wcale nie jest lepsza. Myślałem, że przynajmniej weźmie moją stronę, ale tak się go boi, że tylko siedzi beczynnienie i pozwala, by mówił te wszystkie okropne rzeczy. Danny i Jason mają kompletny mętlik w głowie, a ja czuję się jak...

Urywa, potrząsając głową. Brakuje mu słów.

Z westchnieniem kładę Tristanowi dłoń na karku. Pod palcami czuję jego delikatną skórę, nieco wilgotną od potu.

– Ale pozwolą ci zostać, prawda? – pytam. – Chyba nie wyrzucą cię z domu?

Tristan kręci przecząco głową.

– Nie wyrzucą. Nie żebym chciał zostać, ale cóż... Nie są tacy najgorsi.

Chciałabym móc mu powiedzieć: „Zamieszkać ze mną, tak długo, jak zechcesz”, ale wiem, że wówczas jego rodzice by wygrali, pozbywając się z domu Tristana, a wraz z nim kłopotu.

– Dasz sobie radę – szepczę, uciskając kciukiem zagłębienie w jego karku.

Myślę o mamie i tacie, o Tristanie i Bryanie, i o rodzicach Tristana. Myślę też o Damonie i o tym, jak jego oczy ciemnieją, ilekroć mówi o Carlosie, jakby ktoś gasił tłocze się w nich światełko.

Myślę o szkicowniku pod moim łóżkiem.

Myślę o tajemnicach, o tym, jak ciężko je skrywać i jak długo można to robić, zanim zaczną cię zżerać od środka, zanim zechcesz obwieścić je z dachu całego świata albo wyrzucić komuś na skórę.

Zaciskam pięść, wbijając w dłoń paznokcie.

Cały kolejny tydzień zlewa mi się w jedno zamazane pasmo szkolnej codzienności, prób, pracy, snu i jedzenia. Szkoła – nuda, praca – nuda, ale próby... Próby mają swoje zalety.

Malowanie scenografii samo w sobie jest dość nużące, ale jest w tym coś z zen, coś, co bardzo mi odpowiada. Powlekanie drewna farbą, szlifowanie powierzchni ruchami posuwisto-zwrotnymi to bardzo monotonna, fizyczna praca, lecz gdy kończy się próba, mogę napawać się owocami moich wysiłków. To uczucie, gdy na coś patrzysz i nie możesz się nadziwić, że sama to stworzyłaś, jest niezwykle budujące, podobne do satysfakcji, jaką czułam w dzieciństwie, tworząc paskudne obrazki z makaronu albo wznosząc pochyłe domki z patyczków po lodach.

No i jest jeszcze Max – zdrobienie od Maxine – która dołączyła do naszej ekipy mniej więcej tydzień po mnie. Max jest w porządku. W przyszłości chce zostać autorką komiksów. Plecak ma cały w naszywkach z wizerunkami znanych superbohaterów – Batmana, Spider-Mana czy Hulka – ale też takich, których sama wymyśliła. Jednym z nich jest Pasamonik, który chodzi w prążkowanych garniturach i nosi naprawdę szalowe kapelusze.

– Jego kapelusze są uszyte z superostrego materiału, który tnie skórę – wyjaśnia Max. – No i rzuca nimi w ludzi, przecinając ich na pół.

– Jak ten gość od mokrej roboty z filmów o Bondzie – zauważam. – Oddjob.

– Uhm, tylko bardziej bajerancko – poprawia Max.

– Jak to: bardziej bajerancko? – dopytuje zboliałym głosem Calvin. – Przecież to dokładnie to samo.

– Po prostu – kwituje Max, a Calvin już nic nie mówi.

Przykucam, malując na płótnie mury zamku – szare i złowróźbne, na tle nocnego nieba.

Max kiwa głową z uznaniem.

– Dobra robota, Melanie.

– Dzięki – odpowiadam, uśmiechając się. Zwalczam w sobie pokusę, by powiedzieć coś autoironicznego. Mam ochotę zapytać Max, jak to jest, że rysuje i maluje jakby nigdy nic, i w ogóle nie przejmuje się tym, co myślą inni.

Ale tego nie robię.

Damon przychodzi za kulisy, staje za moimi plecami i przez kilka minut przygląda się, jak pracuję.

– Całkiem zarabisty zamek, prawda? – mówię po chwili.

Czuję, że się uśmiecha.

– Oj, tak. Wyczesane wieżyczki.

– Chciałeś kiedyś mieszkać w zamku? Na przykład jak byłeś mały? – pytam, a Damon kładzie mi rękę na ramieniu i klęka. Czuję jego ciepło przez koszulkę.

– Właściwie to nie – przyznaje. – W zamkach musi być zimno. I wilgotno. I pewnie trudno utrzymać je w czystości.

Wybucham śmiechem.

– Pewnie masz rację. Ale za to miałbyś most zwodzony i inne bajery. Mogłoby być fajnie.

– Mhmm – mruczy.

Wyciąga rękę i trzyma ją nad płótnem, nie dotyka go, tylko przesuwając dłoń nad nim. Spoglądam na niego pytająco, czekając na wyjaśnienie.

– Carlos robił tak czasami, gdy chodziliśmy z wycieczką do galerii sztuki. Twierdził, że w ten sposób odbiera wibracje czy coś w tym stylu. Że niby jest w stanie wyczuć emocje towarzyszące artyście podczas tworzenia obrazu.

Wpatruję się w Damona. Nie patrzy na mnie, tylko wlepia wzrok w dekorację, marszcząc przy tym czoło.

– Nieźle pokręcone – stwierdzam.

– No – przytakuje Damon.

– I co? Czujesz coś?

– Czuję, że osoba, która to namalowała, jest bardzo utalentowana. Nawet sobie nie zdaje sprawy jak bardzo.

Rumienię się.

– Co za stek bzdur!

– Wcale nie – upiera się Damon, przeszywając mnie spojrzeniem zielonych oczu. – To prawda, Melanie.

Nic nie mówię, a on wreszcie odwraca wzrok.

W tle słyszę szept pozostałych członków obsady, ale czuję się tak, jakbyśmy byli tu tylko my.

– Wydają się takie samotne – odzywa się nagle Damon.

– Co takiego? – pytam zdziwiona.

– Zamki – wyjaśnia. – Wydają się samotne. Wielkie, ciemne, puste i bardzo samotne.

– Nawet z tymi wszystkimi dworzanami, pokojówkami i rycerzami?

– Tak – potwierdza. – Nawet z nimi.

Książka o żałobie gapi się na mnie, gdy wchodzę wieczorem do sypialni. Otwieram ją, prosząc w myślach: „Powiedz mi, co zrobić, bym znów poczuła jej bliskość”.

Czy cieszysz się życiem? Zadaj sobie to pytanie. Zadawaj je często. Jeśli odpowiedź brzmi: tak, to dobrze. Nie powinieneś mieć wyrzutów sumienia, jeśli czerpiesz przyjemność z życia. Życie w żałobie oznacza dokładnie to: życie. Nie pomagasz ani sobie, ani osobie, którą oplakujesz, zachowując się, jakbyś również nie żył.

Odwracam kartkę i czytam dalej.

W którymś momencie musisz pokochać swój smutek, zaprzyjaźnić się z nim, ponieważ będzie ci towarzyszył przez długi czas. Jest teraz częścią ciebie.

Ciesz się życiem. Pokochaj swój smutek. Według tej książki życie po śmierci bliskiej osoby jawi się jako jedna wielka impreza.

Wkładam flanelową piżamę w pingwinki na łyżwach i wczółguję się pod kołdrę, naciągając ją aż pod brodę. Leżę plackiem na łóżku z rozpostartymi rękami, tak że palcami dotykam krawędzi materaca. Sufit ma odcień pudrowej bieli, z pozoru wygląda nieskazitelnie, ale w jednym rogu chyba dostrzegam maleńką rysę. Uśmiecham się, widząc, że nawet on ma jakąś skazę. Wszystko jest po trochu popaprane, i nic w tym złego.

Wyłączam lampkę nocną, lecz gdy tylko zamykam oczy, widzę puste zamkowe korytarze, ciemne i zawilgocone, spowite cieniem.

– Jesteś tu, prawda? – mówię cicho. – Jesteś tu i masz mnie za idiotkę.

Wzdycham ciężko.

– W poradniku piszą, że trzeba pokochać swój smutek – ciągnę dalej. – Ale to jakieś bzdury. Jak można pokochać smutek? Głupota.

Chwytam róg prześcieradła i pocieram je w palcach. Jest miękkie i tak sprane, że prawie prześwitujące. Pamiętam, jak mama uczyła mnie prać. „Oddzielaj białe rzeczy od kolorowych” – tłumaczyła, rzucając parę majtek na jedną kupkę, a dzinsy na drugą. „Do białego prania nalewasz ciepłej, a do kolorów zimnej wody. Jeśli włożysz kolory do ciepłej wody, mogą puścić”. „Puścić co?” – zażartowała, a mama wykrzywiła się do mnie zabawnie.

– Skąd mam wiedzieć, kogo powinnam wpuścić do swojego życia? – pytam.

– Po prostu zdecydować? Na przykład, czy powinnam zaufać Damonowi, bo jest dla mnie miły i wydaje się szczerzy?

Nie pytam: „Co będzie, jeśli się na niego otworzę? Co, jeśli wpuszczę go do swojego życia i zacznie mi na nim zależeć, a potem go stracę?”.

„Co, jeśli stracę go tak, jak straciłam ciebie?”.

Przewracam się w łóżku, moszcząc sobie głowę wygodne wgłębienie

w poduszce.

– Myślę, że kazałabyś mi poczekać i zobaczyć, co się wydarzy. Zobaczyć, co zrobi Damon, i jeśli jest porządnym gościem... będę wiedziała. To byś mi doradziła.

Wciągam głęboko powietrze, a potem je wypuszczam, powoli, czując, jak przepływa przez moje płuca.

– Mamo, czy naprawdę zachowuję się jak idiotka? Tylko to mi powiedz.

Nic. Cisza.

Ciągnę za rękaw od piżamy i wzdycham. Unoszę rękę do policzka. Jest mokry. Kiedy zaczęłam płakać? Przekręcam się na bok, ocierając łzy o poduszkę. Dlaczego, do cholery, płaczę?

„Straciłaś matkę” – przypomina głos w mojej głowie. „To się nie powinno wydarzyć. To się nie powinno przytrafić nikomu, nigdy, ale tak już bywa, i choć to niesprawiedliwe, nic na to nie poradzisz”.

Obracam się na plecy i zaciskam dłonie w pięści.

– Lubi mnie – mówię. – Chyba naprawdę mnie lubi, mamo.

Niedziela wieczór. Mniej więcej w połowie mojej zmiany Macho podaje mi talerz z cheeseburgerem i frytkami dla stolika numer pięć i wymownie do mnie mruga. Patrzę na niego ze zdziwieniem.

– Musimy pogadać – mówi tonem, który nie wróży nic dobrego.

Nieco sfatygowany starszy facet przy trójce posyła mi zbereźny uśmiech, który przyprawia mnie o dreszcze. Z utęsknieniem czekam na dzień, kiedy nie będę już więcej musiała obsługiwać stolików.

– Masz podejrzenie zadowoloną minę – rzucam do Macho, gdy wracam do kuchni z naręczem brudnych naczyń.

– Słyszałem, że masz chłopaka – oznajmia śpiwnym tonem. – Dlaczego nic mi nie powiedziałaś, Mel? Myślałem, że się kumplujemy.

Przewracam oczami, wrzucając talerze do wiadra z mętną wodą.

– Nie ma o czym mówić.

W zasadzie to prawda. Od naszej randki nie minęło zbyt wiele czasu, choć może się wydawać...

Usta trochę mnie pieką. Nieświadomie unoszę rękę, by ich dotknąć, ale się powstrzymuję.

Na Boga, nie jestem taką dziewczyną!

Jednak gdy o mały włos nie upuszczam jedzenia dla stolika numer cztery, zaczynam w to wątpić.

Nazajutrz rano budzę się bardzo wcześnie, zbyt wcześnie nawet jak na powszedni dzień, i nie mogę już zasnąć. Zmęczona i poirytowana ubieram się powoli, byle jak. Nie chce mi się zakładać łańcuszka na brzuch ani szukać jakiegoś ładnego paska; leniwie podnoszę skórzaną kurtkę z podłogi – rzuconą tuż przy

koszu na brudną bieliznę – chwytam plecak i ledwo zdążam na autobus.

Później w stołówce natykam się na Damona; zachodzi mi drogę, gdy zmierzam do stolika, przy którym zwykle siadam z Tristanem.

– Czy to rozkaz? – pyta mnie zaczepnie, przenosząc wzrok na moją koszulkę i z powrotem na moją twarz.

Mam na sobie czerwony T-shirt z wizerunkiem Elmo i wielkim, czarnym napisem „Połaskocz mnie”.

– Przestań się gapić na moje cycki, Lewis – mówię przeciągle, a Damon uśmiecha się tak, że mam ochotę przyprzeć go do podłogi, tu, na środku stołówki, i robić z nim różne niestworzone rzeczy.

Spogląda mi prosto w oczy i mówi:

– Wpadniesz do mnie jutro? Moglibyśmy się razem pouczyć.

Domyślam się, co znaczy „pouczyć”, ale mam to gdzieś.

Tak, chcę do niego wpaść. Chcę się „pouczyć” z Damonem Lewisem.

Na zajęciach z historii prawie przysypiam, gdy nagle przy biodrze wyczuwam wibracje komórki. Poprawiam się na krześle, tak by nie zwrócić na siebie uwagi. Korzystanie z telefonów komórkowych w czasie lekcji jest surowo zabronione. Odwracam komórkę na kolanach pod ławką i odczytuję wiadomość: „Czekam na raport w sprawie pana Lewisa”.

Odpisuję szybko: „Pogadamy później. Projekt zrealizowany”.

Mija może trzydzieści sekund i dostaję kolejną wiadomość: „!!!!!!!”.

Uśmiecham się.

Wieczorem dyskutujemy z tatą o kolacji, a konkretnie o tym, ile pomidorów trzeba dodać do sosu, by był wystarczająco aromatyczny, gdy nagle on zmienia temat. Atak z zaskoczenia.

– Sprawa wygląda tak – zaczyna. – Jesteś moją małą córeczką. Nie patrz tak na mnie, Melly. Dobrze wiesz, że nią jesteś i bardzo cię kocham, ale to nie znaczy, że możesz mnie ignorować.

Chcę coś powiedzieć, jednak nie daje mi dojść do słowa.

– Twoja mama i ja może nie byliśmy zbyt restrykcyjni – ciągnie – ale to dlatego, że ci ufaliśmy. Sądziłeś, że potrafisz o siebie zadbać. Ja nadal tak sędzę, więc nie staraj się dowieść, że jest inaczej. To, że ci ufam, nie znaczy, że idę na łatwiznę. Być może nie jestem wzorem doskonałości, ale mimo wszystko jestem twoim ojcem. I to... – wzdycha, przeczesując palcami rzednące włosy. – To wszystko na ten temat.

Zapada pełna napięcia cisza. W końcu odchrząkuje.

– Ehm, tato. Jest parę rzeczy, skoro już się sobie zwieramy. Po pierwsze, Tristan jest gejem. I to zdeklarowanym. Jego rodzice dopiero się o tym dowiedzieli i teraz zajmujemy się tym dramatem. Poza tym, bardzo lubię Damona i myślę, że może coś z tego wyjść. Jest miły, mądry i zabawny, więc...

Wpatruje się we mnie przez chwilę. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, a potem znów je zamyka, i znów otwiera.

– Tristan jest gejem?

Wybucham śmiechem.

– Ale poważnie, jest gejem? To... to by nawet miało sens – stwierdza i, marszcząc czoło, drapie się po skroni.

Nadal się śmieję.

– Wiesz, że w tej sytuacji będę musiał odbyć spotkanie z Damonem – oświadcza.

Nagle nie jest mi już od śmiechu.

– Mel, ja nie żartuję. Nie możesz chodzić z chłopakiem, którego nie miałem okazji zmusztować – oznajmia stanowczo, ale patrzy na mnie czule i łagodnie.

– Nie nazwałabym tego chodzeniem.

– Skoro ze sobą nie chodzicie, to co robicie?

Na to pytanie można udzielić wielu dobrych odpowiedzi, ale żadna nie nadaje się dla uszu taty. W każdej padają zwroty, takie jak „bez zobowiązań” lub „przyjaciele z przywilejami”, a Gary Ellis za nimi nie przepada. Mama nawet by nie mrugnęła, ale tata...

– Nie spieszmy się z tym – odpowiadam.

To brzmi dobrze. Niewinnie, szlachetnie. Coś, jak odgrywanie ról na zajęciach z wychowania seksualnego promujących wyłącznie abstynencję.

– Aha, nie spieszycie się – powtarza, lustrując mnie ciemnymi oczami.

– Uhm – potwierdzam.

– Z tym – dodaje w zadumie. – Czyli coś się między wami rozwija.

Słyszę „rozwija” i myślę sobie: Najpierw przez stanik, potem bez stanika. Zastanawiam się nad kolejnymi bazami, nad tym, jak te zazwyczaj ewoluują, ale ostatnią bazą ciągle jest „zaliczenie”. Tego nikt nie zakwestionuje. Nikt nie powie: „Stosunek płciowy, ha! to było modne w latach osiemdziesiątych. Z choinki się urwałaś?”.

– Tak. Tylko nie wiemy jeszcze konkretnie co.

Posyła mi spojrzenie, które zdradza, że nie podobają mu się moje pokrętne odpowiedzi. Trudno, co robić. Uwielbiam pokrętność. Mogłabym mieć tak na drugie imię.

– Cóż, jeśli chcesz pogadać o...

Nie chcę. Nie teraz. Za pierwszym razem było wystarczająco niezręcznie. Pamiętam, jak mama usiadła ze mną w sypialni, zamknęła moje dłonie w swoich i powiedziała:

– Musisz się zabezpieczyć, Mel. Gdy przyjdzie co do czego, nikt tego za ciebie nie zrobi.

Utkwiłam wzrok w narzucie na łóżku – była jasna, w kolorze słoneczników,

gładka i miękka. Nowiutka. Kątem oka dostrzegłam mojego miśka imieniem Lucy. Jedno ucho miał obszarpane, a przy błyszczącym zielonym płaszczyku przeciwdeszczowym brakowało guzika. Poczułam ściskanie w brzuchu.

Mama wcisnęła mi w rękę kwadratowy foliowy pakiecik. Czułam, jak pod nim i dookoła zbiera się pot, i pakiecik staje się śliski.

– Twój tata sądzi, że jesteś na to za młoda – wyznała. – Nie wiem, skarbie. Mam nadzieję... Ale chcę, żebyś była przygotowana.

Miałam wtedy trzynaście lat. Chłopcy – przynajmniej ci, których znałam – byli okropni. Pamiętam, że pomyślałam: „Przygotowana na co?”.

Spoglądam teraz na tatę i mówię:

– Nie ma takiej potrzeby. Naprawdę.

Wygląda, jakby mu ulżyło.

– Okej. Jeśli będziesz mieć jakieś pytania, daj znać.

Uśmiecham się i klepię go czule po policzku.

– Kocham cię, tato.

– Ja ciebie też, pączuszu. – Chwyta mnie za ramię i ścisną.

Nucąc cicho – chyba Beach Boysów – wraca do mieszania sosu, a ja zaczynam nakrywać do stołu. Kuchnia wypełnia się aromatem czosnku, pieprzu i słodko-kwaśnych pomidorów. Zupełnie jak za dawnych czasów. Gdy byłam mała, tata, jeszcze zanim kupił restaurację i przestał gotować w domu, w niedzielne popołudnia uczył mnie przyrządzać proste dania, sosy bazowe, smażone mięso, burgery i pieczenie. Którejś październikowej niedzieli pokazał mi, jak zrobić sos pomidorowy.

Tata wtedy był jeszcze księgowym, ale kochał jedzenie bardziej niż kiedykolwiek mógłby pokochać cyferki. Wystarczyło spojrzeć na naszą kuchnię: była elegancka, olbrzymia i pełna słońca, wyposażona tylko w najlepsze sprzęty i armaturę, zawsze ze świetnie zaopatrzoną lodówką. Ze wszystkich znanych mi osób tylko mój ojciec posiadał różnej wielkości patelnie grillowe, tortownice, minutnik do jajek oraz pędzelek do smarowania ciasta i sześć różnych szpatulek. Jego motto: „Od przybytku głowa nie boli”.

Ubrana w znoszone spodnie dresowe, kapcie i koszulkę z moich czasów w skautingu (wytrzymałam tylko rok; nie przepadałam za obcowaniem z przyrodą i tą całą integracją grupową) pomagałam, wrzucając na skwierczącą oliwę posiekany czosnek i cebulę, których ostry, wyrazisty aromat przesycił powietrze w kuchni. Następne w kolejności były papryczki – zielone i czerwone, pozbawione nasion i pokrojone w paski – oraz inne przyprawy, takie jak oregano, świeża siekana bazylija i tymianek. Wreszcie przyszła pora na pomidory, pokrojone w kostkę i ociekające sokiem, w którym tonęła cała biała deska do krojenia. Wiem, że większość dzieciaków za nimi nie przepada, ale ja zawsze je uwielbiałam, zwłaszcza te, które tata hodował w ogródku za domem. Smakowały słońcem,

w którego promieniach dojrzewały, a jedząc je, miałam wrażenie, że chłonę niebo.

Śmiejąc się, zsunęłam pomidory do strzelającego oleju i mieszanki przypraw. Tata też dorzucił coś od siebie, pouczając: „Cebula ma się praktycznie rozpuścić, jakby w ogóle jej nie było. Chcesz czuć jedynie jej smak, to, co po niej zostało”. Przytaknęłam i pomagając mu mieszać, obserwowałam, jak karmazynowy płyn wiruje w rondlu, delikatnie bulgocząc.

Nadal nie potrafię zrobić porządnego sosu, ale słowa taty wbiły mi się w pamięć. „Chcesz czuć jedynie jej smak, to, co po niej zostało”. Gdy myślę o mamie, czuję bogaty czekoladowy smak murzynka pieczonego późnymi piątkowymi wieczorami, słony posmak popcornu sprzedawanego w kinie, słodcy kawy, mleczną nutę lodów.

Gdy myślę o ojcu, czuję smak pomidorów.

Stąd, gdzie stoję, widzę wyszczerbienie w kuchennym stole – gdy miałam pięć lat, wjechałam w niego trójkołowym rowerkiem. W moim pokoju jest takie miejsce na ścianie, w którym mama zaznaczała, ile urosłam, aż do dziesiątego roku życia; małe kreseczki wykonane ołówkiem, powoli wnikające w farbę.

Tata poprawia rondel na kuchence. Pamiętam, jak mama kiedyś się o niego oparzyła. Krzyczała i klęła na całą kuchnię, trzymając rękę pod zimną wodą, a wtedy tata powiedział: „Spokojnie, Dana, przecież nie umierasz”.

Nie umierasz...

Nie ma w tym domu takiego miejsca, w którym nie natknęłabym się na wspomnienia. Każdy, kto nas dotyka, zostawia ślad – swój stempel, znak. Odciski mamy są na całym moim ciele, odbite tak mocno, że widać ich złobienia. Są wszędzie, gdzie zwrócę wzrok, tak wyraźne, jakby zostały zrobione tuszem.

Damon

Zdradzę ci sekret:
Czasami chcę o tobie zapomnieć.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Co? Nie, oddawaj.

Melanie wbija mi łokieć w żebra, próbując przechwycić pilot do telewizora. Śmieję się i trzymam go wysoko nad głową, drugą ręką przypierając ją do kanapy. Melanie warczy i puszcza wiązanek przekleństw. A ja jeszcze głośniejsze się śmieję.

– Nie będziemy oglądać tego... gówna...

Ciska się i szamocze, w końcu uwalniając się i chwytając pilota. Stękam z niezadowolaniem i, wciąż się śmiejąc, przetaczam się na nią.

Nagle nic nas nie dzieli. Czuję jej oddech na twarzy i dłoń na moim biodrze, tuż nad paskiem spodni.

– Możemy przełączyć, na co tylko chcesz – oświadczam. – *Project Runway*? Wiem, że skrycie chcesz...

– Spadaj! – syczy Melanie, wbijając mi palce w ramię, aż krzywię się z bólu. Ma całkiem mocny chwyt jak na dziewczynę. A nawet nie tylko dziewczynę. – To nazywasz uczeniem się? Musisz mieć same szóstki!

– Hej, D., możesz wyjąć swoje ciuchy z susz...

Melanie i ja zamieramy w bezruchu. Moja mama stoi na progu salonu, z jedną ręką wspartą na biodrze.

– Mamo – staczam się z Melanie, która rumieni się z zażenowania. – To jest Melanie. Melanie, to moja mama.

– Witaj! – mówi mama, uśmiecha się i wyciąga rękę. – Miło cię wreszcie poznać.

– Panią również – odpowiada Melanie, choć wygląda, jakby chciała zapaść się pod ziemię.

– Zajmę się praniem – zwracam się do mamy.

– Postrachem też – dodaje. – Nie był dziś na spacerze, a wiesz, co się dzieje, gdy za długo przebywa w domu. Wiem, jak kochasz swoje nowe najki. Chyba nie chcesz, żeby je rozniósł...

– Jasne, wyprowadzę go, nie martw się.

Mama unosi brwi i patrzy na mnie z powątpiewaniem.

– Naprawdę, mamo, obiecuję.

– W porządku – mówi, rzucając mi wymowne spojrzenie w stylu: „Porozmawiamy później”, i wychodzi.

Zapada krępująca cisza. Melanie siedzi tak cicho, jakby nagle przestała oddychać.

– No cóż – odzywa się po chwili.

– Przepraszam za to. Nie miałem pojęcia, że ona jest już w domu – tłumaczę się.

Melanie podnosi na mnie wzrok i z całą powagą stwierdza:

– Twoja mama pewnie ma mnie za lafiryndę.

Wybucham śmiechem.

– Uhm, dokładnie tak o tobie myśli: „Ta Melanie to jakaś zdzira!”.

– No, nie wyglądało to dobrze. Ty na mnie...

– Nie przejmuj się – uspokajam ją. – Moi rodzice na pewno będą przeszczęśliwi, że przyprowadzam do domu nowych znajomych ze szkoły.

– Znajomych, co? – powtarza Melanie, szturchając mnie w żebra.

– Traktujesz tak wszystkich swoich znajomych?

Chwytam ją za rękę i przyciągam do siebie. Zamykam jej dłonie w swoich, wystarczająco dużych, by je zakryły. Widzę, jak oddycha; jej ramiona wznoszą się rytmicznie i opadają.

– Tylko tych naprawdę słodziutkich – szepczę.

Składam na jej ustach delikatny pocałunek, który szybko przeradza się w coś więcej. Kręci mi się w głowie i robi gorąco; splatam nasze palce w mocnym uścisku.

– Ehm, Damon? – mówi Melanie, odrywając się ode mnie, by zaczerpnąć powietrza. – Jeśli nie przestaniemy, twoja mama nakryje nas w jeszcze gorszej pozycji niż przedtem.

Wzdycham i puszczam jej rękę.

– Masz rację.

Zapada krępująca cisza, którą po chwili przerywa Melanie:

– Więc... co to za Postrach?

Uśmiecham się.

– Zaraz was sobie przedstawię.

Jest piękny, słoneczny jesienny dzień; powietrze rześkie, lekko mroźnawe. Uwielbiam tę porę roku. Ganki domów w całym sąsiedztwie zdobią dynie, okna zasnuwają sztuczne pajęczyny, a nad drzwiami wiszą plastikowe szkielety i gigantyczne pająki z czarnego filcu. Na jednym z dachów siedzą cztery dyniowe kukły przebrane za postaci z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz* – Stracha na Wróble, Blaszanego Drwala, Tchórzliwego Lwa i Dorotkę.

Postrach, nasz duży, rozbrykany czarny labrador, ciągnie za sobą Melanie w kierunku ulicy i nagle zatrzymuje się, by obwąchać najwyraźniej apetycznie pachnącą kupkę liści.

– Nie mogę uwierzyć, że nazwałeś go Postrach – oświadcza Melanie.

– I to jeszcze zanim się na nim poznaliśmy – odpowiadam z ironicznym uśmieszkiem. – Może zapeszyłem.

– Dziwak z ciebie.

– Myślałem, że już dawno to ustaliliśmy – stwierdzam i odwracam się na pięcie, idąc tyłem jak pilot wycieczek, i szeroko się uśmiechając.

– Chyba muszę się tobie lepiej przyjrzeć. Poznać twoje dziwactwa. Coś, czym mogłabym cię później szantażować.

– Naprawdę? Sądzisz, że jesteśmy już na etapie potencjalnego szantażowania?

Melanie wzrusza ramionami.

– Na to nigdy nie jest za wcześnie.

– Hm, czy ja wiem? Nie wydaje mi się, żebym miał jakieś skrzywienia.

Postrach szczerka, jakby chciał powiedzieć: „Taa, jasne”.

Melanie unosi brwi.

– Lubię Queen – dodaję po chwili. – Znasz ten zespół?

– Pewnie – odpowiada Melanie. – Ale to nic szokującego. Ja też lubię Queen. Wielu ludzi ich lubi. Pół świata lubi Queen. Pewnie nawet więcej niż pół. Puszczają ich na każdym meczu bejsbolowym.

– Kiedyś, jak byłem młodszy, kupiłem album solowego projektu Nicka Jonasa – kontynuuję. – Facetowi w sklepie powiedziałem, że to dla mojej siostry, a przecież nie mam siostry.

– Co sądzisz o jego nowszych kawałkach? – pyta Melanie z rozbawieniem w oczach.

Macham dwuznacznie ręką.

– To już nie to samo. Nie włożył w nie serca.

Melanie wybucha śmiechem, oplatając sobie smycz wokół nadgarstka.

Czekamy na skrzyżowaniu na zmianę światła. Postrach ciągnie smycz, jakby chciał się z niej zerwać. Melanie odciąga go, nie pozwalając, by wyskoczył na jezdnię, na co Postrach obrzuca ją pełnym wyrzutem spojrzeniem.

– Przez jakiś czas grałem w Małej Lidze – oznajmiam. – Ale bejsbol nie jest dla mnie. Byłem w tym marny. W kosza też nie jestem za dobry.

– To dlaczego zadajesz się z tymi wszystkimi...

– To oni czasami zadają się ze mną, bo Praga jest moim kuzynem – wyjaśniam. – I za każdym razem dają mi jasno do zrozumienia, że jestem w tym beznadziejny.

Melanie prycha. Dochodzimy do niewielkiego pasa zieleni, który uchodzi za park, i zajmujemy miejsce na ławce. Spuszczam Postracha ze smyczy, a ten zaczyna ganiać po trawie, głośno, wręcz szaleńczo szczerkając na niewidzialne duchy.

– Przeniosłeś się do nowej szkoły na trzecim roku. To trochę nietypowe – stwierdza Melanie.

Cały sztywnieję.

– No.

– Zdradzisz powód?

– W Gate nie dawałem rady – odpowiadam.

Melanie wygląda na zdezorientowaną, ale nie draży tematu.

– Czasami wyprowadzałem Postracha z Carlosem – mówię nagle. – Carlos nie przepadał za psami. Uważał, że za dużo z nimi problemów, ale lubił Postracha. Mówił, że ma w sobie ogień, czy coś w tym stylu.

Postrach pędzi w naszym kierunku, lecz w ostatniej sekundzie robi zwrot i daje drapaką, ujadając.

– No, coś w sobie ma, bez dwóch zdań – potwierdza Melanie.

Kręcę ze smutkiem głową. W oddali słysząc wycie syreny.

– Czasem wydaje mi się... To zabrzmiało dziwnie, ale czy odnosisz czasami wrażenie, że twoja mama nadal tu jest? Gdzieś w pobliżu? – pytam, odwracając się do Melanie. – Nie chodzi mi o jakieś urojenia... Wiem, że Carlosa tu nie ma. Ale czasami mam wrażenie, jakby... wszystkiemu się przyglądał. Jakby wiedział, co się dzieje, i chciał w tym uczestniczyć. Rozumiesz?

Melanie pochyla głowę; widzę, jak z napięcia sztywnieją jej ramiona. Bawi się dłońmi, to je splatając, to rozplatając na kolanach.

– Tak – potwierdza. – Ilekroć pracuję nad scenografią. Czasami myślę sobie, że... gdyby wciąż tu była, wstąpiłaby do szkoły, by sprawdzić, jak mi idzie. Na pewno zdziwiłaby się, że się tym zajmuję, ale byłaby szczęśliwa.

– Nie znałem jej, ale też tak myślę.

Melanie wyciąga rękę i kładzie dłoń na moich plecach. Czuję przyjemne mrowienie wspinające się po kręgosłupie ku szyi. Wyobrażam sobie przez chwilę, jak mój mózg z ośrodka nerwowego śle wiadomości do pozostałych części ciała; tysiące maleńkich zwitków papieru podróżują wraz z krwiobiegiem do tysiąca różnych miejsc, i każdy z nich niesie tę samą informację:

„Wiem, co czujesz. Naprawdę”.

– Co by powiedział? – pyta zniemacka Melanie. – Gdyby Carlos teraz tu był, co by powiedział?

Unoszę brodę, wystawiając twarz do słońca przebijającego się przez mroźne powietrze.

– Nie wiem – odpowiadam.

– Chyba jednak wiesz. – Melanie nie daje za wygraną.

Jej upór mnie zaskakuje. Czuję, jak wczepia się palcami w moją kurtkę i nie cofa dłoni.

– Myślę, że byś się mu spodobała – spekuluję. – I pewnie powiedziałaby, że też masz w sobie ogień.

– Jak twój pies? – dopytuje.

– No bo niezły z ciebie kawał suczy... – droczę się, i w pełni zasłużenie dostaję pięścią w ramię.

Gdy przestajemy się śmiać, zapada cisza. Siedzimy w milczeniu; ramię nadal mnie boli. Patrząc, jak Melanie odgarnia włosy z oczu. Jej rzęsy trzepoczą jak

migawka w aparacie.

Mam taką ochotę zrobić jej zdjęcie.

– Myślisz, że twoja mama by mnie polubiła? – pytam nagle.

Próbuję pochwycić jej spojrzenie, ale Melanie odwraca wzrok. Słońce zniża się na nieboskłonie; światło jest mniej rażące, rozproszone.

– Tak – odpowiada.

Melanie twierdzi, że musi już wracać i naprawdę się pouczyć, ale zanim odchodzi, każe jej obiecać, że jutro wpadnie do mnie na kolację. Wiem, że nie odmówi. Nie ma ku temu powodu. Domyślam się, że ostatnio wiele posiłków spożywa w samotności, bo jej tata spędza mnóstwo czasu w pracy; pewnie odgrzewa resztki w mikrofali i zjada je potem przed telewizorem albo okazjonalnie w restauracji, przy jednym z metalowych stołów w kuchni, starając się nie wchodzić w drogę kucharzom wykrzykującym zamówienia i pobrząkującym rondlami. Tu cicho, tam głośno, ale w obu miejscach samotnie. Nie może zerknąć przez stół i spojrzeć w oczy drugiej osobie, myśląc: „Tak, dzielimy tę chwilę, tu i teraz”.

Tyle, Melanie, mogę dla ciebie zrobić.

Nazajutrz, gdy mama wraca do domu, wita Melanie ciepłym uśmiechem.

– O, świetnie, że jesteś – oświadcza. – Porozmawiamy sobie. Wczoraj Damon cię porwał, zanim zdążyłyśmy się bliżej poznać.

Zdziwiony unoszę brwi. Nie mówiłem rodzicom zbyt wiele o Melanie. Ostatnio mało z nimi rozmawiam. Nie wiem, co powiedzieć.

Melanie wygląda na przerażoną, ale mama zaczyna się śmiać i klepie ją po ramieniu, dodając:

– Kochana, nie martw się. Obiecuję, że nie będzie bolało.

Stoimy w kuchni i przyglądamy się, jak mama szykuje proste danie – cytrynowego kurczaka z ryżem i fasolką szparagową. Melanie sugeruje, żeby dodała do marynaty odrobinę koperku, i zaraz zaczyna się tłumaczyć:

– Przepraszam, mój tata jest szefem kuchni. Chyba odziedziczyłam po nim nawyk wtrącania się i pouczania, jak należy gotować.

– Nigdy nie przepraszaj za to, że chcesz pomóc coś stworzyć – uspokaja ją mama.

Melanie spuszcza wzrok, wbijając go w czarne motocyklowe buty ze srebrnymi sprzączkami i topornymi obcasami, i milczy. Kładę jej rękę na ramieniu, a ona podnosi oczy i odwzajemnia mój uśmiech.

– Jaki przedmiot lubisz najbardziej? – pyta ją mama, kiedy w komplecie zasiadamy do stołu i zabieramy się do jedzenia.

– Hm, chyba angielski – odpowiada.

– Lubisz czytać? – dopytuje się ojciec. Okulary w drucianej oprawie ledwie trzymają się na czubku jego nosa, gdy się pochyla i dodaje: – Może twój entuzjazm

udzieli się Damonowi. Jego interesuje tylko to aktorstwo. Ciągłe mu powtarzam, że trzeba także czytać...

– Ale ja czytam – wtrącam się. – Naprawdę, tato.

– Czytasz... informacje na pudełku płatków śniadaniowych – żartuje tata, ale uśmiecha się życzliwie.

– A jak spędzasz czas po szkole? – pyta mama. – Uczęszczasz na jakieś dodatkowe zajęcia?

– Mamo – mówię ostrzegawczo.

– Przepraszam za to przesłuchanie – tłumaczy się, choć widać, że wcale nie jest jej przykro. – Po prostu jestem ciekawa.

– Pracuję nad scenografią do przedstawienia – odpowiada Melanie.

– Tak właśnie poznałaś Damona? – docieka mama.

Melanie chwyta moje spojrzenie i przytakuje.

Widzę, że też wie, kiedy lepiej coś przemilczeć.

– Interesujesz się sztuką? Malarstwem?

Melanie zwleka chwilę z odpowiedzią.

– Tak.

– Fantastycznie – cieszy się mama. – Świat potrzebuje więcej artystów.

Zwłaszcza że jedną artystkę niedawno stracił.

– Owszem – szepcze Melanie. Widzę, jak się rozkoszuje szerokim uśmiechem mojej mamy.

Nie wiem, jak wyglądała mama Melanie, ale potrafię ją sobie wyobrazić; pochłapana farbą i roześmiana wskazuje na Melanie pędzlem umoczoną w czerwieni. „Teraz ty spróbuj” – słyszę, jak mówi, podsuwając jej stos grubych arkuszy. „Teraz twoja kolej”.

Po wyjściu Melanie zaglądam do gabinetu ojca.

– Wyniosłem śmieci – informuję go.

– Dziękuję – odpowiada tata, poprawiając okulary i zerkając znad nich. – Wszystko okej?

– Tak, w porządku – mówię odruchowo.

Moi rodzice teraz tak mają: nieustannie sprawdzają, jak się czuję.

– Melanie jest naprawdę urocza.

„Urocza”. Nie znam gorszego słowa, jakim można by opisać Melanie, chyba że „dziarska”.

– Jest świetna – odpowiadam. – Bardzo ją lubię.

– Cieszę się, że zawierasz nowe znajomości – oświadcza tata. – Jesteś na dobrej drodze.

Ku czemu? A, no tak – na dobrej drodze, by ruszyć dalej, zapomnieć. Na dobrej drodze, żeby przestać rozmyślać o Carlosie. Zastąpić go kimś innym. Wypełnić pustkę, którą po sobie zostawił.

Ale Melanie nigdy jej nie wypełni. Ona ma już swoje miejsce, wypełnia przestrzeń przeznaczoną tylko dla niej, przestrzeń, która wcale nie wydawała się pusta, dopóki Melanie nie pojawiła się w moim życiu. Nierozsądnie byłoby oczekiwać, że zajmie miejsce Carlosa, wypełni lukę po naszych hermetycznych żartach i przepychankach, po naszych cosobotnich popołudniowych potyczkach w *Halo* i nocnych rozmowach o poważnych sprawach, o których nie mogliśmy dyskutować za dnia.

Nikt nigdy nie wypełni tej wielkiej dziury. Teraz muszę się nauczyć budować wokół niej, muszę się od niej odizolować, wznosząc mur ze smutku. To fatalny budulec; z niego nigdy nie powstanie nic pięknego. Można jedynie uszczelniać pęknięcia i liczyć na to, że się nie rozpadnie.

Kilka dni później, wracając z próby, wstępuję do restauracji i siadam tam gdzie zwykle. Melanie przynosi mi kawę i posyła lekki uśmiech.

– Postrach dobrał się rano do jednego z moich najków – żalę się. – Dosłownie go wybebeszył. Po całym pokoju walały się kawałeczki sznurówek.

– Nie mów, że zapomniałeś go wyprowadzić – strofuje mnie Melanie.

– Boże! Wystarczy mi jedna matka – ripostuję, przewracając oczami.

– Śmierć trampka. – Melanie kiwa współczująco głową. – Tragedia!

– Żebyś wiedziała! – wtóruję, mieszając kawę. – Myślałem o tym, żeby zakopać go na podwórku za domem, ale tata twierdzi, że to szkodliwe dla środowiska, bo takie buty się nie rozkładają.

– Mógłbyś postawić mu nagrobek – sugeruje Melanie. – Coś dekoracyjnego i gustownego. „Tu spoczywa świętej pamięci trampka, pożarty w kwiecie wieku przez dzikie zwierzę...”

– „Będzie go nam brakować” – kontynuuję. – „Pozostawił bliskich przyjaciół: air jordany i vansy”.

Ktoś z tyłu odchrząkuje. Zaciekawiony odwracam się i wyglądam zza Melanie.

Za nami stoi wysoki, nieco łysiejący szatyn i uśmiecha się do mnie niepewnie.

– Cześć. Jestem Gary.

Nie bardzo wiem, co o tym myśleć.

– Cześć.

Mężczyzna ściska mi dłoń i unosi brwi.

– To mój lokal – oświadcza. – Wiesz, U Gary’ego.

Kiwam głową i nagle dociera do mnie.

– Gary. Oczywiście. Miło pana poznać.

Uff, udało się uratować sytuację!

– Podobno między tobą a moją córką coś jest – ciągnie dalej tata Melanie, a ona się wzdryga.

– Coś? – powtarzam lekko łamiącym się głosem.

– Tak to nazwała – tłumaczy Gary. – Melanie zawsze potrafiła się wysławić.

– Dlatego ją lubię, proszę pana – odpowiadam. – Jest taka elokwentna.

Gary odrzuca głowę do tyłu i zanosi się śmiechem, a Melanie robi taką minę, jakby nie wiedziała, komu najpierw przywalić – mnie czy jemu.

– Jesteście podli, obaj – mamrocze Melanie. – Wracam do pracy.

– Damon, może wpadniesz któregoś razu na kolację? – proponuje Gary. – Nie tu. Przygotuję coś, czego nigdy nie dostaniesz w takiej knajpce. Coś francuskiego.

– Brzmi wybornie – odpowiadam. – Z przyjemnością.

Na twarzy Melanie maluje się mieszanina przerażenia i poirytowania. Odwraca się, żeby odejść, ale chwytam ją za rękę i wbijam szpilę:

– Hej, Mel, czy to wpłynie na to „coś” między nami?

Rzuca mi spojrzenie, które zabiłoby nawet Rasputina.

– Robisz coś w piątek? – pytam i posyłam jej mój najlepszy uśmiech.

– Bo co? – rzuca z kamienną powagą. – Tak dobrze dogadujesz się z moim tatą, że chcesz się z nim spotkać?

– Wolałbym spotkać się z tobą.

Widzę, że się waha.

– Zgódź się – zachęcam ją. – Będzie super.

– Okej – przytakuje. – Ale lepiej, żeby tak było.

Odchodzi, a ja uśmiecham się do kawy.

Wychodzę z restauracji i czuję się tak lekko, jakbym unosił się w powietrzu. Jednak im bardziej oddalam się od Melanie, tym cięższe robią się moje stopy. Myślę o nadchodzącym tygodniu i to bezpowrotnie psuje mój dobry nastrój.

Wkrótce będziemy przerabiać ostatnie akty sztuki. Zamierzam stawić im czoło, ale wcale się na to nie cieszę: czeka mnie postępujący obłęd Otella, to, jak z każdą wygłaszaną kwestią wzbiera w nim gniew, i jego nieuchronny, bolesny upadek.

Lacey Andrews to idealna Desdemona – długie blond włosy i ten kokieterijny uśmiezek. Jej bohaterka to prosta, młoda dziewczyna; jest zadurzona w Otellu, ale nie do końca go rozumie. Ilekroć odgrywamy końcowe sceny i widzę jej zdumione spojrzenie, kiedy miłość Otella przeradza się w niezrozumiałą nienawiść, czuję mrowienie w palcach.

Czasami się zastanawiam: Na co mi to? Po co? Dlaczego? Dlaczego tak się katuję i przeżywam te wszystkie okropne rzeczy, które nawet nie są prawdziwe?

Jednak wydają się prawdziwe. Prawdziwe, złe i potworne – zdrada, złość, rozpacz. Tak prawdziwe, jak to tylko możliwe.

Potrzebuję tego. Potrzebuję tych wszystkich chwil, które wydają się prawdziwe, aby zrekompensować to, co wydaje się takie nierealne.

Mojego i tak kiepskiego nastroju nie poprawia fakt, że w środę tuż przed próbą po raz pierwszy od kilku tygodni wpadam na Pragę. Chcę skinąć mu na powitanie i szybko się zmyć, ale on ani myśli zostawić mnie w spokoju.

– Siema – rzuca. – Masz chwilę?

Czuję ucisk w żołądku. Sądząc po jego minie, sprawa jest poważna.

– Eee, śpieszę się na próbę...

– To zajmie tylko minutę – obiecuje i zaciąga mnie do łazienki.

– Coś się stało? – pytam.

– Ty mi powiedz – odpowiada Praga. – Podobno masz dziewczynę.

Wzruszam ramionami.

– Sam nie wiem, w zasadzie to się nie określiliśmy...

– Słuchaj, nie chcę się mieszać w twoje sprawy...

– Chyba właśnie to robisz.

Praga krzyżuje ręce na piersi i kontynuuje:

– Po prostu... wydaje mi się, że nie wiesz, jak to działa, bo wcześniej chodziłeś do prywatnej szkoły.

Unoszę brwi ze zdziwienia.

– Jak co działa, Sam?

Praga sztywnieje na dźwięk swojego prawdziwego imienia.

– Chodzenie z białymi dziewczynami.

– Nie wiedziałem, że potrzebuję do tego instrukcji.

– Nie rznij głupa, D. Próbuję ci tylko powiedzieć, że...

– Bez urazy, stary, ale chyba nie chcę od ciebie żadnych porad na temat randkowania.

– Chodzi mi tylko o to, że... to normalne, nie ma w tym nic złego ani dziwnego, ale jesteś tu nowy i zachowujesz się tak, jakbyś stronił od swoich. Tylko tyle chciałem...

– A Melanie jest niby czyja? – pytam kąśliwie. – Czyżby nie podobało ci się to, że mam dziewczynę? Czy chcesz powiedzieć, że w przyszłości powinienem konsultować z tobą swoje wybory? Będziesz prześwietlał każdą laskę, zanim się z jakąś umówię?

Oczy Pragi ciemnieją z gniewu.

– Ziom, nie chcę wyjść na dupka. Po prostu mówię ci, jak jest.

– Może sam nie wiesz, jak jest – odgryzam się.

Praga podnosi ręce w geście kapitulacji.

– Zresztą nieważne. Zapomnij, że cokolwiek mówiłem.

– Tak zrobię – odpowiadam.

Wypadam z łazienki, gotując się ze złości. Nerwowo zaciskam i otwieram pięści. Jak on śmie, myślę, ale nie mam tyle odwagi, żeby zawrócić i zakończyć rozmowę tak, jak bym chciał. Zachowuję się tak, jakbym stronił od swoich?

Akurat!

Całe szczęście, że dzisiaj ćwiczymy jedną z ociekających jadłem scenek z *Otella*, bo chwilę później zjawiam się na scenie i wyładowuję swoją wściekłość na Lacey, czyli Desdemonie.

– Niebo ci jest świadkiem, żeś jest fałszywą, jak piekło! – rzucam z pogardą.

– I komuż? I z kim, mój mężu? – wykrztusza z trudem Lacey. – Jak jestem fałszywą?

– O, Desdemono! Precz, precz, precz! – krzyczę.

– Tuszę, mój mężu, że w cnotę mą wierzysz.

– Tak, jak w much letnich, co ledwo wylęgłe, a już się płodzą. O ty jasny kwiecie – syczę – tak wdzięczny, piękny i tak słodkiej woni, że wszystkie zmysły mdleją odurzone, bodajeś nigdy był się nie urodził!

– Jakąż nieznaną popełniłam zbrodnię? – pyta Lacey, wpatrując się we mnie wielkimi, pełnymi trwogi niebieskimi oczami.

Zacinam się.

„Jakąż nieznaną... jakąż nieznaną zbrodnię...”

„Wal się” – słyszę głos Carlosa.

Ze złości czuję mrowienie w karku, nieprzyjemny przepływ prądu.

Widzę Carlosa leżącego bezwładnie pod drzewem z głową odwróconą w bok i zamkniętymi oczami.

„Nie umieraj, nie umieraj...”

Widzę Carlosa skulonego na schodach przeciwpożarowych, walczącego ze łzami, kiedy próbowaliśmy przekrzyczeć wrzaski dochodzące z jego mieszkania. Jego ręce drżały. Rozmawialiśmy coraz głośniejsze, prawie do zderzenia gardeł. Przechodnie zapewne dziwili się, dlaczego ci dwaj chłopcy robią tyle hałasu o *Halo*, dlaczego tak się emocjonują *Władcą Pierścieni* i *Gwiezdnymi wojnami*, ale nic sobie z tego nie robiłem; skupiłem się na ruchu warg Carlosa, starając się wytłumaczyć dobiegające do nas: „Szmato, nie umiesz się nawet porządnie zająć swoimi dziećmi, więc co chcesz ode mnie?!” i „José, nic nie wiesz o tych dzieciakach, nic nie wiesz...”.

„Jakąż nieznaną zbrodnię...”

Próbowałem pomóc. Próbowałem zająć czymś Carlosa, odciągnąć jego myśli od tej popapranej rodziny. Gdy tylko chciał porozmawiać, słuchałem... cóż, próbowałem słuchać, ale Carlos niewiele mówił o tych sprawach. Nigdy nie chciał, a przecież nie mogłem go zmusić do rozmowy o czymś, o czym wołał milczeć.

Staralem się być dobrym przyjacielem, starałem się go wspierać, ale cokolwiek robiłem, to i tak nie miało znaczenia.

Ostatecznie to Carlos podjął tę decyzję, to Carlos...

„Jakąż nieznaną zbrodnię...”

Mogłem go powstrzymać. Tyle było okazji... tyle było rzeczy...

„Jakąż nieznaną zbrodnię...”

Te słowa odbijają się echem w mojej głowie, rozdzielają i zacinają, przeskakując i powtarzając się jak sample w hip-hopowym kawałku. Cofam się, wystawiając rękę, jakbym się nią osłaniał, i potykam się o własne nogi.

– Damon? – odzywa się Lacey i w tej samej chwili udawany strach na jej twarzy zastępuje prawdziwa troska.

Robię kolejny krok do tyłu, zataczam się i upadam, uderzając o pokryte kurzem deski. Słyszę głucho łupnięcie i stukot obcasów o drewno. Po chwili dopada do mnie Lacey.

– Damon. Damon, nic ci nie jest?

– Nie, nic – uspokajam ją. – Tylko... trochę mi słabo.

Widzę nad sobą twarz pani McAvoy. Nachyla się nade mną ze zmartwioną miną.

– Damon, słyszysz mnie?

– Głośno i wyraźnie – odpowiadam.

Rany, przecież nie zemdląłem, a z całą pewnością nie ogłuchłem.

– Może powinniśmy na dzisiaj skończyć – stwierdza. – Wyglądasz na zmęczonego.

– Okej.

Podoba mi się takie wyjaśnienie. Jestem po prostu zmęczony. Wyśpię się i wszystko to minie, samo się rozwiąże.

– Wrócimy do tego jutro – decyduje pani McAvoy. – Chyba wszystkim przyda się trochę odpoczynku.

Reszta obsady rozchodzi się, ale pani McAvoy zostaje ze mną i nawet siada obok, rozpościerając swoją długą, falbaniastą spódnicę na deskach.

– Damon – mówi – chcę, żebyś wiedział, jak bardzo doceniam twoje zaangażowanie w to przedstawienie.

Mrugam nieco zmieszany. Nadal kręci mi się w głowie i czuję się trochę niepewnie, chociaż siedzę na solidnej, drewnianej konstrukcji.

– Dziękuję – odpowiadam.

– Nie ma za co. Uważam, że jesteś ogromnie utalentowany. Dlatego obsadziłam cię w tej roli. Niemniej jednak zdaję sobie sprawę, że to trudna sztuka, zwłaszcza pod względem emocjonalnym. Może być zbyt przytłaczająca dla kogoś, kto dopiero przeniósł się do nowej szkoły...

– Dam sobie radę – wtrącam. – Wiem, że dziś nawaliłem, ale to nie znaczy...

– Damon – przerywa mi łagodnym głosem. – Jestem pewna, że sobie poradzisz. Ale jeśli będziesz potrzebował przerwy, po prostu mi powiedz. Okej?

Nie wiem, jak odczytać wyraz jej twarzy, ale chyba maluje się na niej zrozumienie.

Co ona wie? – przemyka mi nagle przez głowę paranoiczna myśl, ale zaraz

ją odpędzam.

– Okej – przytakuję.

Wtem zjawia się Tristan, mój rycerz w obcisłych džinsach, i patrzy szeroko otwartymi oczami. Nie występuje w tych scenach, choć teraz Kasjo jest bez wątpienia stale obecny w myślach Otella. Wyciąga rękę i pomaga wstać pani McAvoy. Ja wstaję sam, bez pomocy, wolno i ostrożnie. Tristan kładzie mi dłoń na plecach, między łopatkami, i mówi:

– Chodźmy gdzieś.

Pomaga mi zebrać rzeczy, a potem oboje wkładamy kurtki – Tristan ma granatową bosmankę z miękkiej tkaniny, a moja jest czarna i watowana, wypełniona puchem. Tristan łapie mnie za nadgarstek i wyprowadza z budynku, zmierzając prosto do kafejki oddalanej o kilka przecznic.

Opadam na krzesło przy stoliku wykończonym drewnianą okleiną. Tristan zamawia dwie kawy i przynosi mi kubek.

– Nie musiałeś... – odzywam się, ale on macha ręką i podsuwa mi kawę. Upijam łyk, delektując się goryczą naparu. Nigdy nie słodzę kawy. Lubię czuć jej prawdziwy, nieklamany smak.

– Nie musimy o tym rozmawiać... możemy pogadać o czymkolwiek.

Wbijam wzrok w kawę.

– Nie wiem, co się stało. To trudna rola.

Czuję na sobie wzrok Tristana. Wiem, że nie kupuje tego kitu, ale brakuje mi zapachu, by zagrać bardziej przekonująco.

– Porozmawiajmy o mnie – proponuje Tristan, podnosząc kubek do ust. Jego kawa jest udekorowana hojną porcją bitej śmietany i pewnie strasznie przesłodzona. – Ja zawsze lubię mówić o sobie.

– Okej – zgadzam się.

– No więc moi rodzice dowiedzieli się, że jestem gejem. I w dodatku Bryan mnie rzucił.

Moje ręce drgają nerwowo wokół papierowego kubka.

No tak. Przecież nie tylko ja mam problemy na tym świecie.

– Cholera, Tristan. Przykro mi.

– No, masakra. Wiem, co mówię, bo teraz odgrywanie tragedii, która kończy się morderstwem i samobójstwem, to wręcz przyjemna odmiana.

– Jak oni w ogóle...

– Byliśmy nieostrożni – przerywa mi. – Uprzedzając twoje kolejne pytanie, dodam, że Bryan jest tchórzliwym gnojkiem, który nie mógł znieść myśli o tym, że jego kumple z drużyny piłkarskiej mogą poznać prawdę. I tak to się skończyło. – Wzrusza ramionami. – Przynajmniej dla mnie.

– Rozmawiałeś o tym z Melanie? – pytam. – To znaczy... zakładam, że tak, ale...

– Nie o rozstaniu z Bryanem – wyjaśnia ze spuszczonego wzrokiem; zwykle nie boi się patrzeć światu prosto w oczy. – Sęk w tym... Po prostu nie wiem, jak z nią rozmawiać o tych sprawach. Uważa, że mam fatalny gust, jeśli chodzi o facetów. Nie chciałem...

– Przyznać, że ma rację – kończę za niego.

– Nie przestaję się łudzić... to głupie, ale wciąż mam nadzieję, że do mnie wróci – dodaje szybko Tristan. – To żalotne, wiem, ale lubiłem go i...

Zawiesza głos i kuli ramiona. Wyciągam rękę przez stół, kładąc ją na jego dłoni, i trwamy tak przez chwilę.

Chciałbym mu powiedzieć: „Bolesnych tajemnic nie warto dusić w sobie”.

Jednak milczę. Kim jestem, by tak doradzać?

– Jestem durniem – stwierdza Tristan. – Przyszedłem tu, żeby cię pocieszyć, i co robisz? Nawijam o najbardziej dołującej rzeczy na świecie.

– Hej, przynajmniej nie o morderstwie ani o samobójstwie – szepczę. – To już coś.

Tristan podnosi wzrok, chwytając moje spojrzenie. Wygląda na zmęczonego, ale w jego oczach dostrzegam także triumfalny błysk.

– No – przytakuję słabo. – To już coś.

Tristan wychodzi, spiesząc się na obiad, a ja nie wracam od razu do domu. Idę do metra i wsiadam do kolejki z tymi wszystkimi ludźmi w garniturach i lśniących butach, kursującymi między domem a pracą. Wsiadam na Union Station, wyjeżdżam ruchomymi schodami na Massachusetts Avenue i zmierzam w kierunku Kapitolu.

Na jednym ze znaków widnieje napis „Columbus Circle”. Czyli tak to się nazywa. Nie miałem pojęcia. W Waszyngtonie jest mnóstwo rond, co nie powinno dziwić w mieście, w którym niewiele ulic krzyżuje się prostopadle, a jeszcze mniej biegnie prosto jak strzelił. Chyba nie ma drugiego takiego miasta, które skrywałoby więcej tajemnic, wcale nie bliższych niż te skrywane przeze mnie.

Nie jestem głupi. Wiem, dlaczego tyle trudu sprawiają mi końcowe sceny *Otella* – wcale nie dlatego, że znam to uczucie, bywałem tak przygnębiony lub chciałem się zabić, tylko dlatego, że dla mnie ta sztuka ma bardziej realny wymiar, nie jest abstrakcyjna, jak dla tych, którzy widzieli jedynie telewizyjną albo kinową adaptację, bądź też czytali jej chłodną analizę w podręcznikach do psychologii.

Tego wieczoru, kiedy Carlos się zabił, czekałem w szpitalu na korytarzu i niczego nie słyszałem, niczego nie czułem, o niczym nie myślałem. Siedziałem z rękami złożonymi na kolanach, nieprzytomnie próbując odtworzyć sekretne uścisk dłoni, który wymyśliliśmy pewnego leniwego popołudnia, kiedy nam się nudziło i nie wiedzieliśmy, co robić. Nie dałem rady, moje dłonie nie potrafiły powtórzyć tamtych gestów. Pamiętałem, jak nasze palce się splatały, a potem stukaliśmy się pięściami, ale nic poza tym – a było jeszcze sześć czy siedem

ruchów. Do dziś nie wiem, jak to szło – to jedna z tych głupich, nieistotnych rzeczy, które umarły razem z Carlosem.

Czy coś to zapowiadało? Czy były jakieś znaki? Pewnie tak, tylko ich nie szukałem. Bo jak można szukać czegoś, czego istnienia nie jesteś świadomy? Owszem, Carlos bywał humorzasty, poirytowany i nieprzewidywalny. Namawiał mnie do zwariowanych rzeczy, których sam nigdy bym nie zrobił: kradzieże, bazgrolenie po pociągach jaskrawą farbą w sprayu, podbijanie do dziewczyn o dziesięć lat starszych, u których nie miałem szans. Rodzina Carlosa była popaprana, to fakt: jego matka była histeryczką, ojciec zaś... ojca praktycznie nigdy nie było, a gdy się pojawiał, tylko krzyczał i rzucał się z pięściami. Carlos całymi dniami harował u swojego kuzyna w warsztacie samochodowym, robił zakupy, odgrywał rolę głowy rodziny i zajmował się młodszymi siostrami.

Ale to nie jest cała historia. Carlos kochał swoich bliskich. Gdyby miał inne wyjście, nigdy by ich nie opuścił.

Chyba że z jakiegoś powodu sądził, że się od niego odwróca.

Dlaczego po prostu mi nie powiedziałaś?

Chyba wiem dlaczego. Bał się, co sobie pomyśle. Bał się tego, co by to dla nas znaczyło, dla nas i naszej przyjaźni. Przez cały ten czas, gdy głupio wierzyłem, że mówi mi wszystko, Carlos ukrywał przede mną to, co najważniejsze.

Szuram butem po zmrożonej ziemi. Ból rozsadza mi głowę.

Później wszyscy mnie zapewniali, że to nie moja wina. W kółko to powtarzali. A ja tylko zaciskałem zęby i kiwałem głową, choć miałem ochotę wykrzyknąć: „To moja wina. Tylko i wyłącznie moja!”.

Psychiatra, do którego poszedłem tylko raz, zapytał: „Gdzie czujesz smutek?”. A ja odparłem: „Wszędzie. Dosłownie wszędzie”. Zarówno w ciele – w klatce piersiowej, w głowie, w żołądku, a nawet w koniuszkach palców u dłoni i stóp – jak i poza nim, na każdym rogu, w każdym sklepie, w łóżku i w łodzi, w której trenowaliśmy wioślarstwo. Wszędzie, dosłownie wszędzie. Wszędzie tam, gdzie skieruję aparat, w każdym uchwyconym obrazie, we wszystkim, co widzę i czego nie widzę, bo nie ma Carlosa, który mógłby wypełnić tę lukę.

– Damon – zwrócił się do mnie ojciec następnego ranka, spoglądając spod ciężkich, przymkniętych powiek – jeśli chcesz o tym porozmawiać...

– Nie – odparłem stanowczo i zamknąłem się w pokoju, gdzie spędziłem resztę dnia.

W czasie tych samotnych godzin zaznajamiałem się z aparatem Carlosa, studiowałem instrukcję obsługi, którą znalazłem w internecie, robiłem zdjęcia własnych butów, nieposłanego łóżka oraz widoku z okna, dobierając do każdego idealną ostrość, kontrast, nasycenie koloru i odcień.

To jedyna rzecz, jaką – zdaje się – mogłem zrobić. Mogłem pokazać ludziom świat takim, jaki jest naprawdę – piękny, niesamowity i popaprany.

Czasami wyciągam spod łóżka pudełko z fotografiami i je przeglądam, tylko po to, by znów ujrzeć Carlosa – by zobaczyć jego twarz i ją zapamiętać. Chcę mu powiedzieć: „Tak mi przykro. Przepraszam, że tego nie dostrzegalem i zrozumiałem dopiero wtedy, gdy było za późno. Przepraszam, że się spóźniłem. Ludzie cały czas za coś przepraszają, mówią, że im przykro, ale chrzanić to, chrzanić ich – to mnie jest przykro, to ja przepraszam. Szkoda, że tego nie słyszysz. Chciałbym, żebyś wiedział, jak bardzo mi przykro”.

„Bo śmierć, mym zdaniem, jest błogosławieństwem”. Ilekroć docieram do tego fragmentu, zacinam się, te słowa nie chcą mi przejść przez gardło. Jak on mógł tak pomyśleć? Jak mógł pomyśleć, że tak będzie lepiej, łatwiej? Jak mógł w ogóle myśleć o czymś takim, skoro przy nim byłem, skoro miał we mnie przyjaciela?

Nawet gdyby świat nie miał nic innego do zaoferowania Carlosowi, miał przecież mnie.

Nadal tu jestem.

Ale ja nie mogłem być dla Carlosa tym, kim chciał, bym był. Carlos to wiedział. Wiedział to, chociaż ja nie miałem o tym pojęcia.

Otello mówi:

Opowiadając te straszne wypadki,

Mów o mnie tak, jak jestem; nic nie ujmij,

Lecz nic nie dodaj przez złośliwość serca.

„Mów o mnie tak, jak jestem”. Nie wiem, jak to zrobić, jak mówić o Carlosie. Jeszcze nie wiem, ale się dowiem. Nie chcę być tylko posiadaczem aparatu Carlosa, chcę być tym aparatem. Chcę zamknąć jego świat w kadrze, zamrozić go w czasie. Chcę, by ludzie poznali Carlosa, by widzieli to co on, by czuli to samo, by wiedzieli. Chcę, by ludzie wiedzieli.

Siadam na schodach przed budynkiem Biblioteki Kongresu, obejmuję rękoma kolana i kołyszę się w przód i w tył. Jest zimno. Zapadł zmrok i czuję wilgoć na policzkach. Będę udawał, że to z zimna. W pobliżu kręci się tylko parę osób; młodzi, marnie wynagradzani pracownicy siedzą zamknięci w swoich biurach, turyści udali się na kolację albo wrócili do swoich hoteli. Można odnieść wrażenie, że miasto wymarło.

Wyciągam aparat i robię przechylone zdjęcie Kapitolu skąpanego w blasku światła bijącego spod kopuły, świecącego jak latarnia morska w ciemności. Budynek Kapitolu miał być najwyższym punktem w Waszyngtonie; został wzniesiony na szczycie wzgórza, tak by każdy go widział. Niewielu o tym wie. Gdyby to miasto było drzewem, Kapitol byłby nasieniem, z którego wykiełkowało i się rozrosło.

Wracam do metra i jadę do stacji Woodley Park. Tu wysiadam przy zoo i ruszam przed siebie, tam, gdzie niosą mnie nogi. Tym razem znacznie łatwiej

odnajduję to miejsce. Za każdym razem idzie mi to sprawniej. Podobnie jest z pocieraniem siniaka: w miarę jak blednie, boli bardziej.

Gdy tam docieram, oczyma wyobraźni widzę Carlosa pod drzewem. Opiera się o nie, jakby się wylegiwał. Pamiętam, że pomyślałem wtedy: „Może odpoczywa, może tylko odpoczywa”.

Wściekłość poraża mnie jak piorun, ogarnia mnie nagle, niespodziewanie, zupełnie irracjonalnie. Widzę Carlosa, wygląda na dziwnie zadowolonego i... Boże.

Nienawidzę cię, warczę w myślach. Nienawidzę cię, Carlos.

Nie mówisz poważnie.

Owszem, myślę i z całej siły kopię w kupkę liści. Jesteś cholernym egoistą.

Widzę, że wkroczyłeś w kolejną fazę żałoby – gniew.

– Wal się, stary – mówię i wzdrygam się na dźwięk własnego głosu, tak donośnego w otaczającej mnie ciszy.

Nie zrobiłem tego, protestuję w myślach. Nie zabiłem cię...

Ale pozwoliłeś mi umrzeć.

Zaciskam dłonie w pięści. Mój gniew rośnie w siłę, kotłuje się we mnie, szepcze mi złośliwie do ucha.

Wal się, stary. Wszystko zrucasz na mnie. To była twoja decyzja, to ty tak wybrałeś i skłamałeś... Okłamałeś mnie. Mówiłeś, że wszystko jest okej. Tego wieczoru mieliśmy się spotkać, obejrzeć jakieś filmy na DVD i wsunąć kurczaka w KFC, ale ty miałeś własne plany i nic mi o nich nie powiedziałeś. Nigdy tego nie robiłeś, nigdy wcześniej... nigdy wcześniej nie kłamałeś. Tak przynajmniej myślałem, ale to też było kłamstwo, no nie? Kłamałeś za każdym razem, gdy mówiłeś, że wszystko jest w porządku, za każdym razem, gdy udawałeś...

D., przecież jesteś aktorem. Chcesz mi powiedzieć, że nie potrafisz odczytać znaków? Nie widziałeś, co się święci?

„Ludzie powinni być, czym się zdają” – w uszach pobrzmiwają mi słowa Jagona. Ja jestem aktorem, lecz ty fotografem. Aparat nigdy nie kłamie, prawda?

Aparat kłamie cały czas, hombre. Nie chodzi o retuszowanie zdjęć i całą tę resztę – tylko o to, że gdy trzymasz go w dłoni i skupiasz na czymś wzrok, pokazujesz ludziom to, co widzisz. I zarazem decydujesz, czego nie chcesz im pokazać. Czego nie zobaczą, bo jest poza kadrem. Ludzie ciągle mówią o tym, co obnaża aparat. Nigdy o tym, co ukrywa.

Wypuszczam powoli powietrze. Wiatr potrząsa liśćmi na drzewach; wygląda to tak, jakby i one głęboko odetchnęły, jakby poczuły ulgę. Tylko że ja jej nie czuję, a Carlos odszedł.

Carlosa nie ma.

Następnego dnia w szkole wychodzę z za rogu i prawie zderzam się z Pragą. Chwyta mnie za ramię.

Wczoraj, gdy mnie zagadnął, po prostu odszedłem. Teraz patrzy na mnie ze zmieszaną miną, jakiej nie spodziewałbym się ujrzeć na jego zwykle nadętej, zarozumiałej twarzy.

– Możemy pogadać? – pyta.

– Zależy o czym – odpowiadam.

Nie chcę być niemiły, ale mam dość jego kazań i protekcyjnego tonu: nie graj w tej sztuce, to takie pedalskie; nie umawiaj się z białą dziewczyną, bo wkurzysz ludzi. Mam dość trzymania się reguł. Mam dość asekuranctwa. Byłem zbyt pobłażliwy dla Carlosa, nigdy nie naciskałem, żeby się zwierzył, nigdy nie zadawałem pytań, które tkwiły z tyłu mojej głowy i nie dawały mi spokoju: „Jak bardzo źle to wygląda?”, „Jak bardzo cię to przeraża?”, „Wiesz, że nie jesteś sam?”.

– O Melanie – wyjaśnia Praga.

– Nie jestem pewny, czy to dobry pomysł.

– W porządku, ale chciałem cię przeprosić.

Ta nagle skrucha wydaje się szczerą. Brak mi słów.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie masz już nic przeciwko temu, żebym umawiał się z białą dziewczyną?

Praga wzdycha.

– Chcę powiedzieć, że możesz się umawiać, z kim chcesz. A ja...

Zawiesza na chwilę głos i drapie się za uchem.

– Mój ziom Trey powiedział, że mama Melanie uczyła jego młodszą siostrę plastyki. Podobno zmarła latem, na raka albo inne gówno. Nikt nawet nie wiedział, że była chora. I uznałem, że...

Że pewnie zrozumieć, jak to jest, dokańczam za niego w myślach.

– Nie chcę ci tego zepsuć, D. – ciągnie dalej Praga. – Może tak sądzisz, ale... Po prostu martwię się o ciebie.

Podnoszę wzrok i spoglądam mu prosto w twarz.

– Cóż... – odpowiadam.

– Rób, co uważasz za słuszne, tylko o to mi chodzi. Cokolwiek ci pomaga.

Zatyka mnie. Kim jest ten koleś i co zrobił z moim kuzynem?

– Poza tym coś mi mówi, że ta laska mogłaby ci skopać tyłek – dodaje szybko Praga. – Może właśnie tego potrzebujesz.

Wpatruję się w niego wystarczająco długo, by zaczął się niepokoić.

Wreszcie wybucham śmiechem i już po chwili śmiejemy się razem.

W piątek przyjeżdżam po Melanie punktualnie o siódmej, odstrojony w eleganckie szare spodnie, koszulę z długim rękawem i skórzaną kurtkę. Melanie ma na sobie długą czarną spódnicę i czarną, zwiewną bluzkę; wokół jej oczu połyskują srebrne kreski eyelinera.

– Wyglądasz nieziemsko – mówię z uznaniem i całuję ją w policzek. Kładę

jej rękę na ramieniu, a ona się we mnie wtula.

Ciekawe, kiedy zaczęła tak robić? Kiedy zaczęła się wtulać?

– Dzięki – odpowiada. – Ty też wyglądasz niczego sobie.

– Wiem, trochę się namęczyłem nad tą fryzurą. Użyłem grzebienia i w ogóle.

Jesteś gotowa na przejażdżkę moją seksowną bryką?

– Czyli twoim volvo?

– Po pierwsze, należy do moich rodziców, a poza tym to volvo jest odlotowe – ripostuję. – Nie ma bardziej seksownego volvo niż to.

– Raczej bardziej odpychającego – droczy się.

– To nie było miłe, Ellis. Uraziłaś mnie i, co gorsza, uraziłaś moje auto.

Cytując moją mamę: „To rozsądny samochód. Seksowny wóz na nic się nie zda, jeśli będziesz martwy”.

Melanie przechyla głowę.

– Coś w tym jest.

– W takim razie ładuj się do mojego odpychającego volvo – rzucam, otwierając jej drzwi – i w drogę.

Siadamy w fotelach, uruchamiam silnik i samochód ożywa, wypełniając się rozbrzmiewającym z zestawu stereo szorstkim głosem Etty James, ironicznie przeciągającej samogłoski.

– Chyba zgodzisz się, że ze mną w środku to volvo jest bardziej seksowne – żartuję.

Melanie odwraca się do mnie z szerokim uśmiechem.

– Bez dwóch zdań.

– To teraz cię nim gdzieś zabiorę.

– Zaskocz mnie, casanovo.

Tym „gdzieś” jest burgerownia Five Guys, a potem biurowiec stojący nieopodal siedziby korporacji hipotecznej Fannie Mae w Tenleytown, nic nadzwyczajnego. Obchodzimy go i kieruję się prosto do drzwi, które zgodnie z moją wiedzą powinny być otwarte. Dzięki Carlosowi znam przynajmniej sześć takich budynków, w których nie zamyka się drzwi i nie działają alarmy. Prowadzę Melanie zaciemnionym korytarzem i wciskam guzik, przywołując windę, której podłoga wyłożona jest brudną limonkową wykładziną, a ściany pokryte boazerią.

– To zdecydowanie najdziwniejsze miejsce, w jakim przyszło mi spędzić piątkowy wieczór – oświadcza Melanie. – Mam nadzieję, że nie jesteś seryjnym mordercą.

– Przynajmniej najadłaś się burgerów – zgrywam się, machając lekceważąco dłonią. – Nie masz co narzekać. Jest romantycznie jak cholera.

Szczerze mówiąc, chętnie zaprosiłbym Melanie do droższej restauracji, ale nie mogłem się doczekać, by ją tu zabrać. Myślę, że zachwyci ją to, co zobaczy.

– Skąd wiesz o tej miejscówce? – pyta.

– Od przyjaciela. Mamy tu ciszę i spokój.

– Chyba że nas nakryją.

O to się nie martwię. „Jeśli cię nakryją, po prostu powiesz, że należysz do ekipy sprzątajacej – poinstruował mnie kiedyś Carlos. – Widok czarnego lub latynosa z mopem nikomu nie wyda się dziwny”.

Rozlega się dźwięczne „ding” i drzwi windy otwierają się na długi, wąski korytarz. Prowadzę ją po schodach do góry, a potem popycham paskudne zielone drzwi. Owiewa nas chłodna jesienna bryza, targając włosami Melanie, która przytula się do mnie, by się ogrzać; pachnie smakowicie, solą i przyprawami do frytek.

Wychodzimy na dach i stajemy przy krawędzi. Budynek nie jest wysoki – żaden budynek w Waszyngtonie nie ma więcej niż piętnaście pięter, bo zgodnie z ogólnym zarządzeniem nie może wznosić się wyżej niż gmach Kapitolu – ale z jednej strony roztacza się z niego ładny widok na centrum, a z drugiej na niskie dachy domów. Przed nami rozciąga się piękne, bezkresne niebo – zupełna ciemność, nieprzenikniona i tak gęsta, że można by chodzić w powietrzu jak po asfalcie.

– Wow! – szepcze Melanie.

– No.

Spoglądam na nią: jej szkarłatne włosy połyskują w blasku lamp, ciemne oczy lśnią, usta ma prawie tak czerwone jak pasemka włosów.

Nachyliam się i ją całuję, i choć robiłem to już wcześniej, tym razem jest zupełnie inaczej. Przesuwam językiem po jej dolnej wardze, prosząc, by uchyliła usta, jakbym pukał do drzwi. Gdy wpuszcza mnie do środka, nasz pocałunek staje się bardziej wilgotny, zachłanny i nieprzyzwoity. Taki, że wow!

Wyjmuję spinak z jej włosów, zanurzam w nie palce i odchylam jej głowę do tyłu, by jeszcze głębiej zatopić się w jej ustach. Uczucie ciepła zalewa mi żołądek. Melanie smakuje trochę jak burger z keczupem; przyciskam dłoń do jej policzka, a Melanie wydaje uroczy, stłumiony jęk.

Gdy odrywamy się od siebie, łapiąc powietrze, ona szepcze:

– Przyprowadziłeś mnie tu, żeby się ze mną migdałić? O to ci chodziło?

Przesuwam dłonią po jej karku, uśmiechając się zuchwale.

– No, tak.

Za karę szczypie mnie, a ja odwzajemnam się jej tym samym, wywołując na jej twarzy uśmiech, szeroki od ucha do ucha.

– Poużywaj życia – mruczę i ponownie ją całuję.

Tym razem wpijam się mocno w jej usta i przypieram ją do ściany. Melanie wydaje z siebie poirytowany dźwięk, gdy jej włosy zaczepiają się o coś z tyłu, ale nie przerywa pocałunku. Czuję rosnące podniecenie, palący rumieniec, powoli ogarniający mnie żar.

– Na ten tekst lecą wszystkie dziewczyny? – mamrocze Melanie, a ja muskam palcem odsłonięty skrawek biodra w miejscu, w którym zadarła się jej bluzka.

– W zasadzie to nie – odpowiadam. – Tylko ty.

Odpycha mnie lekko, ale nie puszcza mojej koszuli, ściska ją tak, jakby chciała mnie do siebie przyciągnąć.

Z tak bliska widzę jej posklejane maskarą rzęsy, precyzyjną kreskę wykonaną eyelinerem i maleńką bliznę w kącie lewego oka.

– Skąd ją masz? – pytam, przesuwając kciukiem po szramie.

– Miałam wtedy sześć lat – odpowiada. – Potknęłam się i upadając, zahaczyłam o gałąź. Zdaniem lekarza miałam szczęście, że nie wykułam sobie oka.

– Byłoby słabo – mówię i wiem, że gadam jak potłuczony, ale jestem trochę oszołomiony tym, że stoi tak blisko.

– Zdecydowanie – stwierdza Melanie.

Całuję ją ponownie w usta.

– Podoba mi się – szepczę.

– Chyba masz coś z głową!

Melanie

Mam tak przynajmniej dwadzieścia razy dziennie. Robię coś albo mówię, albo coś widzę i mam ochotę wysłać pocztówkę do tego miejsca bez adresu, w którym teraz przebywasz:

„Chciałabym, żebyś tu była”.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Budzę się z przyjemnym uczuciem mrowienia pod skórą. Śniłam o Damonie. Jego dłonie były wszędzie – po wewnętrznej stronie moich ud, tuż nad pośladkami; jego palce śledziły zarys moich kolan, wnikały do pępka, muskały obojczyk, a kciuki zadzierały podbródek, ustawiając moją twarz pod kątem.

To się naprawdę wydarzyło. Tak było.

No, może niedokładnie tak. Staliśmy na wietrznym dachu i całowaliśmy się. Przypominało to bardziej zapasy niż scenę z romansu – za dużo pracy kończynami, za mało gracji. A mimo to nie czułam się przytłoczona ani przestraszona, nie chciałam być w żadnym innym miejscu. Potrzebowaliśmy jedynie niewielkiej przestrzeni, by nasze ciała mogły się poruszać, pragnęliśmy ją dzielić.

Przeciągam się i ziewam. Odwracam komórkę, by zobaczyć, która godzina, i widzę, że mam nowe wiadomości. Kto może do mnie wypisywać z samego rana w sobotę? Odblokowuję ekran i sprawdzam – Tristan, no tak. Sześć esemesów układających się w wiersz pełen desperacji.

„Możemy pogadać?”

„Nie jest ze mną najlepiej”.

„Muszę pogadać”.

„Spotkajmy się na lunchu”.

„Albo wcześniej. Lepiej wcześniej”.

„Teraz?”

Mrugam i przecieram oczy z niedowierzaniem. Ostatnia wiadomość wysłana o 6:26, zaledwie kilka minut temu.

Wybieram jego numer i wcale się nie dziwię, że odbiera już po pierwszym dzwonku.

– Hej – odzywa się Tristan; ma chropawy głos.

– Gdzie? – rzucam krótko. – Przyjdę.

Spotykamy się na Wisconsin Avenue w pobliżu stacji metra, mijamy sklep z elektroniką i zaszywamy się u Morty’ego. Tristan zamawia kawę i bajgla, a ja tost francuski, zakładając, że cokolwiek ma mi do powiedzenia, lepiej to zniosę z pełnym żołądkiem. Siadamy w narożnym boksie. Tristan rwie serwetkę na małe kawałeczki, rozsypując je po blacie niczym płatki śniegu.

– Opowiedz mi o Damonie – zaczyna.

– Co konkretnie chcesz o nim wiedzieć?

– Jak się wam układa? Byliście na kolejnej randce, prawda?

Na randce, akurat. Byle jakie żarcie i byle jakie całowanie.

– Wszystko zmierza w dobrym kierunku.

Tristan drapie się po karku. Cały dziś aż chodzi, drga nerwowo i się trzęsie.

Mam ochotę chwycić go oburącz, przytrzymać i powiedzieć: „Oddychaj”.

– To dobrze – kwituje Tristan. – A nawet świetnie. Cieszę się twoim szczęściem.

Nie wydaje mi się. Nie wygląda, jakby się cieszył.

– Tristan, co jest grane? – pytam. – Zасыpujesz mnie esemesami w sobotę rano i...

– Rodzice chcą mnie wysłać do psychologa. Tłumaczyli, że się o mnie martwią, ale ja wiem, że po prostu chcą, żeby ktoś mi wybił z głowy bycie gejem. Ten terapeuta jest znajomym taty. Nie zgodziłem się, ale oni zagrozili, że jeśli się z nim nie spotkam, nie będę mógł grać w przedstawieniu. Więc chyba czeka mnie wizyta u psychologa.

– Rany. Twój tata myśli, że może cię wyleczyć?

– Najwyraźniej – odpowiada Tristan.

– Może się boi – szepczę.

– Pewnie, że się boi. Jak cholera! Chyba po raz pierwszy w życiu mój ojciec boi się mnie.

Podnoszę na niego wzrok. Boże, cały aż kipi ze złości. Nie widziałam go jeszcze tak wściekłego.

Tak, Tristan. Tak.

– Może to dobrze, że się boi – stwierdzam.

Jego niebieskie oczy połyskują niemal zielono, lecz po chwili ciemnieją. Stół usłany jest teraz skrawkami serwetki – ofiary niespokojnych palców Tristana.

– Á propos. Bryan tak jakby... zerwał ze mną.

Wciągam głęboko powietrze. Wiedziałam. Pieprzony kryptogej. Przeczynałam, że to drań. Ale to, że miałam rację, wcale mnie nie pociesza.

– Skoro cię nie docenia...

– Tak, wiem, jest dupkiem i na mnie nie zasługuje, i tak dalej, i tak dalej – Tristan przerywa mi w pół zdania. – Rozumiem, daruj sobie.

– Tristan...

– Widzę, jak na mnie patrzysz – mówi dobitnie, oddzielając każde słowo. – „Ojej, Tristan, jak słodko, zabujał się”.

– Nic podobnego! Wmawiasz mi coś, czego nigdy nie powiedziałam – protestuję.

– Wiem, że masz mnie za idiotę, bo się z nim spotykałem – dodaje. – Pewnie myślisz sobie, że to kolejny głupi mięśniak, że wszyscy faceci, którzy mi się podobają, to zwykle tłuści. Ale on taki nie jest. On...

– Rany! – Wybucham, nie mogąc powstrzymać irytacji. – Interesuje cię moje zdanie, czy masz je gdzieś?

Tristan wzdycha. Drapie paznokciem laminowany blat stołu.

– Dla kogo tost francuski?

Kelnerka kładzie przede mną duży talerz, lecz nagle tracę apetyt i odsuwam go od siebie.

Proszę, spójrz na mnie, błagam w duchu.

Jednak Tristan nadal wpatruje się tępo w stół, zaciskając pięści.

W poniedziałek nie mam najmniejszej ochoty iść na próbę, ale muszę. Premiera przedstawienia zbliża się wielkimi krokami, a Calvin zaczyna już panikować na swój własny, ledwie zauważalny sposób. Gdy ostatnio spóźniłam się dziesięć minut, świdrował mnie wzrokiem przez całe piętnaście sekund, a potem zmrużył oczy z niezadowoleniem. To było bardzo niepokojące.

Tristana dzisiaj nie będzie – nie grają scen, w których występuje. Cieszę się, bo nie wiem, co miałabym mu powiedzieć. Ma prawo być zły; nic, co powiem, nie ugasi płonącej w nim wściekłości. Za dużo ludzi kładzie mu do głowy swoje mądrości, które ma za nic. Nie chcę być jedną z nich, kolejnym pustym, namolnym głosem spośród wielu.

Damon namierza mnie w auli i podbiega w podskokach, by zamknąć mnie w ramionach. Całuje mnie w usta, nie zważając na gwizdy oraz okrzyki rozlegające się wśród członków obsady. Podnosi rękę i pokazuje im wszystkim środkowy palec. Drugą dłoń wplata w moje włosy. Czuję ciepło jego warg.

Gdy odrywamy się od siebie, brakuje mi tchu.

– Czym sobie na to zasłużyłam? – pytam.

– Kochani, zaczynamy próbę! – krzyczy pani McAvoy i wszyscy się rozchodzą.

Damon posyła mi szeroki uśmiech i kieruje się ku scenie.

Nie mam innego wyboru, jak udać się za kulisy i udawać, że wcale nie zmiękły mi kolana. Calvin wręcza mi pędzel i ściąga usta. Max przechodzi obok mnie, tupiąc przy tym ciężko głanami i cmokając. Umyślnie ich ignoruję.

Scenografia zaczyna wyglądać niezwykle realistycznie. Mury zamku sprawiają wrażenie trójwymiarowych; wydaje się, jakby łukowe podpory były w stanie udźwignąć prawdziwy ciężar. To przede wszystkim zasługa Calvina, jego precyzji, dbałości i doświadczenia, ale miło jest wiedzieć, że też się do tego przyczyniłam. To co, że moja praca polega głównie na wypełnianiu kolorem pustych przestrzeni jak w malowance z numerkami? Gdy Calvin przystaje na chwilę i kiwa na mnie z aprobatą, ogarnia mnie przyjemne ciepło; czuję się spełniona.

W trakcie przerwy zajmuję to samo co zwykle miejsce za kulisami. Dzisiaj próbują naprawdę ciężki materiał: końcowy akt. Przyglądam się rozwojowi wydarzeń. Karen jako Emilia, służąca Desdemony, znajduje ją leżącą bezwładnie na łóżku. Damon stoi nieruchomo w kącie, sparaliżowany czynem, którego się dopuścił.

– Zamordowana niewinnie! Niewinnie! – szepcze Lacey. Jej włosy są

plataniną loków, biała suknia z delikatnej koronki otacza ją na kształt wachlarza.

– Niestety! Co ten krzyk znaczy? – Karen ogląda się za siebie z przerażeniem w oczach.

– Krzyk? Jaki?

– Tam. Ha, Niestety! To był krzyk mej pani – piszczy Karen, podchodząc chwiejnym krokiem do łóżka. – Och! Na ratunek! Pani, przemów jeszcze! Przemów, o słodka pani, Desdemono!

Karen potrząsa bezwładnym ciałem Lacey, a wtedy Lacey unosi głowę i wykrztusza chrapliwie:

– Niewinną śmiercią ginę.

– Kto cię zabił?! – woła Karen.

– Nikt, nikt – szepcze Lacey. – Ja sama.

Damon wydaje dziwny, charczący dźwięk, wyciąga rękę ku ścianie i chwytą powietrze.

– Bądź zdrowa! Poleć mnie męża mojego pamięci – jęczy Lacey. – Bądź zdrowa!

– Jak to, i któż by miał ją zamordować? – dopytuje się Damon słabym, nosowym głosem, jakby brakowało mu tlenu.

– Dobrze, Damon! – krzyczy z widowni pani McAvoy.

– Kto wie? – pyta Karen.

– Nie ja przynajmniej, wszak... sama z ust jej wyznanie słyszałaś – jąka się Damon.

– Tak powiedziała – potwierdza Karen. – Prawdę zeznać muszę.

Ręce Damona zaczynają drżeć. Oddycha szybko i płytko, jakby dopiero co przebiegł maraton.

Podchodzę bliżej. Czy on...

– Z kłamstwem na ustach poszła w piekła ogień! – cedzi Damon. – Ja ją zabi... Ja...

Głos więźnie mu w gardle. Zastyga i stoi przez chwilę w kompletnym milczeniu, niczym niewzruszone drzewo, po czym odwraca się i podchodzi do kulis. Wbija we mnie wzrok, lecz wygląda, jakby w ogóle mnie nie widział. Przemyka obok bez słowa.

Na scenie podnosi się szmer zdziwionych głosów; słyszę, jak pani McAvoy mówi:

– Damon, chcesz iść do pielęgniarki?

Widzę tylko jego.

– Hej – szepczę i wyciągam ku niemu rękę. Dotykam skóry, zaciskam palce na jego ramieniu i nie puszczam. – Damon...

– Proszę, daj mi spokój.

– Nie zamierzam – protestuję.

– Melanie. – Moje imię w jego ustach brzmi dziwnie, jakby nie trafił w dźwięk.

– Porozmawiaj ze mną. Co się stało?

– Nawaliłem – mamrocze pod nosem.

– To tylko głupia sztuka. Nie możesz...

Damon cofa się i zabiera rękę tak szybko, że chyba zostaną na niej ślady zadrapań.

– To nie...

– Co? – dopytuję. – Nie jest łatwe? Zdaję sobie z tego sprawę. Ale...

– To nie to. Nie chodzi o tę pieprzoną sztukę.

Jego bystre oczy mienią się srebrem i zielenią, niczym łuski węża.

Dlaczego jest na mnie zły? Jeszcze chwilę temu, przed próbą, nie mógł się ode mnie odkleić, a teraz nawet nie chce ze mną gadać?

Mam już dość niedopowiedzeń i mętnych aluzji, mam dość rozszyfrowywania słów ludzi, których kocham – Tristana, Damona, taty. Mama też nie chciała, żebym wiedziała, aż w końcu było za późno. Mam powyżej uszu tych gierek. Fajnie jest tylko wtedy, gdy ktoś gra z tobą, nie przeciwko tobie.

– Chcę ci pomóc – mówię powoli. – Ale nie mogę, dopóki nie powiesz mi, o co chodzi. Dlaczego się na mnie złościysz? Wydawało mi się, że...

– Nie jesteś w stanie mi pomóc – przerywa mi.

Mówi niskim, spokojnym głosem, przyprawiając mnie o dreszcze.

– Hej. – Nagle pojawia się Lacey. – Damon, nic ci nie...

– Wszystko w porządku – odpowiada.

– Nie, nie jest w porządku – oponuję.

– Nie mów mi, jak się czuję – odparowuje ostro Damon.

Lacey wycofuje się. Słyszę, jak rozmawia z resztą obsady. Pewnie mówi im, że mamy jakąś miłosną kłótnię. Ona lubi plotkować.

– Może jednak będę w stanie ci pomóc – nie ustępuję. – Skąd wiesz, że nie, skoro nie chcesz powiedzieć...

– Nic nie rozumiesz – stwierdza i ponownie się odwraca. – Nie wyjaśnię ci tego.

– Rozumiem Otella, a gość jest nieźle popaprany – warczę. – Dlaczego miałabym ciebie nie zrozumieć?

Damonowi rzędzie mina.

– Nie chodzi o...

– To o co chodzi, do cholery?

Damon nie chce na mnie spojrzeć. Nie chce na mnie spojrzeć, nie chce ze mną rozmawiać i nie pozwala się dotknąć. Dlaczego mam być wyrozumiała dla kogoś, kto mnie odtrąca?

– Mówiłaś, że to sztuka o smutku i rozpaczach – podejmuje Damon. –

O stracie, prawda?

Jestem wściekła jak cholera.

– Albo o jakimś dupku, który dusi swoją żonę – odszczekuję. – Może Otello to palant, który sam jest sobie winien. Przecież tak naprawdę jej nie stracił. Ona nie zaginęła. Wiedział, co się z nią stało. Jak mówiłeś przed chwilą: „Ja ją...”.

– Rany boskie, Melanie – syczy Damon. – Znam tekst. Znam sztukę. Chodzi mi o to, że to bardziej skomplikowane... utrata kogoś bliskiego.

– Ja też wiem coś o stracie – ripostuję.

– Wiem, że wiesz. Nie mówię, że...

– To co w takim razie próbujesz powiedzieć?

Tym razem to Damon wyciąga rękę, a ja się cofam. Czuję, jak materiał koszulki ociera się o moją skórę, gdy przywieram plecami do ściany.

– Przepraszam – mówi.

Żadne „przepraszam” za całe zło świata, żadne żale, wyrazy współczucia i kondolencje nie zwrócą mi matki.

Być może go nie rozumiem. Być może ma rację. Ale on też mnie nie rozumie.

Nikt nie jest w stanie tego zrozumieć.

– Przestań – odpowiadam. – Nie mów mi, że ci przykro.

Odsuwam się i czuję, jak powietrze wypełnia przestrzeń między nami. Widzę, jak jego ramiona unoszą się i opadają, jak niespokojnie oddycha.

– Już nie mogę – wyrywa mi się.

– Ja...

Odwracam się i biegnę, pędzę ile sił, wybiegam z auli, ze szkoły, gnam przez wiele przecznic, mijając domy i samochody. Odgłosy wokół mnie tracą ostrość, rozmywają się w hałaśliwą smugę.

Docieram do domu zdyszana, zginając się wpół; chcę mi się wymiotować. Opieram czoło o drzwi frontowe i stoję tak przez chwilę, czując na skórze szorstki dotyk drewna.

Nie cierpię płakać – nie cierpię tego uczucia, łez rozmazujących makijaż, policzków pokrytych czerwonymi plamami, opuchniętych i przekrwionych oczu. Nienawidzę tego dyszenia, dławienia się, tego ucisku w klatce piersiowej.

Otwieram drzwi i wspinam się po schodach do swojej sypialni. Wygląda jak chlew. Mój pokój nigdy tak nie wyglądał. Mama była na tym punkcie przeczulona: „Melly, pilnuj porządku. Zaśmiecony pokój to zaśmiecony umysł” – powtarzała.

Cóż. Mam w głowie śmietnik. Bez ciebie, mamo, całe moje życie to jedno wielkie wysypisko. A ja jestem wrakiem.

Mam ochotę coś kopnąć. Chcę, by bolało. Mam ochotę rzucać w gniewie, czym popadnie, tak jak ona. Chcę czuć gniew. Jestem tak cholernie zła.

Kopię ramę łóżka. Grzechocze, trzęsie się. Kopię jeszcze raz, mocniej, i całe

łóżko zaczyna chodzić, ale wciąż czuję niedosyt. Chcę...

Nagle pod materacem dostrzegam wystający róg, kawałek tekturki z czerwoną obwódką.

Wiem, co to jest. Mój stary szkicownik.

W pierwszym odruchu mam ochotę wsunąć go z powrotem pod łóżko i zapomnieć o jego istnieniu, ale coś mnie do niego ciągnie. Podnoszę go i otwieram.

Rysunki są dość dziecinne. Wtórne. Są kopiami istniejących rzeczy. Przeglądam je kartka po kartce – dziki Wolverine, Myszka Miki. Ludzie, których widziałam w parku. Niewyraźny szkic Tristana. Jakies głupoty, dziecinada.

Choć minęło tyle czasu, nadal potrafię tylko to. Kopiować. Tworzyć nudną sztukę. Wtapiać się w tło.

Ale wtedy odwracam kartkę i widzę je – portrety mojej mamy, które narysowałam, gdy była chora. Boże. Kompletnie o nich zapomniałam. To swego rodzaju ponury kineograf – na każdym obrazku mama jest coraz chudsza, coraz mniej podobna do siebie.

Gdy przewracam kolejne strony, to tak, jakbym znów patrzyła, jak umiera.

Na ostatnim rysunku mama śpi, ma łagodną, szczupłą twarz, na której maluje się spokój. Dotykam palcem kartki, ale to tylko papier. To nie skóra. To nie ona.

To nie ona.

Przerzucam kolejną stronę, by sprawdzić, co kryje się dalej.

To nie ja. To nie moje dzieło.

Dwie strony są w całości zapisane odręcznym pismem mamy. Litery są chwiejne, więc wiem, że napisała to niedawno, w ciągu ostatnich tygodni życia, gdy nie miała już tak pewnej ręki.

Kochana Melly,

Nie wiem, kiedy to znajdziesz. Mam nadzieję, że szybko. Mam nadzieję, że nie będziesz na mnie zła za przejrzenie Twojego szkicownika. Ilekroć natykam się na sztukę, nie mogę przejść obok niej obojętnie. Tak było i tym razem.

Pewnie byś zaprzeczyła, powiedziała, że to nie sztuka. Zawsze tak twierdziłaś – że nie jesteś artystką, nie taką jak ja. Możesz być tym, kim pragniesz, i robić to, co chcesz, ale mam nadzieję, że wiesz, jaka jesteś piękna i utalentowana. Melly, jesteś bardzo piękna i bardzo utalentowana. Żałuję, że częściej Ci tego nie mówiłam.

Ty i ja bardzo się różnimy. Pewnie czasami było Ci ciężko z taką matką. Twój ojciec powtarza mi, że przytłaczam innych, i wiem, że ma rację.

Ale nie zawsze tak było. Kiedyś byłam bardziej zalękniona, cicha i smutna. Pewnie trudno ci w to uwierzyć, ale to prawda. Spędziłam dwa lata w college'u, studiując zarządzanie, bo moi rodzice chcieli, żebym robiła w życiu coś praktycznego. Te lata nie były stracone, bo później wykorzystałam tę wiedzę, by

pomóc Twojemu ojcu w otwarciu restauracji! Ale były to lata smutne. I samotne. Dlatego wybrałam inaczej.

Nie było wcale tak łatwo. Nigdy nie jest. Ale wiem, że dasz sobie radę. Jesteś dzielna.

Świadomość tego, że umierasz, daje do myślenia. Zaczynasz się zastanawiać: Co się dla mnie liczy? Na czym mi zależy? Gdy dowiedziałam się o raku, zrozumiałam, że tym, co miało dla mnie największe znaczenie, była sztuka, Ty i Twój ojciec. I nadal tak jest. Jestem wdzięczna za swoje życie. Jestem wdzięczna za Ciebie, Melly.

Nie potrzebujesz moich rad, bo jesteś już bardzo mądra, ale pamiętaj o jednym: nie ukrywaj przed ludźmi tego, co ważne. Pozwól, by Cię zobaczyli, by Cię poznali. Od Ciebie zależy, jak to zrobisz. Tylko się nie ukrywaj. Nie wybieraj samotności. Świat jest taki wielki i piękny – odkrywaj go, bądź tak wielka i piękna jak on.

Wiem, że sobie poradzisz, gdy mnie zabraknie, bo jesteś silna, tylko, proszę, pamiętaj, że nie jesteś sama.

Powtórzę to jeszcze raz: nie jesteś sama.

Dopóki będziesz mnie pamiętać, zawsze będę przy Tobie.

Kocham Cię, skarbie.

Podpisano: DANA – jak zwykle wielkimi, efektownymi literami z fantazyjnymi zawijasami.

Moja pierwsza myśl: „I co mam z tym zrobić?”

Zamykam szkicownik i drżącymi rękami odkładam go na łóżko.

Schodzę do piwnicy, gdzie jest ciemno i cicho. Potykam się i prawie spadam ze schodów. Dopiero wtedy stwierdzam przytomnie, że lepiej będzie zapalić światło. Chcę prywatności, nie wstrząśnienia mózgu. Lampka zaczyna mrugać, oświetlając zrekonstruowaną pracownię mamy. Gdzie spojrzysz, tam farba – schnąca w otwartych pojemnikach, złuszcza się ze ścianek puszek, zastygła na pędzlach; kolorowe smugi na każdej powierzchni, bo tak pracowała mama. Wygląda tu tak, jakby w każdej chwili mogła wrócić, chwycić za pędzel i stworzyć coś pięknego.

Przesuwam dłonią po blacie jednego ze stołów. W opuszkę palca wbija mi się drzazga. Podnoszę rękę do ust, zasysając maleńką plamkę krwi. Smakuje gorzko i słono, jak pot.

Przeglądam otwarty szkicownik rozłożony na stole. Pełno w nim rysunków postaci: jakieś dzieciaki z sąsiedztwa, kilka szkiców przedstawiających tatę, akty, które mama wykonała pewnie jeszcze w college’u podczas zajęć z pozującym modelem. Przewracam kartkę i widzę swoją twarz wyzierającą z serii grafik wykonanych kredkami. Nigdy wcześniej ich nie widziałam. Moja twarz jest czarno-biała, a włosy toną w czerwieni – wyglądają, jakby płonęły. Na jednym

z rysunków są wywinięte do góry, jakby podwiał je wiatr; kosmyki fruujące na wszystkie strony, rozczochrana płonąca aureola. Mama musiała to narysować w ostatnich miesiącach. Czerwone włosy mam od niedawna.

Kiedyś byłam szarą myszką, poniekąd lubianą, ale niedostrzeżaną; dziewczyną, która się nie wychylała, robiła swoje i nikomu nie zawracała głowy. Teraz jestem jak tatuaż – szpetna, przerażająca. Jestem czymś wibrującym dotykiem, który stał się stygmatem.

Ale nawet w skleconym przez siebie kostiumie, uszytym ze skrawków mojej poczytalności, nadal trzymam się z tyłu, pracuję na zapleczu, starając się wtopić w tło, które pomagam stworzyć. Nigdy nie chciałam stać w blasku jupiterów, nigdy nie rozmyślałam, jak by to było, gdyby wszystkie oczy były skupione na mnie. Mama wychodziła na środek klasy i uczyła. Organizowała wernisaże i wystawiała wszystko na pokaz. Ja kryję się w cieniu.

„Pozwól, by Cię zobaczyli”.

Dzisiaj to Damon stał na scenie. Pod ostrzałem wlepionych w niego oczu odgrywał rolę zdjętego grozą upadłego wojownika. Tyle gadania o stracie i żalobie, a jakoś zapomniałam – zapomniałam, że Damon też kogoś stracił.

Był. Powiedziałeś: „Był”.

Carlos i jego aparat, Carlos, który pakował Damona w kłopoty. Carlos o czarującym uśmiechu ze zdjęcia, które dostałam. Carlos, któremu pewnie bym się spodobała.

„Słowa twoje nie idą w parze z czynami” – Rodrigo zarzuca to intryganckiemu Jagonowi. Zaczynam się jednak zastanawiać, czy w przypadku Damona nie jest wręcz na odwrót, czy nie za bardzo utożsamia się z Otellem, przesiąkając jego smutkiem i zalem.

Wszyscy udajemy, odgrywamy jakieś role, by inni nie dostrzegli tego, jacy w środku jesteśmy pogmatwani, tylko że czasem nam to nie wychodzi i to, co próbowaliśmy ukryć, wзира spomiędzy naszych przerażonych palców.

Powiedział: „Nic nie rozumiesz”.

Czego nie rozumiem? Czego nie widzę?

Przesuwam palcem w dół strony, śledząc smugi pozostawione przez ołówek mamy. Papier jest taki gładki w dotyku. Łzy ciekną mi teraz szybciej i wciąż napływają. Biorę pędzel z jednego ze słoików, w których trzymała je mama, i odkręcam słoiczek z czerwoną farbą. Zarówno pędzel, jak i farba nie są zbyt wilgotne, ale wystarczająco, by pokryć papier zamaszystymi czerwonymi zakrętami.

Maluję i płaczę, płaczę i maluję, aż moja twarz znika z kartki.

Tej nocy leżę z zamkniętymi oczami w mojej miękkiej bawełnianej pościeli, starając się wyciszyć umysł, ale w głowie w kółko słyszę tę jedną kwestię z *Otella*:

Zwróć wiotką trzcinę ku piersiom Otella,

A on ustąpi. Gdzież pójdzie Otello?

Około czwartej nad ranem daję za wygraną, odnajduję po omacku telefon i go włączam. Wyłączyłam komórkę, gdy wychodziłam z próby; nie miałam ochoty z nikim rozmawiać, zwłaszcza z Damonem. Nadal nie wiem, co mu powiedzieć.

Jak było do przewidzenia, telefon brzęczy, oznajmiając, że czeka na mnie wiadomość. Drżącymi palcami stukam w ekran, by odsłuchać pocztę głosową.

– Melanie, nic ci nie jest? – w wysokim głosie Tristana słyszę troskę. – Szukałem cię podczas próby, ale cię nie było i... Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić, zadzwoń. Nawet w środku nocy. Bez względu na wszystko. Nie chcę, żebyś była z tym sama.

Nie zastanawiam się, po prostu dzwonię. Tristan odbiera po pierwszym sygnale.

– Mów, co się dzieje – rzuca bez ogródek.

To powinno być proste. Z Tristanem zawsze łatwo mi się rozmawiało, już w dzieciństwie, kiedy budowaliśmy zamki z klocków Lego i rozprawialiśmy o tym, gdzie kiedyś chcielibyśmy mieszkać. Tristan chciał mieć dom z oknami zamiast ścian. Nadal to pamiętam, bo to było dla niego takie typowe. Nigdy nie miał nic do ukrycia.

– Opowiedz mi o Bryanie – proszę. – Co tak naprawdę się stało?

Słyszę krótki wdech, a potem szelest. Wyobrażam sobie, jak wierci się na łóżku, układając się wygodnie w pościeli.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć, Mel.

– Cokolwiek – zachęcam.

Wzdycha. W telefonie słyszę trzaski.

– Boi się – zwierza się Tristan. – Ja zresztą też, ale nie tak jak on.

Wyglądam przez okno, wpatrując się w nieprzeniknione ciemności. Wkrótce wszędzie słońce i zedrże tę pomrokę jak starą skórę.

– Nie można być z kimś, kto boi się bardziej niż ty – ciągnie dalej Tristan. – Chyba właśnie to do mnie dotarło. Można się bać razem, ale w równym stopniu.

Tak, to jest to! Oboje się boimy – ja i Damon – ale nie potrafimy bać się razem.

– Pokłóciłam się z Damonem – wyrywa mi się. – Nawet nie wiem, o co poszło, ale było... źle.

– Jak bardzo źle?

– Ciężko stwierdzić – odpowiadam. – Chyba powiedziałam coś, czego nie powinnam była mówić.

– Nie szło mu na próbach. W zeszłym tygodniu spanikował. Chyba zemdlął na scenie.

– Nie miałam pojęcia. Dziś było podobnie... nie był w stanie dokończyć swojej kwestii.

– Rany, naprawdę? To kiepsko.

– Damon nie jest ze mną do końca... szczerzy – wyjaśniam. – To znaczy, czasami jest, opowiada mi o sobie. Ale czasem jest bardzo skryty.

– Cóż, przykro mi to mówić, Melly, ale ty też jesteś zamknięta w sobie.

Milczę.

– Pewnie nie chce, żebyś się o niego martwiła – dodaje Tristan. – Wygląda na faceta, który nie chce sprawiać nikomu kłopotu.

Tym razem próbował mi powiedzieć. Chciał, żebym wiedziała...

Pamiętam, jak podsunął mi zdjęcie, gdy siedzieliśmy w knajpce.

„Czasami mam wrażenie, że on... na wszystko patrzy. Że wie, co się dzieje, i chce w tym uczestniczyć. Wiesz, o czym mówię?”

W duchu proszę: „Draż, draż”, ale to nie fair, nie powinnam chcieć, żeby Tristan wyciągnął to ze mnie. To nie jego zadanie.

– Wiesz, że zawsze możesz ze mną porozmawiać – przypomina mi Tristan. – Kiedy tylko chcesz i o czym chcesz.

Im dłużej o tym myślę, tym bardziej się upewniam, że Carlos był dla Damona moim Tristanem.

Czy taką stratę można w ogóle do czegoś porównać?

– Wiem, dziękuję – odpowiadam.

– Nie ma za co. Tak jak mówiłaś, od tego ma się przyjaciół.

Kąciaki moich ust drgają, próbując unieść się w uśmiechu.

– Wiem, że naprawdę lubiłeś Bryana – podejmuję. – Myślałam, że może to nic poważnego, że podoba ci się, bo gra w piłkę i jest ciachem, ale... widziałam, jaką miałeś minę, gdy o nim mówiłaś. Przepraszam cię, Tristan. Przepraszam za wszystko.

Brakuje mi tchu. Zakreślam ręką pętlę, za późno się orientując, że Tristan tego nie widzi.

– Rany, Melanie, nie wiem, co powiedzieć. – Odchrząkuje. – Tak, lubiłem go, ale chyba bardziej, niż na to zasługiwał. Lubiałem się z nim spotykać potajemnie. Tajemnice są podniecające. Ale kiedyś ich czar pryska, a on wolałby, żebym pozostał tajemnicą. Między sekretem a zwykłym wstydem biegnie cienka granica.

Szkoda, że Tristana teraz tu nie ma. Mam ochotę ująć jego dłonie i zamknąć je w swoich. Robimy tak od czasów gimnazjum, kiedy w naszej szkole wystawiano *Romea i Julię*, a Tristan grał rolę Romea: „Dłoń święci mają, a dotknięcie dłoni jest pocałunkiem świętego pielgrzyma”^[5]. Do dziś uwielbiam dotyk jego dłoni; są takie gładkie i dają poczucie bezpieczeństwa. Tristan zawsze będzie moją bezpieczną przystanią, bez względu na to, jak daleko ucieknę i gdzie się skryję.

– Mimo wszystko będzie mi brakować tego, co robił z językiem – oświadcza w zadumie Tristan. – Tak nim obracał...

– Tristan, kocham cię – przerywam mu, zanosząc się śmiechem.

– Ja ciebie też – odpowiada. Trochę się podśmiewa, ale wiem, że mówi szczerze.

– Jesteś niesamowity – dodaję z uznaniem.

– Wiem.

Budzę się rankiem, zerkam na kalendarz i nagle zdaję sobie sprawę, że to Halloween. Dziś Halloween nie jest już dla mnie tym samym, czym było w dzieciństwie – garściami koszmarnie słodkich cukierków, przebierankami, dekoracjami z dyń, strachami wyskakującymi z ciemności – ale wydaje się na czasie. Podobno chodzi w nim o zaklinanie demonów, odpędzanie złych mocy, a Bóg mi świadkiem, że moje demony harcują w najlepsze.

O zmierzchu spotykam się z Tristanem w jego domu i robimy obchód okolicy, podziwiając dyniowe latarenki z wyszczerbionymi uśmiechami i szparkami zamiast oczu, lepkie pajęczyny rozpięte na drzwiach i wywieszzone w oknach klekoczące szkielety. Podekscytowane, rozchichotane dzieciaki paradują w kostiumach, taszcząc plastikowe wiaderka i torby. W ślad za nimi podążają rodzice, zbyt zmęczeni, by próbować przywołać do porządku swoje rozbrykane pociechy.

Zaczęliśmy tak spędzać Halloween cztery lata temu, kiedy uznaliśmy, że jesteśmy za starzy na chodzenie po domach, lecz nie chcieliśmy dać się wmanewrować w rozdawanie cukierków. Nie do końca je świętujemy, raczej bierzemy w nim udział jako obserwatorzy. Być może to trochę dziwaczne, ale przynajmniej się nie nudzimy.

Tego wieczoru brniemy przez jeszcze wilgotne od deszczu liście i ogrzewamy dłonie, wkładając je sobie nawzajem do kieszeni.

– Żałujesz, że już się w to nie bawimy? – pyta nagle Tristan, odstawiając na chodniku jakiś dziwny taniec nogami. – Na pewno byłbym czadową Marilyn.

Wzruszam ramionami i odgarniam włosy za ucho.

– Kiedyś to lubiałam. Przebieranki. Zbieranie słodczy.

– Przecież teraz przebierasz się każdego dnia, cudaku – droczy się Tristan, szturchając mnie ramieniem. – Zawsze czułem, że za tym wszystkim, za tą całą cukierkową fasadą kryje się coś więcej. Zachłanność, brutalna rywalizacja. Każdy chce się jak najwięcej nachapać. To niezdrowe.

Śmieję się, ale trochę mnie to zabolalo: „Przecież teraz przebierasz się każdego dnia, cudaku”. Kostiumy. Odgrywanie ról. Tajemnice. Od tajemnic niedaleko do wstydu. Nie mogę się powstrzymać – myślę o Damonie. Myślę o Damonie z dachu i o Damonie ze sceny. O tym, że obaj są jedną i tą samą osobą, a jakże się różnią.

Chciałabym ujrzeć go wyraźniej, wziąć go pod lupę jak jedno z jego zdjęć, jak to zdjęcie Carlosa, które dał mi przed kilkoma miesiącami, ponieważ chciał,

bym zobaczyła, co stracił.

„Zdjęcia pozwalają przyjrzeć się uważnie” – tak mi powiedział.

Ale Damon nie jest zdjęciem, nie jest nieruchomym obrazem zamrożonym w czasie. Nie otworzy się przede mną niczym wiosenny kwiat, jeśli tylko uzbroję się w cierpliwość.

Muszę się przyjrzeć uważniej, muszę mu pokazać, co widzę.

– Hej, chodźmy do szkoły – proponuję.

– Ot tak, z własnej woli? – pyta z niedowierzaniem Tristan. – To chyba najgłupsza rzecz, na jaką kiedykolwiek wpadłaś.

– Mam pewien pomysł – oznajmiam. – Muszę rzucić okiem na naszą scenografię.

– Na scenografię? – Tristan wpatruje się we mnie zdziwiony. – Zapomniałaś zażyć dziś leki?

– No chodź. – Ciągnę go za sobą.

Na szczęście Tristan opiera się tylko trochę. To znaczy bardzo, ale ostatecznie daje za wygraną, kiedy dociera do niego, że go nie słucham.

– Jeśli mnie za to wyrzucą, będziesz się tłumaczyć przed moim ojcem – odgraża się, a ja tymczasem majstruję przy zamku starych, rozklekotanych drzwi prowadzących na salę gimnastyczną.

– Nikt nas nie nakryje – uspokajam go.

– Tak ci się zdaje, ale zawsze przegrywałaś w chowanego, więc...

– To zostań tu – proponuję i ruszam przed siebie.

– Dobry plan! – woła Tristan. – Da mi możliwość wiarygodnego zaprzeczenia.

– Nawet nie wiesz, co to znaczy.

– Właśnie że wiem. Oglądam telewizję!

A co mi tam! I tak muszę zrobić to sama. Skręciwszy za rogiem, popycham drzwi auli i wstrzymuję oddech. W środku czuć stęchliznę, jakby w powietrzu unosiły się duchy dawnych produkcji, wcielenia postaci, powołane do życia, a potem porzucone jak stare ubrania, by zarosły pajęczyną i pokryły się kurzem wspomnień.

W kilka sekund docieram za kulisy i staję przed scenografią. Przede mną wylania się Cypr: wewnątrz zamku, dużo szarości, czerni i kątów prostych. Poza murami nie ma nic – tylko mnóstwo pustej, niezdefiniowanej przestrzeni.

Zamiast wyklądać Damonowi, o czym jest ta sztuka, powinnam mu była powiedzieć: „Nie jesteś jak Otello. Nie jesteś nim, bo Otello nie ma dokąd pójść”.

Damon ma dokąd pójść. Muszę mu tylko wskazać kierunek.

Przyglądam się tłu, przesuwam wzrokiem po malunkach i czekam, aż ułożą mi się w głowie w spójny obraz. Następnie podnoszę pędzel, zanurzam go w zielonej farbie, przykładam do brzegu i zaczynam malować.

Damon

- Stary, nie. Zapomnij.
- Dlaczego?
- Bo jest brzydka jak noc.
- Idź się leczyć.
- Nie twierdę, że ja...
- A co, jeśli dziewczyny też tak o tobie mówią? „Aaa, Carlos, ten idiota wygląda, jakby coś mu wybuchło w twarz...”
- Jak sobie chcesz. Wiem, że tak nie mówią.
- Skąd?
- Bo spędzam z nimi noc.
- Ze wszystkimi? Sypiasz z każdą...?
- Zamknij się, dobra?
- Nie wiem, czemu się z tobą kumpluję.
- Każdego dnia zadaję sobie to samo pytanie.
- No właśnie.
- Każdego pieprzonego dnia, D.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdy przychodzę na próbę następnego dnia, Melanie nie ma – nie ma nikogo z ekipy zajmującej się scenografią. Pani McAvoy bierze mnie na stronę i pyta, czy dobrze się czuję.

– Jeśli ci ciężko, nie ma potrzeby się zmuszać – mówi cicho. – Teatr powinien sprawiać przyjemność. Obsadziłam cię w tej roli, bo wydawałeś się do niej stworzony, jakbyś rozumiał Otella. Wiem jednak, że niełatwo go zrozumieć i można czuć się z tym źle, co dodatkowo utrudnia grę.

Pani McAvoy pewnie myśli, że rozumiem Otella, bo jestem czarny i doświadczyłem rasizmu, lecz choć obie te rzeczy się zgadzają, nie mają nic wspólnego z tym, jak się czuję. Pewnie, zdarzyło się, że ludzie na ulicy lub w sklepie dziwnie się na mnie patrzyli: „Wioślarstwo, serio? Teatr, serio? To dobre dla białych. To dobre dla gejów”. Ale co ja tam mogę wiedzieć o realiach życia Otella?

Jak sobie o tym pomyślę, to Szekspir też nie miał o tym pojęcia, prawda? Nie był czarny i pewnie nie znał zbyt wielu czarnych, o ile w ogóle. Pod tym względem Szekspir nie mógł rozumieć Otella, ale doskonale wiedział, co to zazdrość, obsesja i poczucie winy. Rozumiał smutek, rozumiał żalobę.

– Dam radę – zapewniam. – Chcę to zagrać.

Muszę to zagrać.

Pani McAvoy kładzie mi rękę na ramieniu i ściska.

– W porządku. W takim razie do dzieła. Ach, Damon? – Spoglądam na nią. – Jeśli będziesz chciał porozmawiać, daj mi znać.

Tak naprawdę to chcę porozmawiać z Melanie, choć nie wiem dokładnie, co miałbym jej powiedzieć. Ale teraz to i tak niemożliwe. Przynajmniej na razie.

Przez całą próbę wszyscy obchodzą się ze mną jak z jajkiem, patrzą na mnie nieufnie, jakbym był jakimś dzikim zwierzęciem, które w każdej chwili może zaatakować z byle powodu. Tak samo patrzyli na mnie ludzie na pogrzebie Carlosa: co chwila rzucali mi ukradkowe spojrzenia, wszyscy tak samo skruszeni i zmieszani. „To ten chłopak... To przyjaciel Carlosa”. Tego dnia nie uroniłem nawet jednej łzy. Nie mogłem. Było za wcześnie, sprawa była zbyt świeża. Świat wydawał się mroczniejszy, a każdy dotyk, każdy uścisk, każde słowo pocieszenia wydawały się kłamstwem, niesłuszne i bezpodstawne.

Jam jest, co niegdyś zwałem się Otello...

Ciesz się z tego. Bodajeś żył długo!

Bo śmierć, mym zdaniem, jest błogosławieństwem.

Pamiętam swoje kwestie i ustawienie na scenie, ale podczas końcowego aktu mój umysł zachodzi mgłą. W głowie mam totalną pustkę, a każdy mój gest jest

wystudiowany, czynności mechaniczne, tekst odklepany. Gdy wypowiadam ostatnie słowa, czuję ogromną ulgę. Upadam, udając, że umieram, i wstaję dopiero wtedy, gdy Lacey kładzie mi dłoń na ramieniu. Spogląda na mnie z przejętą miną.

– To było niesamowite – mówi.

– Dziękuję – odpowiadam, choć nie czuję ani wdzięczności, ani dumy.

Nazajutrz, w piątek, nie mamy próby. Szykuję się już na długi, ekscytujący wieczór nicnierobienia, gdy nagle w kieszeni czuję wibrowanie telefonu. Odblokowuję go i widzę esemesa: „Masz jakieś plany?”.

Jest od Tristana. W pierwszej chwili myślę: Nie, jestem zbyt zmęczony. Ale potem uświadamiam sobie, że przy Tristanie nigdy nie czuję zmęczenia, wręcz przeciwnie, bo on ma w sobie tyle energii, że można by nią obdzielić z dziesięć osób. Właśnie tego mi teraz potrzeba.

„Nie” – odpisuję i w odpowiedzi dostaję wiadomość z uśmiechniętą buźką:

„Już masz. Widzimy się za 15 min. przed szkołą”.

Kilka minut później Tristan wypada przez frontowe drzwi; w dopasowanych, szarych wizytowych spodniach i koszuli z kołnierzykiem prezentuje się naprawdę szykownie.

– Aleś się wystroił – rzucam.

– Muszę sobie odbić – wyjaśnia Tristan. Podciąga plecak na ramieniu i marszczy brwi. – Chodźmy do mnie.

– Jesteś pewien, że to dobry...

– Mam to gdzieś. – Macha lekceważąco ręką. – Tata na pewno będzie zachwycony, że przyprowadziłem do domu koleśka, którego nie chcę zerznąć, a ty wyglądasz bardzo męsko.

– Bardziej niż Bryan? – pytam z przekąsem.

– Trafiony. Ale teraz i tak pewnie nikogo tam nie ma, a mój dom jest odjechany w kosmos. Spodoba ci się.

Dom Tristana faktycznie wymiata. W Tenleytown przeważają skromne i małe domy, pozostałości z czasów, gdy robotników było więcej niż białych kołnierzyków. W ostatnim czasie zaczęli tu napływać bardziej zamożni przedstawiciele klasy średniej; to część procesu gentryfikacji Waszyngtonu. W praktyce oznacza to, że rodziny zamieszkujące tę dzielnicę płacą teraz więcej za te same maleńkie domki.

Ale dom Tristana w żadnym wypadku nie jest maleńki. Jest olbrzymi: kupa czerwonych cegieł i potężne białe kolumny od frontu. Tristan popycha wielkie skrzypiące drzwi i moim oczom ukazuje się hol wyłożony chyba marmurem, i wszystko, dosłownie wszystko, do siebie pasuje. Beżowe ściany, beżowa kanapa, beżowe zasłony. Czuję się trochę jak w babcinym staniku.

– Moja mama miała kasę – oświadcza beznamiętnie Tristan.

– A twój tata pracuje dla rządu?

– Tak, konkretnie w senacie, jest asystentem do spraw legislacji – wyjaśnia.
– Pomaga w stanowieniu prawa czy coś w tym stylu. Ale wcale tak dużo nie zarabia. Zresztą jak większość rządowych pracowników. To wszystko głównie dzięki mamie.

– Więc dlaczego chodzisz do...

– Szkoły państwowej? – Tristan rzuca plecak na krzesło i gestem wskazuje, bym zrobił to samo. Powoli odkładam plecak na podłogę. – W dużym stopniu przyczyniła się do tego mama Melanie.

Tristan prowadzi mnie do przepastnej kuchni z ciemnymi, granitowymi blatami i otwiera szarpnięciem lodówkę.

– Chętnie wychylę kieliszek chardonnay – kpię, a Tristan rzuca mi złośliwe spojrzenie przez ramię.

– Nawet nie wiesz, ile razy o tym myślałem w ciągu ostatnich tygodni – wyznaje. – Ale alkohol źle na mnie wpływa. Zwykle wpadam w przygnębienie, a potem zachowuję się jak tania dziwka, albo na odwrót... tak czy siak, nie jest dobrze. Szczerze mówiąc, pod tym względem przypominam Kasja bardziej, niżbym chciał. „Och, że też ludzie sami wlewają sobie w usta nieprzyjaciela, aby im rozum wykradał!”

– Brzmi groźnie – stwierdzam. – Może być woda, jeśli masz na zbyciu.

– A jakże! – mówi i nalewa mi szklanekę prosto z filtra Brita.

– No więc co mama Melanie ma wspólnego z faktem, że chodzisz do szkoły państwowej?

– Była nauczycielką, od plastyki. Zawsze uczyła w szkołach państwowych. Rodzice posłali mnie najpierw do państwowej podstawówki. Pewnie myśleli sobie coś w stylu: „To małe dzieci, dopiero uczą się alfabetu, więc co mogą tam schrzańić?”. Poza tym mój ojciec to sknera. W każdym razie później mieli mnie przenieść do prywatnego gimnazjum, ale mama Melanie powiedziała: „Powinniście zostawić go w szkole państwowej. Dacie przykład”. – Tristan zamyka lodówkę i wskakuje na stołek barowy. – Mój tata lubi dawać przykład.

– I to zaważyło, tak? – dopytuję.

– Cóż, przekonała go, że to by wiele znaczyło, bo nikt z Kapitolu nie posyła dzieci do państwowych placówek. Nie narzekałem, bo mogłem dalej chodzić do szkoły z Melanie.

– Nie opowiadała mi za dużo o swojej mamie.

– Wydaje mi się, że ciężko jej o tym mówić – tłumaczy Tristan. – Dobrze się maskuje, ale nie najlepiej sobie z tym wszystkim radzi.

– Widzę, że długo się przyjaźnicie.

– Od zawsze. – Tristan pociąga łyk coli z puszki.

– Kocha cię – dodaje.

Twarz Tristana łagodnieje.

– A ja ją. Ciebie też lubi, wiesz? Nawet bardzo.
– Wiem – potwierdzam. – I *vice versa*. Lubię ją bardziej, niż przypuszcza.
– Jeśli liczysz na to, że ci powiem, jak się z nią pogodzić, to zapomnij – oświadcza Tristan, wbijając we mnie wzrok. – Ale jeśli ją lubisz, wyznaj jej to. Ona nie wie, co o tym wszystkim sądzić.

Czuję się jak skończony dupek. Chcę jej powiedzieć: „Przepraszam. Przepraszam, że jestem taki popapwany. Wolałbym, żeby było inaczej. Wolałbym, żebyś tego nie widziała”.

Ręka zaczyna mi drżeć. Odstawiam szklankę.

– Miałem kiedyś kumpla – zaczynam. – Byliśmy ze sobą naprawdę zżyci, rozumieliśmy się bez słów. Wiesz, o czym mówię?

W oczach Tristana pojawia się błysk zrozumienia.

– No jasne.

Upijam łyk wody, próbując zyskać na czasie.

– I musiałeś zmienić szkołę? – zgaduje Tristan. – Pewnie teraz nie widujecie się już tak często. Lipa.

– On umarł – wyjaśniam.

Ilekoć to mówię – czyli teraz dokładnie drugi raz – czuję się z tym źle. „On umarł” – to brzmi tak biernie. Jakby po prostu się położył, zasnął i przestał istnieć. A przecież wcale tak nie było. Carlos odebrał sobie życie. Jak Otello. Zabił się. Skończył ze sobą.

– Tak mi przykro – mówi Tristan.

Podnosi się ze stołka i podchodzi, obejmując mnie i zamykając w uścisku. Zazwyczaj unikam takich czułości, ale wiem, że już nigdy nie odmówię Tristanowi, gdy zechce mnie przytulić. Uczucie, jakim mnie obdarza, jest takie szczerze i prawdziwe, jakby nie oczekiwał ani nie potrzebował niczego w zamian.

– To nie twoja wina.

– Wiem – przyznaje Tristan – ale i tak mi przykro.

Przez resztę dnia aż do późnego wieczoru byczymy się na wielkiej skórzanej kanapie w jego nieskazitelnym salonie, oglądając horrory, zajadając się popcornem i wszędzie go rozsypując. Tristan ma wielką radochę z robienia bałaganu. Poza tym dostarcza mi sporo rozrywki: co chwila objeżdża stroje aktorów i rzuca w ekran różnymi rzeczami, ilekroć bohaterowie robią coś głupiego, na przykład schodzą w pojedynkę do ciemnych piwnic i zapuszczają się w głąb opuszczonych budynków.

– Dlaczego tam leziesz?! – wykrzykuje. – Równie dobrze na drzwiach tego domu mogłaby wisieć tabliczka z napisem: „Ukrywam w szafie seryjnego mordercę”.

– Nie wiem, czy oglądanie z tobą horrorów jest bardziej czy mniej stresujące – stwierdzam.

– Cóż, naprawdę to przeżywam – tłumaczy Tristan z ustami pełnymi popcornu i szczerzy się do mnie.

Gdy budzę się rano, czeka na mnie esemes od Tristana: „Dzięki, że ochroniłeś mnie przed potworami” i mnóstwo maleńkich uśmiechniętych buziek. Chcę mu odpisać, że to on ochronił mnie przed moimi potworami, lecz po namyśle stwierdzam, że jeszcze na to za wcześnie. Odpowiadam więc: „Nie ma za co, stary” i wyłączam telefon.

W sypialni rodziców i kuchni jest pusto – najwyraźniej nie każdy spędza sobotni poranek tak leniwie jak ja. Na kuchennym stole zostawiam karteczkę z wiadomością: „Niedługo wrócę. Poszedłem na spacer. D”.

A potem robię dokładnie to, co napisałem – idę na spacer. Wychodzę na chodnik i już wiem, dokąd muszę pójść.

Dopóki nie pokonam strachu, ta sztuka pozostanie moim osobistym horrorem: wyreżyserowanym, przerysowanym i przesyconym nieodzowną grozą. Jest tylko jeden sposób na to, żebym zawładnął sceną i opowiedział historię Otella – muszę poczuć się na niej swobodnie. A to oznacza, że muszę się z nią oswoić i spędzić na niej więcej czasu niż tylko na próbach.

Jest sobota, ale w weekendy na terenie szkoły odbywają się różne sportowe wydarzenia i spotkania. Gdy docieram na miejsce, drzwi do budynku są otwarte. Podobnie jak drzwi do auli. W środku nikogo nie ma. Moje kroki odbijają się echem, gdy wchodzę na scenę i przemierzam ją wolnym krokiem, czując, jak drewno pracuje pod moimi stopami.

Carlos, brachu, pomóż mi.

Ale Carlosa tu nie ma, nawet jako ducha. Jestem sam na scenie.

Całkiem sam.

Otello też się tak czuł. Opuszczony, zdradzony, zakłopotany.

Idę za kulisy i staję przed wielkim tłem, z którego wyłania się zamek. Wodzę wzrokiem po jego kamiennych murach, iglicach i wieżyczkach. Nie wiem, czy właśnie tak w tamtych czasach wyglądały zamki w Wenecji, ale z drugiej strony Szekspir pewnie też tego nie wiedział. Ciągłe pisał o obcych krajach, których nigdy nie widział. Z pisaniem o miejscach, w których nigdy się nie było, jest chyba tak samo jak z odgrywaniem czegoś, czego nigdy się nie robiło: autentyzm bierze się ze świadomości, że we wszystkim jest odrobina wszystkiego, że wszędzie jest choć kapkę podobnie.

Spoglądam na scenografię, mrużąc oczy: mury zamku rozmywają się w szarościach, wydają się niemal zielone. Im dłużej się na nie gapię, tym bardziej się przeobrażają. Zastanawiam się, czy to właśnie to uczucie: ten słynny kręciek w głowie od wpatrywania się w coś tak długo i tak intensywnie, że przestajesz cokolwiek widzieć.

Dzisiaj scenografia wygląda inaczej. Przyglądam się jej przymrużonymi

oczami. Za każdym razem, gdy na nią patrzę, coś się w niej zmienia: ewoluuje, nabiera kształtów, kolorów, nowego wymiaru, lecz tym razem...

Widzę coś dodatkowego. Nowy element...

Wyciągam dłoń i przesuwam nią po sękatym pniu, po splecionych niczym palce gałęziach, powykęcanych, lecz pięknych. Wygląda jak to drzewo w...

Serce zaczyna mi szybciej bić.

Nie. Nie zrobiła tego.

A jednak. W rogu z tła wyłania się dokładna kopia naszej miejscówki w Rock Creek, schowana głęboko, tak że ledwie ją widać. To tu przyprowadziłem Melanie na początku naszej znajomości, to tu po raz pierwszy opowiedziała mi o śmierci matki, to tu wyjawiałem jej, że Carlos nie żyje.

To tu po raz pierwszy ją zobaczyłem. To tu...

„Opowiadając te straszne wypadki”...

Oddycham głęboko.

To drzewo wiele widziało. Wielu ludzi pod nim przechodziło, spacerowało obok niego, godzinami dyskutowało w pobliżu. Czasami o tym zapominam: zapominam, ile osób bywało tu przedtem.

Melanie była jedną z nich.

Rozglądam się po sali pogrążonej w spowitej kurzem ciszy. Jest tylko jedno miejsce, w które mogę się udać. To, gdzie wciąż powracam.

Jest tu tak samo jak przed kilkoma tygodniami, cudownie cicho. Późnopołudniowa bryza kołysze gałęziami. Słońce wisi nisko na niebie, a pod drzewami panuje cień; mętne, niknące światło przecina smugami zieleń mchów.

Oto ja. I oto ona.

– Melanie – zagaduję.

Podrywa głowę.

– O, cześć.

– Czy my...

Prawie mówię: „byliśmy umówieni”, ale wiem, że to nieprawda. To jedna z rzeczy, które kocham w byciu z Melanie, to, że zawsze się odnajdujemy.

Chcę jej dotknąć. Chcę ją przytulić. To zastanawiające, dlaczego z nią przychodzi mi to o wiele trudniej niż z Tristanem. Może dlatego, że oboje – i ona, i ja – nosimy grubą, metalową zbroję.

Ale ja jestem gotowy ją odrzucić.

– Przepraszam. Jestem popapprany.

Melanie podnosi wzrok; jej oczy lekko się uśmiechają.

– Tak myślisz?

– Troszeczkę – prostuję. Unoszę dłoń i zbliżam do siebie dwa palce, zostawiając między nimi centymetrową przerwę. – O tyle.

– Chyba oboje jesteście popapprani – stwierdza Melanie. – Chyba...

Zawiesza głos, drapiąc się po nadgarstku.

– Ta scenografia. Namalowałaś...

– Tak. – Melanie wskazuje drzewo. – Miałam przyjrzeć się uważnie, prawda?

Słuchała.

Chce słuchać.

Carlos zostawił po sobie zdjęcia. Nie tylko te, które zawiesiłem na ścianie.

Zostawił po sobie jeszcze jedno zdjęcie, które chyba już zawsze będę miał przed oczami. To, które istnieje tylko w mojej głowie.

Może powinno zaistnieć jeszcze gdzieś.

Owszem, mogę skrywać tajemnice, sprawić, że będą bezpieczne. Mogę je zamknąć na trzy spusty. Mogę udawać. Tylko co z tego? Bez względu na to, jak dobrze będą schowane, nie znikną, będą czekać uśpione, jak te zdjęcia zamknięte w pudełku – są tam, mimo że nikt ich nie widzi.

Przywodzi mi to na myśl wróżbę, którą znalazłem w chińskim ciasteczku tydzień po śmierci Carlosa: „Statki są bezpieczne, stojąc w porcie, ale nie takie jest ich przeznaczenie”.

– Chyba powinieneś opowiedzieć mi o Carlosie – mówi Melanie.

Boże, ona wie. Jak się dowiedziała? – myślę w panice.

Ale potem uświadamiam sobie, że to nie to. Chodzi jej o mojego zmarłego przyjaciela, tego, którego straciłem. Biernie. Bo tyle wie.

Nie straciłem go i nie chcę, by odszedł.

– Carlos się zabił – wyjaśniam.

Melanie patrzy na mnie wielkimi oczami.

– On... Carlos się zabił? – pyta z niedowierzaniem.

Drugi raz nie przejdzie mi to przez gardło. Siadam na omszałym pniaku i chowam głowę w dłoniach.

Czuję, że Melanie jest przy mnie, czuję na plecach jej dłoń spoczywającą między moimi łopatkami.

– Damon, proszę, nie przerywaj. Mów dalej.

Przypominam sobie chwile spędzone w tym miejscu, gdy przychodziłem tu, by porozmawiać z Carlosem, by otrzymać odpowiedzi. Ale Carlos zamiast słów wolał zdjęcia. Chciał widzieć wszystko jak na dłoni: bez filtrów, bez kłamstw.

Jednak zdjęcia czasami też kłamią, wypychają poza kadr, ukrywają przed wzrokiem. Zdjęcia są jak elementy układanki – nie zawsze do siebie pasują. Czasami to po prostu skrawki wyrwane z kontekstu; czasami, choć patrzymy, tak naprawdę nie widzimy.

– Tamtego wieczoru mieliśmy się spotkać – zaczynam. – Ale zadzwonił do mnie i wydawał się jakiś dziwny, mówił, że kręci mu się w głowie, że nic nie widzi. Ja... próbowałem go znaleźć. Obszedłem wszystkie miejsca, do których

mógłby pójść, i ciągle do niego wydzwaniałem. W końcu się dodzwoniłem, ale nie chciał mi powiedzieć, gdzie jest. Potem straciłem zasięg, lecz kiedy wrócił...

Urywam. Tego fragmentu historii nikt nie zna, nigdy nie mówiłem o tym na głos. Tej rozmowy nie odbyłem nawet z duchem Carlosa, za bardzo się bałem.

– Poszedłem do jego domu i znalazłem to wszystko w jego pokoju – ciągnę dalej. – Jego aparat i pudło pełne fotek. Zabrałem je. Carlos zwykle mówił: „Zdjęcia to nasze historie, stary. Są tym, co po sobie zostawiamy”. A ja na to, że to chore, że nie powinien tak mówić, że jesteśmy jeszcze młodzi i to nie czas, by myśleć o naszej... spuściźnie lub czymś w tym rodzaju. Wpadał wtedy w złość i wytykał mi, że nie wiem, o czym mówię.

Wzdycham ciężko. Czuję, jak palce Melanie wpijają się w mój kark.

– Miał rację. Nie wiedziałem, o czym mówiłem.

Przez chwilę milczę, usiłując ogarnąć to umysłem.

– I kiedy próbowałaś się ponownie dodzwonić, nie udało się? – docieka Melanie.

– Udało. W głowie kłębiły mi się różne myśli – postępowanie w sytuacji kryzysowej, pierwsza pomoc i Bóg wie co jeszcze – a on powiedział tylko: „Jestem w parku, przyjdź do parku”. Wiedziałem, gdzie jest. Przychodziliśmy tam czasami po treningu wioślarskim. Piękne miejsce, cisza, zieleń, zupełnie inaczej niż w mieście i...

– To tu – oświadcza nagle Melanie. – To była wasza miejscówka.

Wie. Teraz już wie.

Nad nami przelatuje ptak; wydaje głuchy, smutny krzyk. Słyszę hałas dobiegający z ulicy. Nieważne, gdzie się udasz, i tak nigdy się nie odetniesz od ludzi.

Biorę głęboki wdech.

– Poszedłem do parku – kontynuuję. – Padało, a ja biegłem ile sił, cały czas mówiąc do Carlosa, próbując zatrzymać go na linii. On odpływał i bredził, powtarzając: „Nie potrzebuję tego, nie potrzebuję ciebie”. Czułem się, jakbym gadał do ściany, bo miał w dupie to, co do niego mówiłem.

Zamykam oczy i widzę Carlosa na wpół leżącego pod drzewem z rękami skrzyżowanymi na piersi. Było tak ciemno, że widziałem jedynie zarys, jego szarą sylwetkę na czarnym tle. Podbiegłem do niego, przykucnąłem i podciągnąłem go, ale Carlos był wiotki jak trzcina. Całe jego ciało było wiotkie i bezwładne, a ubranie przemoczone do nitki. Przyłożyłem dłoń do jego szyi i wyczułem pod palcami słaby, zdecydowanie zbyt słaby puls.

– Wal się, Damon – wyszeptał. – Wal się.

– Carlos, nie umieraj. Proszę, nie...

Jakby to od niego zależało.

– Przepraszam – powiedział Carlos.

– Za co? – spytałem. – Nie masz za co przepraszać.

Nigdy nie zapomnę, jak trzymałem go na rękach w deszczu przenikającym przez moje ubranie – było lodowate, a buty miałem utyłane błotem. Powtarzałem szeptem: „Nie umieraj, stary. Nie umieraj”. Ale wiedziałem, że mnie nie słyszy.

– Gdy przyjechała policja, jeszcze żył – mówię cicho. – Był nieprzytomny, ale żył, gdy wieziono go karetką do szpitala. Po dotarciu na miejsce też jeszcze żył, lecz niedługo. Powiedzieli mi, że połknął za dużo tabletek, że za długo znajdowały się w organizmie.

– Damon – szepcze Melanie.

– Wciąż sobie wyrzucam, że mogłem coś zrobić – wyznaję. – Mogłem dotrzeć tam szybciej. Dostrzec te pieprzone znaki, rozumiesz? Czasami jestem na niego tak wściekły, że najchętniej skopałbym mu tyłek, a przez to złość się na siebie, do tego stopnia, że chce mi się płakać. Gdy wchodzę na scenę w końcowym akcie sztuki i spoglądam na Desdemonę, widzę Carlosa, tam w parku. Jestem Otellem, ale Carlos też nim był. Carlos podjął tę samą decyzję – „bo śmierć, moim zdaniem, jest błogosławieństwem”. Zaplanował to, udał się w nasze miejsce, a potem zadzwonił do mnie, prosząc, bym go odnalazł. Wiedział, że po niego przyjdę, jak za każdym razem, gdy pakował się w tarapaty. Uczynił mnie częścią swojego planu. Wiedział, że zabiorę ten jego pieprzony aparat. Cholera, znał mnie na wylot, a ja chyba w ogóle go nie znałem.

– To nieprawda – protestuje Melanie. – Znałeś go. Wiedziałeś, gdzie go szukać. Tylko ty to wiedziałeś.

Melanie

Wtedy w szpitalu twoja dłoń na moim ramieniu była taka zimna. Nie mogłam się nadziwić, gdzie się podział twój ogień.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zaczynam płakać. Nie mogę nic na to poradzić.

Damon zbliża się do mnie, otacza mnie ramieniem i przyciąga do siebie. Stoję przytulona do niego i cała drzę.

– Rany, przepraszam – szepcze. Jego słowa przejmują mnie dreszczem. Jestem niemal pewna, że nadal płaczę, ale czuję jedynie jego medalik na złotym łańcuszku, odciskający się na moim policzku, jego ramiona, jego ciepło i korzenny chłopięcy zapach.

– Za co przepraszasz? – pytam. Mój głos brzmi tak obco.

– Nie chciałem... nie chciałem cię zdołować – tłumaczy się.

– Ale to jest dołujące – wyjaśniam. – Nie ma nic złego w dołowaniu się z powodu rzeczy, które są dołujące.

Czuję, jak się trzęsie, i zastanawiam się, czy też płacze. Zawsze lepiej jest płakać z kimś. Wiem, bo nieraz płakałam sama.

– Damon, nigdy nie jest w porządku, gdy ktoś umiera. Nigdy.

Co by było, gdyby to Tristan się zabił? Pewnie czułabym się jak obdarta ze skóry, zboląła i bezbronna, a do tego winna, bezużyteczna i przerażona.

Spoglądam Damonowi w oczy i wiem, że on też czuje to wszystko, sam to przeżywa.

– Nie powiem, że mi przykro – podejmuję. – Wiem, że to i tak nie pomoże.

– Nie pomoże – potwierdza Damon. – Bez urazy.

– Nie powiem też, że to nie twoja wina, bo jestem pewna, że słyszałeś to już setki razy.

Przytakuje. Widzę, jak porusza krtanią, jakby przełykał ślinę.

– Powiem tylko, że dla mnie jesteś cudowny – ciągnę dalej. – Mam wciąż to zdjęcie, które dałeś mi w restauracji, stoi u mnie na toalecie, i nie mam wątpliwości, że... – urywam, aby nabrać powietrza. – Nie mam wątpliwości, że Carlos też tak uważał.

Damon zacieśnia uścisk. W jego oczach szklą się łzy. Spogląda na niebo. Jest już niemal ciemno i robi się zimno. Dygoczę. Nawet tego nie zauważyłam. Damon zdejmuje kurtkę i opatula moje ramiona.

– Nie musisz się wstydzić swoich uczuć – mówię. – Tego, jak się teraz czujesz. Nie ma w tym nic złego. To normalne, że się gniewasz, smucisz i czujesz bezsilny. Nie musisz tego ukrywać.

„Pokochaj swój smutek” – tak radzili w książce.

I nagle to do mnie dociera.

Twarz Damona jest taka łagodna i taka smutna.

– Chodźmy gdzieś – proponuje, a gdy wstaje, idę za nim.

Nie mówi o tym, co powiedziałam, ani o tym, co sam powiedział, ani o tym, czego oboje nie powiedzieliśmy. Wychodzi z parku i kieruje się prosto do sklepu z elektroniką. W tym rytmicznym pulsowaniu migoczących jaskrawym światłem ekranów telewizyjnych, w tym jazgocie hałasujących zestawów stereo, w tym szumie przypadkowych dźwięków jest coś kojącego. Przechadzamy się bez celu alejkami, a on pokazuje mi różne modele aparatów fotograficznych – ten, który ma teraz, a który należał do Carlosa, i taki, który chciałby dostać na urodziny. Rozmawiamy o czasie naświetlania i Photoshopie. Widzę, jak jego oczy błyszczą, gdy opowiada o fotografowaniu roślin i drzew, o tym, jak stara się wyeksponować każdy kwiat, aby widać było każdą fałdkę i żyłkę na liściach i płatkach.

Kupujemy kawę w Starbucksie i siadamy na chwilę przy drewnianym stoliku, słuchając nastrojowego jazzu i sącząc kofeinowe napoje. Damon wygląda, jakby czekał, aż zacznę mówić, ale nie chce mi się gadać. Jemu chyba też. Kawiarnia tętni gwarem: szmer rozmów, sapanie i dudnienie ekspresów do kawy, oznajmiany brzękiem dzwonka odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Każdy klient, wchodząc lub wychodząc, wpuszcza do środka podmuch mroźnego powietrza. My trwamy w milczeniu. Jest listopad, początek końca roku.

Przez kilka ostatnich miesięcy sporo się napatrzyłam na Damona Lewisa, podziwiając jego smukłe nadgarstki, prężące się bicepsy oraz połyskujące zielone oczy, jakby namalowane kredkami świecowymi. Ale teraz, gdy tak siedzimy, a wokół nas świat toczy się swoim rytmem, mam wrażenie, jakbym patrzyła na niego po raz pierwszy.

Idziemy do Damona. W domu nikogo nie ma, panuje za to idealny porządek. Damon prowadzi mnie po schodach do swojego pokoju. W jednym kącie wciąż piętrzą się kartony, a na biurku leży jedynie laptop. Przez kilka minut wpatruję się w ściany pokryte niebieską farbą prześwitującą spomiędzy wielkiej mozaiki zdjęć – ludzi, miejsc i rzeczy. Gapię się na nie dopóty, dopóki barwne plamy nie zaczynają się ze sobą zlewać i rozmywać.

– Ty je... – zaczynam.

– Nie, Carlos – przerywa mi Damon.

Serce ściska mi się boleśnie.

– Chcę, żebyś je wzięła. – Damon podaje mi zdjęcie, którego nie ma na ścianie.

Z fotografii wyziera moja twarz: wokół oczu rozmazana czarna kredka, na policzkach blady róż.

– Rany – mówię szeptem.

– Zrobiłem je, zanim się poznaliśmy – oświadcza. – Latem. Siedziałaś w parku...

– ...Rock Creek – dopowiadam.

– Powinienem był zapytać o pozwolenie – tłumaczy się Damon. – Ale tak to

już jest z robieniem zdjęć. Czekasz zbyt długo i moment mija.

Biorę głęboki wdech. Mogłabym się wściec za to, że mnie sfotografował, choć jeszcze się nie znaliśmy. Ale chyba wiem, dlaczego to zrobił.

Damon spojrzał na mnie i to wystarczyło. Wystarczyło, by zobaczył to, czego nikt inny nie dostrzegał. Nie musiałam nawet nic mówić.

Pamiętam, jak tej nocy, kiedy całowaliśmy się na dachu biurowca, dotknął mojej blizny przy oku. „Podoba mi się” – powiedział, a ja na to: „Chyba masz coś z głową!”. Ujmował mnie w kadrze, próbując ujrzeć prawdziwą mnie i wszystko, co mnie definiuje. Włącznie z bliznami.

Powinno mi się czuć skrępowana, wiedząc, jak wnikliwie się przygląda. Ale teraz ja też wiem coś o Damonie, coś, czego nie widać.

Wpatruję się w postać na zdjęciu – ramiona skulone, oczy spuszczone, dłonie zacisnięte i zwieszane wzdłuż ciała. Wydaję się taka przytłoczona, znękana i spięta, zamknięta w sobie. Przyglądam się dokładniej: za mną wznosi się stare, sękatte drzewo o szeroko rozpostartych konarach.

– To w tym miejscu on...

– Tak – potwierdza Damon i spuszcza wzrok.

„Gdziekolwiek spojrzę, widzę ciebie”.

Czuję, jak zdjęcie mięknie mi w dłoni, robi się śliskie, giętkie jak pamięć.

Czasami budzę się i nie pamiętam, po której stronie mama miała więcej piegów na twarzy – po lewej czy prawej. Takie szczegóły wydają się nieistotne, ale są wszystkim. To one nadają charakter, sprawiają, że coś jest prawdziwe i wyjątkowe, że jest tym, czym jest.

Spoglądam na twarz Damona; widzę, jak się zmienia i łagodnieje.

– Wspominałeś, że Carlos zostawił ci aparat i zdjęcia – mówię. – Czy to te, które tu wiszą?

– Jest ich więcej.

Damon przykuca, wyciąga spod łóżka brązowe tekturowe pudełko i unosi wieczko. Zaglądam do środka i widzę stosy fotografii.

Na dworze wiatr świszczuje między drzewami. Okno w sypialni Damona jest lekko uchylone; bryza muska mi włoski na przedramionach. Biorę od niego pudełko i siadam na brzegu łóżka.

Wyjmuję fotkę parku National Mall wiosenną porą; potężne drzewa zielenią się, a kwiaty wiśni szybują w powietrzu jak wielkie płatki śniegu.

– Są piękne – stwierdzam z zachwytem.

– Niektóre, inne nie.

Zanurza rękę w pudełku i wyławia zdjęcie bezdomnej kobiety przycupniętej przy ścianie budynku, otoczonej brudnymi kocami i plastikowymi workami pełnymi puszek i butelek. Butelki błyszczą w słońcu, mieniąc się odcieniami zieleni i błękitu, a wśród nich połyskują czerwone zgniecione puszkę po coli

i srebrno-czarne pojemniki po napojach energetycznych. Kobieta jest stara i siwa, sprawia wrażenie zmęczonej; zlewa się z betonową fasadą, która wznosi się za jej plecami.

– Niesamowite – mówię.

– Wiem. – Damon drapie się za uchem. – Nie miałem pojęcia, że Carlos... To znaczy, rozmawialiśmy o wielu poważnych sprawach, ale nie wiedziałem, że tak widział ubóstwo. Że nie było mu to obojętne. Zdjęć takich jak to jest dużo więcej. Zrobił je na tym nowym osiedlu mieszkaniowym dla najuboższych w Anacostii i...

Damon urywa, przetrząsając pudełko, z którego wyciąga zdjęcie młodego chłopaka, przyczajonego na ciemnej klatce schodowej. Jego chude ciało tonie w za dużych ubraniach, wygląda na wycieńczonego, jakby nie spał od wielu dni. Na ścianie nad jego głową widnieją dwa słowa namalowane farbą w sprayu: NASZA PRZYSZŁOŚĆ.

Wciągam powietrze. Gdy patrzę na to zdjęcie, skręcają mi się bebechy. Wiem, że wielu rzeczy nie widać, ale są tam, mającą na peryferiach wizji, dobrze ukryte. Zwykle ich nie dostrzegam, chyba że ktoś każe mi się przyjrzeć.

– Nie dowiem się już, czy naprawdę chciał umrzeć – stwierdza z rezygnacją Damon. – Łyknął jakieś tabletki. Tabletki często zawodzą. Miał mnóstwo czasu na zmianę zdania. I może nawet się rozmyślił, bo taki był Carlos. Rwał się do różnych głupot, a później mówił: „To było takie kretyńskie. Co mi strzeliło do głowy?”. Jednak tym razem...

Urywa. Wyciągam rękę i kładę ją na dłoni Damona, splatając nasze palce. Damon podnosi wzrok; nie uśmiecha się, ale jego oczy tracą wyraz czujnego napięcia i łagodnieją.

– Nie musimy o tym rozmawiać – stwierdza. – To zbyt dołujące, a ty masz już dość...

– Nie widzę w tym nic dołującego – zaprzeczam. – To życie Carlosa. Chciał, żebyś właśnie to zobaczył. Taki był, a przynajmniej tak o sobie myślał. Gdy ludzie umierają, zostawiają po sobie różne tropy. Moja mama zostawiła pracownię. Tata przeniósł wszystko do piwnicy, ale niczego nie przestawiał – wygląda dokładnie tak samo jak za jej życia. Od tamtej pory niczego nie dotykał. Z początku myślałam, że po prostu nie mógł się z tym zmierzyć, nie potrafił sobie z tym poradzić, ale potem zrozumiałam, że ta pracownia to ona. Nadal ją tam widzi i czuje z nią kontakt. Ja mam tak samo – gdy tam przebywam, wyczuwam jej obecność.

Damon ściska moją dłoń. Nie cofam jej. Kładę mu rękę na plecach; pod palcami czuję bijące od niego ciepło i T-shirt przesiąknięty potem. Pachnie drzewami.

– Powinniśmy obejrzeć te zdjęcia – sugeruję. – Wspólnie.

Damon unosi głowę. Oczy ma koloru ciemnej morskiej toni, niczym Atlantyckie niebo w pochmurny dzień.

– Okej.

Przeglądamy fotografie, jedną po drugiej. Czasem dorabiamy do nich historyjki. Czasem Damon zamiera, wpatrując się w zdjęcie, i nic nie mówi przez boleśnie długie minuty. Patrząc na niego i wiem, że skrywa historie, których nigdy nie poznam, historie znane tylko jemu i Carlosowi... teraz już tylko jemu.

– A to? – pytam, podnosząc zdjęcie, na którym Damon ma luźne materiałowe spodnie i koszulę z kołnierzykiem, rękawy zakasane za łokcie. – Gdzie zostało zrobione?

– Podczas próby teatralnej – oznajmia Damon. – W Gate, w zeszłym roku. Wystawialiśmy wtedy sztukę Augusta Wilsona. Carlos robił zdjęcia do gazety, w której miała się ukazać recenzja.

Pod spodem są jeszcze inne zdjęcia Damona – dużo zdjęć. Damon na scenie. Damon podczas treningu wioślarskiego. Z rodzicami. Sam. Wszystkie są piękne, spontaniczne, prawdziwe. Niepozowane. Damon najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że Carlos go fotografuje.

– Te wszystkie zdjęcia, które ci zrobił – podejmuję łagodnym głosem. – Nie starał się ukazać cię od dobrej strony. Wydaje mi się, że on w ogóle nie uważał, że masz jakąś złą stronę.

Damon opuszcza wzrok na ręce. Widzę, że dwa paznokcie u lewej dłoni są złamane; skóra na kostkach jest sucha.

– Mylił się – stwierdza.

– Damon, on cię kochał – tłumaczę.

Jego twarz zastyga bez emocji.

– Nigdy mi nic podobnego nie powiedział – szepcze, tak cicho, że muszę wytężyć słuch.

Przez chwilę wydaje mi się, że Damon powtarza to, co mówił wcześniej. „Wciąż sobie wyrzucam, że mogłem coś zrobić”. I nagle dociera do mnie – och!

Damon nie bez powodu trzyma te zdjęcia w pudełku.

„Znał mnie na wylot, a ja chyba w ogóle go nie znałem”.

– Chciałbym... sam nie wiem – zaczyna niepewnie Damon.

Czekam cierpliwie.

– Po jego śmierci nie mogłem na niego patrzeć – tłumaczy. – Przez wiele tygodni trzymałem je w pudle pod łóżkiem, ale wiedziałem, że tam są i tylko czekają, aż je wyjmę.

Przełyka ślinę. Nadal unika mojego spojrzenia.

– Pewnej nocy nie mogłem zasnąć – ciągnie dalej – i zacząłem je przeglądać. I wtedy zrozumiałem. Ilekroć robiło się zbyt uczuciowo, Carlos zawsze próbował obrócić to w żart albo się wkurzał i stawał nieprzyjemny, albo zmieniał temat. Był

w tym naprawdę dobry. Stosował mistrzowskie uniki. Ale na tych fotografiach, na tych wszystkich zdjęciach, które mi zrobił, lecz nigdy nie pokazał, to było bardziej niż oczywiste.

Czekam, ale on milczy. Trzęsą mu się ręce.

– Co, Damon? – pytam. – Co było oczywiste?

Wciąga głęboko powietrze i wyrzuca to z siebie:

– To jak na mnie patrzył.

Ponownie czuję wzbierające łzy, które dławią mnie w gardle i pieką. Przełykam je.

„Zdjęcia są tym, co po sobie zostawiamy” – powiedział kiedyś Carlos. I zostawił swoje zdjęcia Damonowi. To jego spuścizna zamknięta w pudełku: wszystko, czego nie potrafił wyjawić Damonowi, czego nie był w stanie wypowiedzieć na głos. Zostawił je, by Damon mógł to zobaczyć.

Ale zdjęcia to nie wszystko, co po sobie zostawiamy. Ani listy, ani rysunki czy obrazy, ani domy, samochody, pieniądze czy ubrania.

Zostawiamy również ludzi.

„Niemądrze, ale zbyt kochałem”. Carlos był taki dzielny i zarazem taki przerażony. Nawet teraz, mimo iż wcale go nie znałam, chciałabym móc z nim usiąść, złapać go za rękę i pocieszyć słowami: „Wszystko będzie dobrze. Może nie idealnie, ale na pewno lepiej”.

Niestety to niemożliwe. Nie pocieszę tak ani Carlosa, ani mamy.

Ale mogę pocieszyć w ten sposób Damona.

– Wiem, że miałam tego nie mówić, ale to nie twoja wina – podejmuję. – To nie twoja wina, że nie czułeś tego samego, co on czuł do...

– Wiem – przerywa mi Damon łagodnym głosem. – Ale to jest już bez znaczenia. To, czy to moja wina czy nie. Tak się teraz czuję, a jego już nie ma.

Jej już nie ma.

Mam ochotę powiedzieć to, co wszyscy: „Przykro mi”. Tak łatwo to przychodzi, niemal automatycznie.

Ale nie mówię.

– Chciałabym ci jakoś pomóc.

Damon ściska moją dłoń.

– Pomogasz, Melanie – zapewnia mnie ochryłym głosem. – Uwierz mi.

Pod wpływem impulsu całuję Damona w policzek – ledwie muskam go wargami, tak by to poczuł. Gdy się odsuwam, wpatruje się we mnie zapamiętale, przesuując wzrokiem po mojej twarzy.

– Uważam, że ludzie powinni je zobaczyć – oświadczam. – Nie tylko my.

Damon mruga powoli, i już wiem, że nigdy tego nie rozważał.

– Mów o mnie tak, jak jestem – szepcze.

Przyglądam mu się przez chwilę, czekając, aż elementy układanki wskoczą

na swoje miejsce.

– Właśnie – przytakuję.

Na oglądaniu zdjęć schodzą nam całe godziny. Na dole dom ożywa dźwiękami szykowanego posiłku, ale żadne z nas nie daje się skusić perspektywą jedzenia. Gdy mama Damona wchodzi na górę, by zawołać go na kolację, siedzę cicho, a Damon krzyczy przez drzwi, że nie czuje się za dobrze, co zresztą nie jest do końca kłamstwem.

Cienie pną się w górę po ścianach, a my zasypiamy na łóżku usłanym zdjęciami.

W środku nocy budzi mnie światło księżyca sączące się przez niezastłonięte szyby. Jest zimno; leżę opatulona kocami naciągniętymi pod brodę, ale nie chcę zamykać okna. Lubię czuć chłodne powietrze na twarzy pachnące rozpalonymi kominkami, sosną i nadchodzącą zimą.

Od Damona bije ciepło; leży obok i obejmuje mnie w pasie. Czuję jego oddech na szyi. Tak mi błogo, tak przyjemnie.

Czy powinnam się tak czuć? Czy powinnam się tak czuć, wiedząc, że ich nie ma?

– Hej – szepcze Damon.

– Hej – odpowiadam, a on odgarnia mi włosy z oczu.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Przełykam nerwowo ślinę.

– Tęsknię za nią. Bardzo mi jej brakuje.

Słyszę, jak nabiera powietrza, a potem wolno je wypuszcza.

– Pewnie jej ciebie też – pociesza mnie.

– Myślisz, że to kiedyś...

– Minie? Nie, nie wydaje mi się. Gdy kogoś kochasz, smutek po stracie tej osoby nigdy cię nie opuszcza.

Zamykam oczy i próbuję oddychać. Czuję, jak Damon wodzi opuszkami palców po mojej twarzy, delikatnie, powoli.

– Wiesz, że możesz mi o niej opowiedzieć – zachęca. – Kiedy tylko będziesz chciała. Wysłucham cię.

Wypuszczam powietrze z płuc. Łzy spływają mi po policzkach.

Mogę się rozsypać. Mam do tego prawo.

„Pozwól, by cię zobaczyli”.

– Mama zostawiła mi list – zacznę.

Damon patrzy na mnie w skupieniu. Słowa więzną mi w gardle.

– Co w nim napisała?

Wszystko.

Szkoda, że nie mogę jej odpisać: „Mamo, masz rację. Przytłaczałaś swoją osobą, i to nie czasami, a cały czas. Niekiedy miałam wrażenie, że inni nie mogą

mnie zobaczyć, bo widzą tylko ciebie. Ale nawet jeśli tego chciałam – jeśli chciałam, by było inaczej, bym ja była inna – to nigdy w ten sposób. Nie chciałam tego bez ciebie”.

– Napisała – podejmuję – że jestem piękna i utalentowana.

– To prawda – przerywa mi Damon i posyła głupkowaty uśmiech, gdy mrużę oczy. – Przepraszam, kontynuuj.

– Napisała, że powinnam być sobą i pozwolić, by inni mnie zobaczyli.

Napisała...

Urywam, bo łzy cisną mi się do oczu.

– Nie musisz...

– Muszę – protestuję.

Nabieram głęboko powietrza i mówię:

– Napisała, że nie jestem sama.

– Bo tak jest, Melanie – zapewnia mnie szeptem. – Nie jesteś sama.

Bierze mnie w ramiona i przytula, otaczając sobą.

Chciałabym wierzyć, że mama wciąż egzystuje między tu i teraz a tym, co może być po, i z tego miejsca obserwuje, jak my, żywi, wszystko psujemy. Czasami się śmieje, czasami płacze, ale głównie odpoczywa i się objaja; korzysta z wygod i spokoju, którego, żyjąc, nigdy nie zaznała, bo zawsze miała coś do zrobienia, zawsze musiała gdzieś być, kogoś zadowolić.

Nie wiem, jak to działa, ale mam nadzieję, że gdziekolwiek teraz przebywa, towarzyszy jej dobra muzyka: taka, do której może potańczyć, pokołysać biodrami – szu, szu – powywijać nadgarstkami i śmiejąc się, zarzucać włosami. Chcę wierzyć, że Etta James też tam jest i całe niebo rozbrzmiewa jej głosem, bo niebo bez Etty nie byłoby niebem. Mamie by się to spodobało, cieszyłaby się, będąc w miejscu, gdzie nieustannie mogłaby się wyginać i płasać z nieskończoną liczbą partnerów do tańca, gdzie wszyscy sączyliby drinki, a muzyka nigdy by nie cichła.

Oby mogła tam też malować, nasycać świat swoimi kolorami, rozsiewać je po całym niebie i ziemi, rozpraszać w powietrzu. Może któregoś dnia zabiorę te wszystkie pordzewiałe puszki z farbą z piwnicy i znajdę dla nich miejsce w swoim pokoju. Zacznę rysować i malować, a ona będzie się temu przyglądać, nieważne skąd i jak.

Zawsze będzie blisko mnie. Nigdy jej nie zapomnę, a ona nigdy nie odejdzie.

Zostanie ze mną na zawsze.

Rankiem budzę się przytulona do Damona, z głową wspartą na jego piersi jak na poduszce. Przez chwilę leżę bez ruchu, wznosząc się i opadając w rytm jego miarowego oddechu.

– Damon – szepczę. – Powinnam iść do domu.

– Mmm – mówi przez nos i otrząsa się ze snu. – Nie chcę jeszcze wstawać.

– Nie musisz – odpowiadam. – Ale jeśli nie wrócę do domu, ojciec zadzwoni

na policję.

Mruga. Jego oczy są jeszcze zamglone od snu, ale nadal mienia się odcieniami zieleni, jak drzewa, liście i inne rośliny.

– Chciałbym się z tobą jeszcze zobaczyć – mówi.

– Ja też – odpowiadam.

– Jeszcze dziś – wyjaśnia. – Chciałbym porobić ci zdjęcia. Tym razem tak normalnie.

– Nie jak jakiś chory psychofan? – dodaję z uśmiechem, a Damon oblewa się rumieńcem.

– Myślę raczej o czymś w rodzaju niepozowanej sesji – tłumaczy.

– Szkoda. W pewnym sensie podobało mi się, że mam własnego paparazzo.

Damon uśmiecha się, leniwie unosząc kąćki ust, i zanim będzie za późno, całuję go, by nie mógł nic dodać.

– Dziękuję – mówię. Jestem pewna, że wie za co.

Damon

Carlos, brachu, jeśli patrzysz...
To teraz uważaj.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Niedziela rano. Budzę się po raz drugi. Z dołu dobiega tupot krzątających się rodziców i zapach świeżo parzonej kawy. Przewracam się na drugi bok i zakopuję w pościeli, próbując odzyskać utracone ciepło. Melanie wyszła. Wiedziałem, że pójdzie, ale i tak dziwnie się z tym czuję; moje ciało stara się wypełnić lukę, którą po sobie zostawiła.

Wszędzie walają się zdjęcia: pod kołdrą, na kołdrze, w poszewce poduszki, na parapecie i na podłodze. Wstaję z łóżka i, człapiąc ciężko po pokoju, zaczynam je zbierać, wytrząsając z pościeli i wygrzebując ze szpar, w które powpadały, po czym układam je w stosik.

Podnoszę aparat z biurka, by sprawdzić poziom naładowania baterii. Do spodu korpusu przywarło jeszcze jedno zdjęcie. Odrywam je i zbliżam do oczu. Jest czarno-białe, widać jedynie zarys sylwetki, cień na śniegu. Jego kształt przypomina kredowy obrys ciała na chodniku w miejscu zbrodni. Wyteżam wzrok – wygląda znajomo. Pamiętam.

– Nigdy nie strzelasz sobie fotek. Nie lubisz autoportretów? – spytałem Carlosa, gdy brnęliśmy przez śnieg; biały puch skrzypiał pod naszymi brudnymi butami.

– Autoportrety są nudne. Nie ma tu nic ciekawego do oglądania – zadrwił.

Jednak kilka minut później zatrzymał się, podniósł aparat i zrobił zdjęcie. Tylko jedno. Sądziłem, że po prostu fotografuje śnieg, ale teraz wiem, że nie.

„Nie ma tu nic ciekawego do oglądania”. Odsuwam zdjęcie. To o to chodziło, prawda? Carlos widział wokół siebie tyle rzeczy, tyle bólu, tyle piękna. Nie potrafił jednak dostrzec siebie, swojego prawdziwego ja. Widział jedynie cienie na śniegu, kontury, zarysy i ciemną pustkę w środku.

Bał się tego, co ujrzy, kierując na siebie aparat.

Nie mogę ich włożyć z powrotem do pudełka. Melanie ma rację, nie powinienem ich chować.

Nie mogę już dłużej chować twoich sekretów, stary.

D., daj im odetchnąć. Uwolnij je.

Drzę, słysząc te słowa. Obracam się dookoła, ale pokój jest pusty.

Oczyma wyobraźni widzę scenografię z naszej sztuki, wysokie mury zamku, a gdzieś w oddali samotne drzewo – dzieło Melanie. Gdy stoję na scenie, czuję się jak to drzewo, osamotniony i przerażony. Ale wcale nie muszę się tak czuć.

Carlos nie musiał...

Upuszczam zdjęcie na biurko i sięgam po telefon. Wysyłam esemesa do Melanie i prawie natychmiast otrzymuję odpowiedź:

„Dobry pomysł. Wpadnij później do restauracji”.

Melanie pracuje na wieczorną zmianę. Restauracja pachnie sokiem limonkowym i tłuszczem. Wracając z toalety, nieomal wpadam na Macho, który akurat strzela focha.

– Jak można pracować w takim młynie? – wścieka się, wymachując rękoma.
– Istny dom wariatów.

Uskakuję w bok, a on skręca do kuchni. Przez otwarte drzwi widzę, że Melanie prawie się z nim zderza, ale w ostatniej chwili gwałtownie się uchyla. Wkłada naczynia do jakiejś kadzi z pomyjami i wychodzi pospiesznie z kuchni. Siadam przy stoliku z Tristanem, który czyta tekst na kolanie i bezmyślnie przeczesuje ręką włosy.

– Halo, kelnerka! – wołam, gdy obok przechodzi Melanie.
Wystawia język i idzie dalej, ale wraca po kilku minutach z jedzeniem.
– Wiem, że zamówisz frytki, więc masz i się wypchaj – rzuca i podsuwa mi talerz z górą parujących frytek, a drugi upuszcza na stół przed Tristanem. – A dla kolegi kretna burger.

– Zawsze się tak odzywasz do klientów? – pytam. – Toż to skandal!
– Jakość obsługi w tym lokalu zeszła na psy – narzeka Tristan.
– O proszę, znalazły się dwie zrzędy – kpi Melanie. – Ciekawe, co powiecie, jak skończy się darmowa wyżerka!

Posyłam jej szeroki uśmiech.
– Kochamy cię, Melanie – próbuję ją udobruchać. – Dlatego się z tobą drażnimy.

– Czy ja wiem? Po prostu miałem ochotę na burgera – wtrąca Tristan. – Od zakuwania kwestii człowiek głodnieje.

– Jak to mówią, piekielny tydzień przed premierą. Nie powiem, trafna nazwa.

– Akurat ty nie masz się czym stresować – prychna Tristan i przewraca oczami. – Drugiego dnia prób miałeś już wszystko wykute na pamięć.

– Nic nie poradzę, że lubię tę sztukę – odgryzam się.
– Hej, choć miło się z wami gawędzi, to jednak muszę spadać... wicie, praca i takie tam. – Melanie wskazuje gestem pełną restaurację. – Smacznego.

Odwraca się i już chce odejść, ale łapię ją za nadgarstek.
– Widzimy się później, tak? – upewniam się. – Obiecałaś.

Potwierdza ruchem głowy, jej oczy nagle ciemnieją.
– Tak, wiem, obiecałam.

Kilka godzin później marzniemy pod drzwiami sali gimnastycznej naszego liceum; Melanie robi wielki show, dmuchając w dłonie i pocierając je o siebie, by je ogrzać. Nadal ma na sobie robocze ubranie. Pachnie słodko, trącąc lekko potem. Mam ochotę nachylić się i ją polizać.

– Muszę przyznać, że trochę martwi mnie brak ochrony w tej szkole –

oznajmia Melanie. – Gdzie są napakowani ochroniarze? Trzymam tu mój podręcznik do historii. Co, jeśli ktoś go ukradnie? Byłoby fatalnie. Jest zdezaktualizowany tylko o dziesięć lat! Może mieć wartość kolekcjonerską.

– Możesz się już nie dowiedzieć, kto tak naprawdę zastrzelił Johna Kennedy’ego – zauważam.

– Proszę, tylko nie zaczynaj tego tematu z Tristanem – ostrzega Melanie, majstrując wsuwką w zamku, który w końcu daje za wygraną. – Mała rada: jeśli będziesz udawał, że go słuchasz, w końcu przestanie przynudzać, ale trochę to potrwa.

– Postaram się zapamiętać.

– To jaki jest plan? – pyta Melanie, gdy przechodzimy przez salę gimnastyczną i przemierzamy korytarz; świeżo umyte linoleum skrzypi pod naszymi butami. Przeciskamy się przez drzwi prowadzące do sali teatralnej i, mijając rzędy krzeseł, znikamy za kulisami.

Scenografia jest już gotowa; tworzy złudzenie murów zamku otoczonych drzewami.

Wyciągam tekturowe pudełko.

– Pomyślałem, że można by je powiesić na szarym tle, żeby je wypełnić – wyjaśniam.

– Żeby zamek był trochę mniej samotny? – dodaje Melanie.

– W pewnym sensie. Po prostu chcę mieć je blisko, gdy będę na scenie.

Chcę mieć blisko siebie Carlosa.

Spoglądam w oczy Melanie i wiem, że nie muszę tego mówić.

– Myślę, że będzie super – stwierdza.

– Mam taką nadzieję – przytakuję.

– A w bonusie Calvin dostanie szau.

– To dopiero bonus! – wtóruję.

Unoszę wieczko i wysypuję wszystkie zdjęcia na podłogę.

– No dobrze. Raz kozie śmierć!

Melanie chwyta mnie za nadgarstek – no już, spokojnie – i ściska.

Przez kilka minut przyklejamy zdjęcia w rogach i wokół wolnostojących dekoracji.

Jesteśmy tak pochłonięci pracą, że nie słyszymy zbliżających się kroków.

– Co tu robicie? Co to jest?

Z ciemności wyłania się pani McAvoy.

Cholera.

Chyba nie do końca to przemyśleliśmy.

– Damon, Melanie? – Wchodzi po schodach na scenę i patrzy na nas pytająco. – Co...

– Mogę to wytłumaczyć – Melanie i ja wrywamy się jednocześnie.

Pani McAvoy unosi brwi.

– Zamieniam się w słuch.

– To był mój pomysł – odzywam się. – Pomyślałem, że przyda się tu coś jeszcze. Żeby wypełnić luki.

Bujda na resorach! Widzę, że pani McAvoy jej nie kupuje. Nie jest idiotką. Pochyliła się, poprawiając okulary na nosie, i przygląda się zdjęciom.

– Są piękne – mówi wreszcie.

Na dźwięk tych słów wypełnia mnie duma. Jestem dumny z Carlosa. I taki smutny, że on tego nie słyszy.

– Cieszy mnie twoja inicjatywa – zwraca się do mnie pani McAvoy – ale wolałabym, żebyś zapytał mnie o zgodę, zanim zacząłeś przypinać tu swoje zdjęcia. Nie taki był pierwotny zamysł scenografii, i trochę za późno na wprowadzanie zmian...

– To nie są moje zdjęcia – poprawiam ją. – Zrobił je mój przyjaciel Carlos.

Pani McAvoy przechyliła głowę w zdziwieniu.

– Też się tu uczy?

– Niestety nie – odpowiadam. – Carlos nie żyje.

Jej twarz nagle blednie, tak jak dzieje się zazwyczaj, kiedy ktoś dowiaduje się o czyjejs śmierci w trakcie skądinąd miłej, sympatycznej rozmowy; maluje się na niej wyraźna bezradność.

– Och – mówi cicho.

Widzę, że jest zmieszana. Nie powinno się stawiać ludzi w takiej sytuacji, bo nigdy nie wiadomo, co wtedy powiedzieć. Żadne słowa nie wydają się odpowiednie.

Podnosi na mnie wzrok.

– Damon – podejmuje – czy to dlatego tak bardzo przeżywałeś sceny śmierci?

Zaciska mi się gardło. Czuję na sobie wzrok Melanie.

Oddycham głęboko.

„Jeśli będziesz chciał porozmawiać, daj mi znać” – słyszę w głowie słowa pani McAvoy.

Cały czas mam wrażenie, że nikt tego nie widzi, ale to nieprawda.

Oni widzą.

– Tak – przyznaję. – Właśnie dlatego.

Pani McAvoy kiwa głową ze zrozumieniem, a jej twarz łagodnieje. O nic więcej nie pyta. Nie draży tematu.

– Rozumiem, dlaczego chcesz je tu powiesić, ale to chyba nie jest dla nich odpowiednie miejsce. Inni ich nie dostrzegą, jeśli będą tak ukryte, a uważam, że powinni je zobaczyć. Co powiesz na to, żeby umieścić je w gablocie na korytarzu? Zrobić taką wystawę na jego cześć? Zdjęcia naszych sportowców chyba wiszą tam

już dość długo.

– Owszem – potwierdza Melanie. – Całe wieki.

Pani McAvoy uśmiecha się.

– Porozmawiam, z kim trzeba, żeby je przynajmniej gdzieś przenieść.

Moje serce przyspiesza. Zrobię to. Uhonoruję Carlosa. Sprawię, że go zapamiętają, że zostanie po nim ślad, a nawet wiele śladów, jakie pozostawił na mnie: znaki, kreski, pociągnięcia pędzlem, trwałe i prawdziwe, lecz nie blizny.

– Pani McAvoy? – słyszę głos Melanie.

– Tak, Melanie?

– Tak sobie myślę, że skoro urządzamy wystawę... nie, żeby zdjęcia Carlosa nie były świetne i w ogóle, ale... może inni też mogliby dodać coś od siebie. – Melanie spuszcza wzrok i wbija go w podłogę. – By uczcić pamięć innych osób, które stracili.

Pani McAvoy wygląda na przytłoczoną tym pomysłem, ale nie jest zdenerwowana.

– Sądzisz, że znajdzie się ktoś, kto też chciałby złożyć taki hołd?

– Tak – oświadcza Melanie. – Ja.

Odprowadzam Melanie do domu. Trzyma mnie za rękę; tak mi dobrze, gdy jest blisko. Nie rozmawiamy. Gdy zachodzimy pod drzwi, czuję, że zaraz pęknę od ogromu rzeczy, które chcę jej powiedzieć, lecz nie wiem jak.

– Przeszkadza ci to? – pyta nagle Melanie. – Wolałbyś, żeby na wystawie były tylko zdjęcia Carlosa?

– Oczywiście, że nie – zapewniam, ściskając jej dłoń. – Melanie, nigdy w życiu. Im więcej, tym... cóż, może nie weselej, ale...

– Mniej samotnie – dopowiada.

– Właśnie.

Całuję ją lekko i delikatnie, a gdy się odsuwam, na jej ustach pojawia się uśmiech.

Budzę się rankiem w dniu premiery i przez dłuższą chwilę wpatruję się w sufit: kolejne wersy przewijają mi się przed oczami jak na taśmie telegraficznej. Tekst tak naprawdę nigdy nie stanowił dla mnie problemu. Zapamiętać jest łatwo. Trudniej jest zapomnieć.

Na szafce nocnej brzęczy mój telefon. Sięgam po niego i otwieram klapkę.

Odczytuję wiadomość od Melanie: „Nie stresuj się. Będziesz świetny”.

Uśmiecham się. Już mam odpisać, gdy nagle komórka ponownie wibruje.

„Etta ujęła to najlepiej: Zaufaj mi, cokolwiek robisz / Zaufaj mi tak, jak ja ufam tobie”.

Odpisuję: „Gotowa na występ?”.

Nie chodzi mi wcale o przedstawienie i Melanie o tym wie.

Mija kilka minut, zanim odpowiada.

„Nie wiem, chyba”.

„Nie musisz się wstydzić tego, co czujesz” – pocieszam ją. „Usłyszałem to kiedyś od kogoś bardzo mądrego”.

Ubieram się i po chwili odbieram kolejną wiadomość od Melanie:

„Panie Lewis, z takimi pochlebstwami na pewno daleko zajdziesz”. A potem jeszcze dodaje: „Ważne, że po wszystkim będziemy razem”.

Zjawiam się w szkole dwie godziny przed planowanym rozpoczęciem przedstawienia. Większość ludzi z obsady i ekipy jest już na miejscu.

Nie zebrali się jednak na zapleczu. Stoją na korytarzu przed salą teatralną, tam, gdzie umieściliśmy zdjęcia Carlosa.

Nie wystawiłem ich wszystkich. Wybrałem te, które najlepiej oddawały jego styl, najbardziej go przypominały. Kilka przedstawiających moją rodzinę, mnie i jego ulubione miejscówki w mieście. Te, które zrobił w Anacostii. Jego cień na śniegu; Carlos i jego wizualne echo.

Carlos w wersji nieokrojonej. Nawet to, na co trudno mi patrzeć. Nawet to, czego przez długi czas nie dostrzegałem.

Obok fotografii na karteczce napisałem: *Zdjęcia autorstwa Carlosa Antonia Remediosa Ruiz-Gutierrezza (1999-2016)*.

„Stary, masz chyba najdłuższe nazwisko na świecie” – droczyłem się z nim, a on mnie popychał i rzucał z przekąsem: „Wiesz, co mówią? Im dłuższe nazwisko, tym...”. Ale zanim dokończył, zasłaniałem mu usta dłonią.

Przesuwam wzrok w górę. Nad karteczką z jego nazwiskiem widzę zdjęcie, które dałem Melanie, to, które sam mu zrobiłem wiele miesięcy temu. Carlos i ten jego szatański uśmieszek.

To wspomnienie spada na mnie jak grom z jasnego nieba i uderza z taką siłą, że niemal odbiera mi dech.

Carlos, naćpany chłopak przeklinający mnie w parku, który raz mnie odpychał, a raz przyciągał. Był zdesperowany i bardzo skryty; na zawsze pozostanie dla mnie tajemnicą, wielką zagadką, niewiadomą x, której nigdy nie odgadnę.

Ale był też taki jak tu.

Czasami był szczęśliwy.

– Tak będzie dobrze? – pyta Melanie i nagle dociera do mnie, że stoi obok.

– Idealnie – odpowiadam szczerze.

Przenoszę wzrok na serię rysunków wyeksponowanych obok fotografii. Przedstawiają tę samą kobietę, ale coraz chudsza; delikatne rysy jej okrągłej twarzy stają się coraz ostrzejsze, surowsze. Jest piękna, ale też z każdym kolejnym szkicem coraz bardziej upiorna, jej oblicze posepnieje, w miarę jak gaśnie.

– Wow, Melanie, są obłędne – mówię zgodnie z prawdą.

Już wiem: ona umiera.

– To moja mama – oświadcza Melanie.

Po raz pierwszy widzę jej mamę. Melanie ma jej oczy. Nie chodzi tylko o kształt i kolor, ale także o to coś, co się w nich czai. Mądrość. Zrozumienie.

– Rany, Melanie – szepczę, obejmuję ją w pasie i przyciągam do siebie. Stoi sztywno wyprostowana, lecz po chwili się rozluźnia i przytula do mojego boku. – Jest piękna – dodaję.

Melanie nabiera głęboko powietrza, a potem je wypuszcza.

– Melanie? – słyszę za plecami. To Max. Nigdy wcześniej nie widziałem jej tak poważnej. – Wybacz, że się wtrączę... To twoja mama?

– Uhm – potwierdza Melanie. Wypuszczam ją z objęć, ale nadal trzyma się blisko mnie.

Max zerka na karteczkę obok rysunków z napisem: *Dana Marie Ellis (1968-2016)*.

– Zmarła w tym roku! – zauważa Max, nie kryjąc zdziwienia. – Tak młodo.

– No – potwierdza Melanie. Widzę, jak przełyka ślinę.

Max wyciąga rękę i zaciska dłoń na nadgarstku Melanie.

– Mój tata zmarł kilka lat temu – wyznaje. – To były najcięższe chwile w moim życiu.

Melanie wygląda na zasmuconą.

– Tak mi...

– Nie kończ, nie mów, że ci przykro. Proszę – przerywa jej Max. Podchodzi i zamyka Melanie w uścisku, a gdy się odsuwa, pyta: – Mogłabym też coś przynieść i tu wystawić? Tata kochał muzykę i...

– Oczywiście – odpowiadam bez wahania. – Każdy może dodać coś od siebie.

– Gdy zmarła moja babcia, zrobiłem dla niej koc – wtrąca Tristan. Stoi jakiś metr od nas ze wzrokiem utkwionym w rysunkach Melanie. – Nie jest za ładny, ale...

– Nie miałam pojęcia – dziwi się Melanie.

– Cóż, nie wiesz o mnie wszystkiego – odparowuje Tristan, posyłając jej wymowny uśmiech.

Melanie chwyta go za rękę, lekko ściskając.

– To co, że nie jest ładny. Nie musi taki być – stwierdza. Wiem, że mówię o kocu, ale chyba nie tylko o nim.

O wszystkim, co pozostaje po czyjejś śmierci.

Być może z Carlosem mogło być inaczej – nie tylko, gdybym wiedział, lecz gdyby on też wiedział. Gdyby wiedział, że nie jest sam. Gdyby wyciągnął rękę po pomoc, inni by mu ją podali.

„Do dzieła!” – słyszę w głowie głos Carlosa. Stoi ze stopami zaklinowanymi między prętami balustrady mostu i z rozpostartymi rękoma wychyla się tak mocno

do przodu, że wstrzymuję oddech z przerażenia. „Pokażmy światu, jacy jesteśmy”.

Przed spektaklem Melanie zakrada się za kulisy. Stoję częściowo ubrany, w dopasowanych spodniach w purpurowe paski i podkoszulku – pół ja, pół mauretański książe.

– O, kogo ja widzę! – wykrzykuję. Chwytam ją w pasie i przyciągam, łącząc nasze usta w pocałunku.

– Fuj, ohyda – zżyma się Tristan, przepychając się obok nas z dwoma mieczami. – Obściskiwanie się za kulisami jest takie wieśniackie.

– Spadaj, Tristan – warczę, a on dźga mnie w bok jednym z rekwizytów.

– Hej, rozumiem, że Melanie jest jakby twoją Desdemoną – ciągnie dalej Tristan – ale, jeśli nie pamiętasz... ta historia nie skończyła się za dobrze. Tylko uprzedzam.

Spoglądam na Melanie.

– Melanie nie jest moją Desdemoną – mówię szeptem. – Jest moją Melanie.

Tristan udaje odruch wymiotny i czmycha za kotarę, w ostatniej chwili ratując się przed kopniakiem w rzepkę.

– Świrus! – docina mi Melanie.

– Być może, ale i tak mnie lubisz – drażnię się z nią. – I to bardzo.

Tym razem Melanie całuje mnie lekko w kącik ust.

– Fakt, lubię cię – przyznaje. – Czasami.

Prycham wyniośle, zaciskając palce na jej talii.

– Połamania nóg – dodaje.

– Jest szansa – odpowiadam, szczerząc zęby w uśmiechu. – Podobno scenografia to jedna wielka prowizorka.

Melanie przewraca oczami i już zamierza odejść, ale łapię ją za rękę.

– Dziękuję – szepczę, a Melanie spogląda na mnie czule.

– Nie musisz mi za nic dziękować.

Nie odrywam od niej wzroku. W głowie zamykam Melanie w kadrze, spoglądam w wizjer i odnajduję ją – znika sztuczny dym i lustra, znikają dekoracje, znikają zapamiętane wersy i wszelkie fasady. Myślę o jej oddechu owiewającym moją twarz, o moich dłoniach wplątanych w jej włosy, o moich ustach – chłodnych i suchych – odciskających się na jej policzku.

Myślę o tym, jak trzyma moją dłoń, o jej palcach splecionych z moimi i kciuku delikatnie muskającym moją skórę.

„Nie jesteś sama. Nie jesteś sama. Nie jesteś sama”.

– Po wszystkim będę czekać – oświadcza Melanie i odchodzi.

Wchodzę w skórę Otella. To nadal przerażające uczucie.

Lecz próżna chwamba! Kto swój los przemoże?

Nie tak jest dzisiaj. Nie lękaj się miecza,

Bo tu jest koniec, tu cel mych podróży,

Dla żagli moich tu port jest ostatni.

Ani razu się nie zacinam. Znam i rozumiem wszystkie kwestie, wiem, gdzie należy stanąć na scenie. Rozumiem Otella. Rozumiem jego dumę i gniew, jego prostoduszność, jego naiwną i niezachwianą wiarę w ludzi. Rozumiem jego styl wypowiedzi, tę nietypową jak na Szekspira bezpośredniość, szczególnie uderzającą w sztuce, w której tak niewielu mówi to, co naprawdę myśli. Rozumiem jego miłość do Desdemony, jego żołnierską determinację, niepokój i irracjonalne obawy.

Rozumiem, że to sztuka o zazdrości, o smutku i żalobie, o kochaniu kogoś na przekór światu.

Gdy dochodzimy do sceny drugiej aktu piątego, czuję prawdziwe zmęczenie; to więcej niż wyczerpanie, to ten dziwny stan, w którym wszystko rozmywa się przed oczami. Już mam wygłosić mowę końcową, gdy nagle widzę Carlosa. Siedzimy spoceni w łodzi i śmiejemy się. Pamiętam naszą rozmowę:

– Tępak, na „raz” masz ciągnąć.

– A co niby robię? Nie moja wina, że jesteś w tym beznadziejny.

– Ja jestem beznadziejny? Ja...?

Popchnąłem Carlosa, a on odwzięczył się tym samym, mówiąc:

– Boisz się mnie? Boisz się, prawda? Budzę w tobie lęk.

Ponownie go szturchnąłem, zanosząc się śmiechem.

– Pewnie, Carlos, takie z ciebie chłopisko, że trzęsę przed tobą portkami...

Gdy wysiedliśmy z łodzi, Carlos otoczył mnie ramieniem i przyciągnął do siebie, szepcząc mi na ucho:

– Współpraca, Lewis. Pamiętaj. Dopóki będziemy grać zespołowo, nikt nas nie pokona.

– Nie inaczej! – odparłem i wyszczerzyłem zęby w uśmiechu, który już chyba nie mógł być szerszy.

Wielka szkoda, że mam jego aparat, lecz nie mam Carlosa.

Zrobiliśmy za mało wspólnych zdjęć.

Przepraszam cię za to, stary.

Naraz zdaję sobie sprawę, że wcale nie potrzebuję tych wszystkich fotografii z tyłu. Carlos jest cały czas przy mnie.

– Błagam cię, w twych listach – zaczynam drżącym głosem jako Otello – opowiadając te straszne wypadki, mów o mnie tak, jak jestem; nic nie ujmij, lecz nic nie dodaj przez złośliwość serca. Mów, że niemądrze, ale zbyt kochałem; obcy zazdrości, gdy ją raz uczulem, ostateczności dosięgnąłem granic; że jak Indianin głupi odrzuciłem perłę...

Urywam. Drapie mnie w gardle.

„Mów o mnie tak, jak jestem”.

Carlos nigdy mnie o to nie prosił, ale właściwie, gdy o tym pomyślę, nie

prosił mnie o wiele rzeczy.

Zaczynam płakać. Czuję, jak łzy spływają mi po policzkach, naznaczając mnie, dając jawny wyraz mojej rozpacz.

Brakuje mi ciebie. Bardzo.

– Wszystko to opowiedz – recytuję dalej. – A dodaj potem, że niegdyś, w Alepie, złośliwy Turek, z turbanem na głowie, szydził z Wenecji, krzywdząc jej mieszkańca, jam za kark chwycił psa obrzezanego i tak go skarcił!

Gumowy sztylet dźga mnie w żebra; czuję ból, ale mam to gdzieś. Gdy upadam, w głowie kołacze mi tylko jedna myśl: „Już po wszystkim, to koniec”.

Za kulisami panuje wrzawa: członkowie obsady kręcą się i przekrzykują, składając gratulacje i poklepując mnie z uznaniem po plecach. Max przybija mi piątkę, Lacey całuje w policzek.

Odwracam się i widzę Pragę. Stoi zgarbiony w kącie z dziwnym wyrazem twarzy i rękoma wbitymi w kieszenie workowatych dżinsów. Podchodzę do niego, a on unosi podbródek w geście powitania.

– Czyżbyś miał lukę w swoim napiętym grafiku towarzyskim? – pytam, unosząc brwi.

Praga wzrusza ramionami.

– Doszły mnie słuchy, że grasz główną rolę. Uznałem, że lepiej wybadam sprawę.

– I jak brzmi werdykt? – pytam.

– Otello to niezły kozak – oświadcza. – Popaprany, ale kozak.

Trudno się z tym nie zgodzić. Posyłam mu krzywy uśmiech. Jest w porządku.

– Widziałem wystawę – dodaje. – Stary, te zdjęcia są w dechę. Carlos był naprawdę spoko.

„Nie chcę, żebyś został z tym sam” – powiedział mi kiedyś Praga.

Wtedy nie byłem gotowy, nie chciałem go słuchać, ale teraz słucham.

– Ano. Był – przytakuję.

Poklepuję kuzyna po ramieniu, a on, ku mojemu zdziwieniu, przyciąga mnie do siebie i mocno przytula.

Kątem oka dostrzegam Tristana. Stoi sam, na uboczu. Czyżby jego rodzice nie przyszli? Słabo. Podnoszę wzrok i nasze spojrzenia się spotykają. Tristan nagle rozpromienia się i rusza w moim kierunku.

– Brawo, byłeś niesamowity – stwierdza z uznaniem.

– Ty też – zauważam.

– No pewnie! A czego się spodziewałeś?

Melanie zachodzi Tristana od tyłu, obejmuje go i ścisza tak mocno, że ten aż piszczy.

– Oto on, mój najukochańszy palant zadurzony w dziwce – oświadcza

z miłością.

– Czegoś takiego nie słyszy się codziennie – ripostuje i lekko ją przytula.

Melanie wyplątuje się z jego objęć i rzuca mi się na szyję, szepcząc:

– Udało ci się.

Chodzi jej o mój występ, ale nie tylko.

Stoimy tak pośrodku chaosu, przytulając się. Czuję jej dłoń na moim karku i włosy łaskoczące mnie w policzek. Oddycha, i ja też oddycham; oddychamy razem.

Udało mi się.

Wiem, co czujesz, stary. Naprawdę.

OD AUTORKI

Zanim rozpoczęłam studia w California College of the Arts, mój były chłopak zabił się – dokładnie trzy tygodnie wcześniej. Byłam ostatnią osobą, z jaką rozmawiał, choć nie spotykaliśmy się już prawie od roku. Byliśmy ze sobą przez przeszło pięć lat, znaleźliśmy się od dziesięciu i bardzo boleśnie odczułam jego stratę. Tak bardzo, że musiałam napisać o tym książkę. Tak bardzo, że wyznaczyło to dalszy kierunek mojej kariery. Tak bardzo, że nadal ciężko mi o tym mówić, nawet po tylu latach.

Żałoba to proces skomplikowany, zwłaszcza jeśli wiąże się z utratą bliskiej osoby, która popełniła samobójstwo. Takiej stracie często towarzyszy poczucie wstydu i winy, wielu ludzi woli o niej nie rozmawiać, zachować ją w tajemnicy. Jednak kłopot z tajemnicami jest taki, że im głębiej pragniemy je ukryć, im bardziej nie chcemy mówić o tym, co lub kogo straciliśmy, tym bardziej czujemy się samotni. Żałoba zawsze jest trudnym doświadczeniem, ale najtrudniej przeżywa się ją w samotności. Dlatego właśnie organizujemy i odprawiamy zbiorowe rytuały, takie jak pogrzeb.

Żałoba jest równie skomplikowana, kiedy tracimy kogoś wskutek choroby, takiej jak rak. Świadomość tego, że ktoś odchodzi powoli, wcale nie sprawia, że jest nam łatwiej, niż kiedy śmierć odbiera nam kogoś nagle, na pozór bez ostrzeżenia. Mój terapeuta powiedział mi kiedyś: „Na żałobę nie ma mocnych”. To prawda. Nie mamy wpływu na to, jak się czujemy, kiedy tracimy bliską osobę, ani na to, kiedy dopada nas smutek i jak się manifestuje. To nie my sterujemy naszym emocjonalnym rollercoasterem – możemy się tylko mocno trzymać, żeby nie stracić głowy.

Żałoba może nas także wiele nauczyć. Mnie nauczyła przede wszystkim, że warto wyciągnąć rękę po pomoc, choć czasem trudno się na to zdobyć. Liczyłam, że pisząc tę książkę, pomogę Ci, drogi Czytelniku, zrozumieć, że nie jesteś sam, że Twój ból jest prawdziwy i że można się z nim uporać. Nie bój się zwrócić o pomoc. Gdy to zrobisz, przekonasz się, że wiele osób również przeżywa bądź przeżywało to samo co Ty.

PODZIĘKOWANIA

Przez całą drogę do wydania tej książki towarzyszyło wiele osób. Jestem dozgonnie wdzięczna wszystkim, którzy przyczynili się do jej powstania.

Pragnę podziękować z całego serca wszystkim młodym ludziom, z którymi pracowałam przez tyle lat, którzy mnie inspirowali i nauczyli, jak radzić sobie z traumą, jak przetrwać i żyć dalej pomimo wielkiej straty. Wasze historie i Wy sami jesteście wyjątkowi, cudowni i niesamowici.

Na wyrazy uznania zasługują także moi mentorzy i profesorowie, bez których pomocy ta książka nie ujrzałaby światła dziennego: Donna de la Perriere, Holly Payne, John Laskey, Aimee Phan, Rebekah Bloyd.

Dziękuję moim niezłomnym przyjaciółom i fanom, członkom Klubu Książki, zarówno z bliska, jak i z daleka, którzy poświęcili tyle czasu, omawiając tę książkę, czytając wstępne szkice, i nie stracili w nią wiary, nawet gdy sama byłam gotowa się poddać. Emily Rosendahl, Katherine Wooten, Anna Alves, Sarah Carter, Shana Naomi Krochmal, Jessica Maxwell, Erica Dessenberger, Siobhan McKiernan, Laurence Zavriew i Ash Rocketship – jesteście wielcy!

Chcę podziękować moim kolegom po piórze z California College of the Arts za ich uwagi i inspirację, szczególnie zaś Matthew Jentowi i Beth Mattson.

Dziękuję mojej cudownej agentce Erice Rand Silverman za jej wytrwałość pomimo zmiennych kolei losu, a także George'owi Nicholsonowi za to, że od samego początku widział we mnie potencjał.

Mojej wspaniałej redaktorce Talii Benamy, a także Jill Santopolo i całemu zespołowi Philomel Books dziękuję za wsparcie i pomoc w dopracowaniu tej książki.

Pragnę podziękować Kręgowi Starożytnych, czyli moim dziadkom – Wielkiej Mamuśce i Prawemu Edowi oraz babci Shirley – za to, że zawsze wierzyli w moje niepraktyczne zainteresowania.

Moim rodzicom, Amy i Warrenowi Belasco, dziękuję za wsparcie, cierpliwość i miłość, a mojemu bratu Nate'owi za to, że nie pozwolił, bym traktowała siebie zbyt poważnie tylko dlatego, że pisałam bardzo poważną książkę.

I wreszcie dziękuję Shannon Brown, mojej przyjaciółce i towarzysze niedoli, wytrawnej redaktorce i czytelniczce oraz wiernej kibicce. Gdyby nie ty, ta książka nigdy by nie powstała.

- [1] Sukinsyn, rogacz; tu: koleś (przyp. tłum.).
- [2] Debil, idiota (przyp. tłum.).
- [3] Wszystkie cytaty z *Otella* w przekładzie Leona Ulricha (przyp. tłum.).
- [4] Nic, przyjacielu (przyp. tłum.).
- [5] Przekład Leona Ulricha (przyp. tłum.).

Tytuł oryginału: *Speak of Me as I Am*

Opracowanie graficzne okładki: *Emotion Media*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Pogoda*

Opracowanie redakcyjne: *Jolanta Nowak*

Korekta: *Bianka Dziadkiewicz*

© 2017 by Sonia Belasco

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa, 2018

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Philomel Books, an imprint of Penguin Young Readers Group, a division of Penguin Random House LLC.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: *iStock*

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN: 978-83-276-3121-3

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.

